

KWARTALNIK KRESOWY

35  MUZEUM
lat NIEPODLEGŁOŚCI

ROCZNIK XI • 2025 • NR 4 (28)

„Kwartalnik Kresowy”

2025 © copyright by Muzeum Niepodległości w Warszawie

RECENZENCI

prof. dr hab. **Adam Dobroński** (Uniwersytet w Białymstoku); dr **Ewa Jaska** (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego); dr **Jacek Konik** (Muzeum Niepodległości w Warszawie); prof. dr hab. **Helena Krasowska** (Instytut Sławistyki Polskiej Akademii Nauk); prof. dr hab. **Jerzy Mazurek** (Uniwersytet Warszawski); dr **Sebastian Mierzyński** (Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie); prof. dr hab. **Wojciech Włodarkiewicz** (Wojskowa Akademia Techniczna)

RADA NAUKOWA

dr **Longin Dziężyć** (Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze); prof. dr hab. **Maria Filina** (Uniwersytet Państwowy im. Iwana Dżawachiszwilego w Tbilisi); doc. dr **Mykoła Genyk** (Przykarpacki Uniwersytet Narodowy im. Wasyla Stefanyka w Iwano-Frankiwsku); dr **Tibor Gerencsér** (Konsulat Generalny Węgier w Krakowie); dr **Petro Hawryłyszyn** (Przykarpacki Uniwersytet Narodowy im. Wasyla Stefanyka w Iwano-Frankiwsku); dr **Mariusz Kardas** (Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni); prof. dr hab. **Norbert Kasperek** (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, Archiwum Państwowe w Olsztynie); prof. dr hab. **Michał Latek-Polberg** (Uniwersytet León w Kastylii); prof. dr hab. **Zbigniew Mikołajczak** (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego); dr **Piotr Olechowski** (Uniwersytet Śląski w Katowicach, Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego w Warszawie); dr hab. **Włodzimierz Osadczy** (Katolicki Uniwersytet Lubelski); dr hab., prof. WAT **Adam A. Ostanek** (Wojskowa Akademia Techniczna); mgr **Waldemar Rataj** (Akademia Dziedzictwa Kresów); dr **Rafał Roguski** (Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach); dr hab. **Piotr Semków** (Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni); ks. prof. dr hab. **Henryk Skorowski** (Muzeum Niepodległości); prof. dr hab. **Aleksander Smoliński** (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu); dr **Anna Varanytsya** (Instytut Ukrainoznawstwa Ukraińskiej Akademii Nauk we Lwowie); ks. prof. dr hab. **Jan Walkusz** (Katolicki Uniwersytet Lubelski); mgr **Piotr Zubowski** (Muzeum Kresów w Lubaczowie)

KOLEGIUM REDAKCYJNE

dr **Krzysztof Bąkała** – redaktor naczelny; mgr **Mirosława Bławdziewicz** – członek kolegium; mgr **Dorota Dobrońska** – administracja; mgr **Małgorzata Izdebska-Młot** – redaktor językowy; mgr **Radosław Jarosz** – sekretarz redakcji; mgr **Natalia Roszkowska** – opracowanie graficzne; dr **Tadeusz Skoczek** – członek kolegium; mgr **Bartłomiej Sokołowski** – zastępca redaktora naczelnego; mgr **Marta Brodala** – plakaty; mgr **Marzena Jaworska** – fotografie; mgr **Marta Litwin** – upowszechnianie cyfrowych zasobów; mgr **Piotr Maroński** – bibliologia; **Mariola Miszkiewicz** – promocja; dr **Izabela Mościcka** – historia sztuki; ks. dr **Krzysztof Niegowski** – dziedzictwo kulturowe; mgr **Janusz M. Paluch** – kultura Lwowa; **Bożena Tomczyk** – prenumerata; mgr **Łukasz Żywek** – zbiory

ISSN 2719-8464

Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego – 42 700)
Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej
ul. Skazańców 25, 01-532 Warszawa
mail: kresowy@muzn.pl

Spis treści

Tadeusz Skoczek , <i>Ocalanie pamięci/ Salvaging Memory/</i> <i>Тадеуш Скочек, Збереження пам'яті</i>	5
---	---

BENIAMIN ANOLIK, PAMIĘĆ PRZYWOŁANA

Józef Andrzej Gierowski , <i>Słowo wstępne do wydania pierwszego/</i> <i>Foreword to the first edition/ Юзеф Анджей Геровський, Передмова</i> <i>до першого видання</i>	19
1. Posłannictwo pamięci	33
2. Do wyzwolenia	37
3. Przeciw zbrodniarzom wojennym	59
4. Po latach	63
5. Na tamtej ziemi	89
6. Narazali swe życie	101
7. Za kurtyną	139
8. Do czytelnika	157
 Nota edytorska	 159

Ocalanie pamięci

Pismo nasze, powołane do wydawniczego życia w 2015 roku jako „Rocznik Kresowy”, kończy swój czas. Wyczerpały się możliwości programowe i organizacyjne muzealnego wydawcy. Edytując rocznie ponad 50 tytułów, doszliśmy do bariery własnych możliwości. Nie było też sprzyjających okoliczności zewnętrznych.

Początkowo wydawaliśmy „Rocznik Kresowy”. Prezentując pierwszy numer „Kwartalnika Kresowego” w roku 2021 w artykule wstępnym niżej podpisanego, pisaliśmy, że zmieniliśmy częstotliwość wydawania, gdyż przyświecała nam myśl kontynuacji założeń programowych z wcześniejszych lat. Ponieważ liczba nadsyłanych artykułów, ważkich i interesujących, była duża, wydawaliśmy faktycznie półrocznik. W ten sposób oddaliśmy środowisku naukowemu i czytelnikom, w ciągu 6 lat, osiem numerów pisma. Numer pierwszy „Kwartalnika Kresowego”, pozostawiając w numeracji ciągłej cyfrę 9, zakładał kontynuowanie wcześniejszych założeń. Głównym było szerokie spektrum zainteresowań naukowych, wolnych od politycznych interpretacji. Pisząc o współpracy różnych środowisk naukowych, zamieszczając bibliografie, streszczenia badań innych ośrodków naukowych, mieliśmy na uwadze wyłącznie wymianę myśli. Prezentację wzajemną badań i opinii. Pisaliśmy też o bolesnej przeszłości, w imię prawdy i wzajemnego zrozumienia.

Przez wiele lat organizowaliśmy teksty wśród autorów z Polski i z zagranicy. Nigdy nie tworzyliśmy zespołu nastawionego jednostronnie do prowadzonych badań. Współpracowaliśmy z archiwami polskimi i zagranicznymi. Mieliśmy pewne zasługi dla popularyzacji dokonań naukowych współpracowników

ze wschodu. Opatrując artykuły naukowe słowami kluczowymi i streszczeniami w językach europejskich, mieliśmy na celu wyłącznie wymianę naukowych refleksji. Jednak tłumaczenia rosyjskie budziły wielką niechęć, dla nas niezrozumiałą. Nie pomagało wyjaśnienie, że nawet wrogom warto prezentować własne myśli. Nie uznawano argumentu, że wielu naszych ukraińskich współpracowników komunikuje się w języku rosyjskim. Nie pomogła w ocenach naszego pisma rezygnacja z tłumaczeń na sporny język oraz prezentacja w zamian całych artykułów po ukraińsku.

Pojawiły się też problemy wewnętrzne. Brak nowych autorów, szczególnie wśród muzealników. Restrykcyjny i niezrozumiały zwyczaj zabraniający honorować symboliczną „wierszówką” własnych pracowników, stał się demobilizujący. W polskich warunkach prawnych i organizacyjnych prowadzenie regularnego kwartalnika, parametryzowanego i punktowanego, stawało się coraz trudniejsze. O trudnościach ekonomicznych związanych z wydawaniem, badaniami naukowymi, a nawet delegacjami nie warto już wspominać.

Pismo powstałe jako „Rocznik Kresowy” było wynikiem aktywnego i częstego organizowania konferencji naukowych, prezentujących wygłaszane referaty w odrębnych wydawnictwach. Takie tematyczne monografie powinny nadal się ukazywać. W ten sposób będziemy realizowali misję Muzeum Niepodległości.

W artykule wstępnym niżej podpisany pisał, między innymi:

„Periodyk ten [Rocznik Kresowy] jest konsekwencją kilkuletniej ożywionej aktywności Muzeum Niepodległości w kwestiach związanych z ocaleniem pamięci o terenach utraconych w wyniku ustaleń politycznych czy decyzji militarnych. Wszyscy jesteśmy z Kresów – taki pogląd rodzi się z refleksji na temat roli i znaczenia Rzeczypospolitej Obojga Narodów w kształtowaniu polskiej tożsamości, z oglądu wartości kulturowych, nieprzemijających zdobyczy naukowych, literackich – intelektualnych, z analizy biografii postaci polskiej nauki, literatury, sztuk pięknych, sztuki wojennej, itp. Termin Kresy często utożsamiany jest z pojęciem dawnych ziem polskich znajdujących się poza wschodnią granicą. Rzeczywiście, rdzenne polskie ziemie znajdują się obecnie na

terenie Ukrainy, Białorusi, Litwy i nawet części wydzielonego obwodu zachodniej Rosji – winny być źródłem naszych badań.

Różnie rozumiana była definicja kresowości w badaniach naukowych, w geografii, historii czy historii kultury, w politologii, socjologii – a nawet w propagandzie. Po latach deportacji, wysiedleń, ekspatriacji – powstał silny mit polskich Kresów Wschodnich.

Niezwyczajnie bliski wielu pokoleniom Polaków jest etos rycerski owych ziem, stworzony przez Henryka Sienkiewicza. Pamięć i nostalgia dominują w wielu publikacjach. Ostatnio – po wielu latach niezrozumiałego milczenia – otwarcie możemy mówić o martyrologii rdzennych mieszkańców tych ziem, o ludobójstwie – dokonywanym przez część Ukraińców w czasie II wojny światowej – na bezbronnej ludności polskiej Wołynia i Kresów Południowo-Wschodnich (...).

Rocznik będzie się interesował również innymi tragicznymi losami rodaków zamieszkujących polskie ziemie stracone w wyniku Traktatu Ryskiego z 1921 roku. Tereny wcielone wtedy do sowieckiej Ukrainy i Białorusi zamieszkiwało ponad 300 tysięcy Polaków. Próbowano utworzyć na pozyskanych w ramach traktatu obszarach dwa polskie rejony narodowe: Marchlewszczyznę na Ukrainie (1925) i Dzierżyńszczyznę na Białorusi (1932). Nie udało się jednak bolszewikom „przerobić” polskich chłopów na sowieckich obywateli. NKWD, zgodnie z decyzją najwyższych władz partyjnych ZSRR, przygotowało więc ludobójczą Operację Polską. W latach 1937 i 1938 wymordowano od 140 do 200 tysięcy ludzi deklarujących polską narodowość, mających polsko brzmiące nazwiska. Mordowano nawet przedstawicieli innych narodów związanych swoim wyznaniem z Kościołem katolickim. O tej wielkiej grupie unieczystwionych, o tym wielkim ludobójstwie niewiele wie współczesne społeczeństwo, polskie, ukraińskie i białoruskie. Wprawdzie powstało kilka publikacji, ale do świadomości zbiorowej przedarło się jedynie ludobójstwo katyńskie. Dwie uchwały Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej: z dnia 14 lipca 2009 „upamiętniająca ofiary zbrodni dokonanych w latach 1937–1939 na Polakach zamieszkałych w ZSRR” (M.P. 2009, poz. 675) oraz

uchwała z dnia 31 sierpnia 2012 „w sprawie hołdu wszystkim zamordowanym i represjonowanym na terenach Związku Radzieckiego w ramach tzw. Operacji Polskiej w latach 1937–1938” (M.P. 2012, poz. 676) nie przyniosły takiego rezonansu społecznego, jak badania i upamiętnienia ofiar ludobójstwa NKWD w Lesie Katyńskim, w Charkowie, Bykowni czy w Twerze. Powinnością naszą będzie wypełnienie tej luki. Ale to nie jedyne części zakładanej misji naszego periodyku. Otwieramy łamy na monografie miast kresowych, biografie twórców z Kresów się wywodzących, artykuły naukowe, wspomnienia, pamiętniki i dokumenty, a także omówienia muzealiów znajdujących się zarówno w państwowych, jak i prywatnych zbiorach.

Muzeum Niepodległości nie jest jedyną instytucją zajmującą się polskimi Kresami. Naszą specyfiką będzie bardzo szeroki ogląd zagadnień, jakie zamierzamy poruszać. Dla nas interesujące będą też losy Polaków z Syberii, Kazachstanu, Kaukazu, stepów kubańskich, Gruzji, Armenii, Kurdystanu. Zapraszamy do lektury i do współtworzenia naszego Rocznika Kresowego”.

Ocalanie pamięci jest nadal naszym priorytetem. Realizować będziemy to przesłanie poprzez wystawę stałą „Kresy i bezkresy”, planowane w 2026 wystawy: „Antoni Malczewski. W cieniu dwóch wieszczów (Mickiewicza, Słowackiego)”, „Marian Kratochwil. Kresy w sercu”, „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”. Kolejne konferencje naukowe, monografie, działalność edukacyjna, będą towarzyszyć tym projektom.

Dr Tadeusz Skoczek

Dyrektor Muzeum Niepodległości

Salvaging Memory

Our journal, called into publishing existence in 2015 as *Rocznik Kresowy* [*Eastern Borderlands Yearbook*], is reaching the end of its time. The programmatic and organisational capabilities of the museum publisher have been exhausted. Editing over 50 titles annually, we have reached the limit of our own capacity. Nor were external circumstances favourable.

Initially, we published *Rocznik Kresowy*. When presenting the first issue of *Kwartalnik Kresowy* [*Eastern Borderlands Quarterly*] in 2021, in the introductory article by the undersigned, we wrote that we had changed the frequency of publication as we were guided by the idea of continuing the programmatic assumptions of previous years. Since the number of submitted articles – all of which weighty and interesting – was large, we were effectively publishing a semi-annual. In this way, we delivered eight issues of the journal to the academic community and readers over the course of six years. The first issue of *Kwartalnik Kresowy*, retaining the digit 9 in the continuous numbering, assumed the continuation of earlier premises. The main one was a wide spectrum of scholarly interests, free from political interpretations. Writing about the cooperation of various academic circles, including bibliographies and summaries of research from other centres, we had in mind solely the exchange of thought. The mutual presentation of research and opinions. We also wrote about the painful past, in the name of truth and mutual understanding.

For many years, we solicited texts from authors in Poland and abroad. We never created a team biased unilaterally towards the research. We collaborated with Polish and foreign archives. We held certain merits regarding the popularisation of the scholarly achievements of collaborators from the East. By providing

scientific articles with keywords and summaries in European languages, we aimed solely at the exchange of scholarly reflections. However, Russian translations aroused great resentment, incomprehensible to us. The explanation that it was worth presenting one's own thoughts even to enemies was of no avail. The argument that many of our Ukrainian collaborators communicated in Russian was not acknowledged. Neither the resignation from translations into the contentious language nor the presentation of entire articles in Ukrainian instead helped in the assessments of our journal.

Internal problems also appeared. A lack of new authors, particularly among museum professionals. The restrictive and incomprehensible custom forbidding the honouring of one's own employees with a symbolic 'fee' became demotivating. In the Polish legal and organisational environment, it became increasingly difficult to run a regular quarterly journal subject to strict performance metrics and academic scoring systems. It is not even worth mentioning the economic difficulties associated with publishing, scientific research, and even business travel.

The journal established as *Rocznik Kresowy* was the result of the active and frequent organisation of academic conferences, presenting delivered papers in separate publications. Such thematic monographs should still appear. In this way, we will fulfil the mission of the Museum of Independence.

In the introductory article, the undersigned wrote, among other things:

"This periodical [*Rocznik Kresowy*] is the consequence of several years of lively activity by the Museum of Independence aimed at safeguarding the memory of territories lost as a result of political arrangements or military decisions. We are all from the Kresy [Eastern Borderlands] – such a view is born from reflection on the role and significance of the Polish-Lithuanian Commonwealth in shaping Polish identity, from an overview of cultural values, enduring scientific, literary and intellectual achievements, from an analysis of the biographies of luminaries of Polish science, literature, fine arts, the art of war, etc. The term 'Kresy' is often identified with the concept of former Polish lands located beyond the eastern border. Indeed, native Polish lands are currently located

within the territory of Ukraine, Belarus, Lithuania, and even part of the separated oblast of western Russia – they should be the source of our research.

The definition of 'borderlandness' was understood differently in scientific research, in geography, history or cultural history, in political science, sociology – and even in propaganda. After years of deportations, displacements, expatriation – a strong myth of the Polish Eastern Borderlands arose.

Extremely close to many generations of Poles is the knightly ethos of those lands, created by Henryk Sienkiewicz. Memory and nostalgia dominate in many publications. Recently, after many years of incomprehensible silence, we can speak openly about the martyrdom of the indigenous inhabitants of these lands, about the genocide – committed by factions within the Ukrainian population during World War II – against the defenceless Polish population of Volhynia and the South-Eastern Kresy (...).

Rocznik will also focus on other tragic fates of compatriots inhabiting Polish lands lost as a result of the Treaty of Riga of 1921. The territories incorporated then into Soviet Ukraine and Belarus were inhabited by over 300,000 Poles. Attempts were made to create two Polish national regions on the areas acquired under the treaty: Marchlewszczyzna in Ukraine (1925) and Dzierżyńszczyzna in Belarus (1932). However, the Soviets failed to 'remake' Polish peasants into Soviet citizens. The NKVD, following the decision of the highest party authorities of the USSR, therefore prepared the genocidal Polish Operation. In the years 1937 and 1938, between 140,000 and 200,000 people declaring Polish nationality and having Polish-sounding surnames were murdered. Even representatives of other nations connected by their faith to the Catholic Church were exterminated. Contemporary society, Polish, Ukrainian and Belarusian, knows little about this great group of annihilated people, about this great genocide. Although several publications have appeared, only the Katyn genocide has broken through to the collective consciousness. Two resolutions of the Sejm of the Republic of Poland: of 14 July 2009 'commemorating the victims of crimes committed in the years 1937–1939 against Poles living in the USSR' (*Monitor Polski* 2009, item 675) and the resolution of 31 August 2012 'on the homage to all murdered and repressed in

the territories of the Soviet Union as part of the so-called Polish Operation in the years 1937–1938' (*Monitor Polski* 2012, item 676) did not bring such social resonance as the research and commemoration of the victims of the NKVD genocide in the Katyn Forest, in Kharkiv, Bykivnia or Tver. It will be our duty to fill this gap. But this is not the only part of the envisaged mission of our periodical. We are opening our pages to monographs of borderland cities, biographies of creators originating from the Kresy, scientific articles, memoirs, diaries, and documents, as well as discussions of museum artifacts located in both state and private collections.

The Museum of Independence is not the only institution dealing with the Polish Kresy. Our specific feature will be a very broad overview of the issues we intend to address. For us, the fates of Poles from Siberia, Kazakhstan, the Caucasus, the Kuban steppes, Georgia, Armenia, Kurdistan will also be of interest. We invite you to read and co-create our *Rocznik Kresowy*".

Salvaging memory remains our priority. We will carry this mission forward through the permanent exhibition *Kresy i bezkresy* [Borderlands and Boundless Lands], and exhibitions planned for 2026: *Antoni Malczewski. W cieniu dwóch wieszczów* (Mickiewicza, Słowackiego) [Antoni Malczewski. In the Shadow of Two Bards (Mickiewicz, Słowacki)], *Marian Kratochwil. Kresy w sercu* [Marian Kratochwil. The Borderlands in the Heart], *Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej* [From the Union of Lublin to the European Union]. Subsequent academic conferences, monographs, and educational activities will accompany these projects.

Dr Tadeusz Skoczek

Director of the Museum of Independence

Збереження пам'яті

Життя нашого журналу, який ми почали видавати у 2015 році під назвою «Rocznik Kresowy», добігає кінця. Програмні та організаційні можливості музейного видавництва остаточно вичерпані, а видання понад п'ятдесяти різних позицій привело нас до межі наших можливостей. Зовнішні обставини також не сприяли подальшій роботі.

Спочатку ми видавали журнал «Rocznik Kresowy». Коли у 2021 році ми представили увазі читачів перший випуск журналу «Kwartalnik Kresowy», у вступній статті було зазначено, що зміна періодичності продиктована прагненням зберегти програмну спадкоємність і засади, сформовані у попередні роки. Через велику кількість вагомих і цікавих поданих матеріалів фактично журнал виходив раз на пів року. Упродовж шести років ми запропонували увазі наукової спільноти й читачів вісім випусків видання. Перший номер журналу під новою назвою зберіг стару нумерацію і носив номер «9», що підкреслювало його ідейну спадковість. Основним завданням було забезпечення наявності якомога широкого спектру наукових перспектив, вільних від політичного навантаження. Пишучи про співпрацю різних наукових кіл, публікуючи бібліографії та резюме досліджень інших наукових осередків, ми керувалися виключно ідеєю обміну думками. Взаємна презентація наукових висновків та позицій була для нас основоположним принципом. Ми також звертали до болісних сторінок минулого – в ім'я правди й взаємного порозуміння.

Упродовж багатьох років ми збирали тексти польських та зарубіжних авторів. Ми ніколи не формували редакційного середовища з однобоким підходом до предмета дослідження. Наша команда співпрацювала з вітчизняними та зарубіжними

архівами, а також зробили свій внесок у популяризацію наукових здобутків наших східних колег. Анутовання наукових статей ключовими словами та розміщення резюме європейськими мовами мало на меті виключно розширення наукового діалогу. Водночас наявність російськомовних перекладів викликала обурення, яке нам дуже важко зрозуміти. Пояснення, що власні аргументи слід доносити навіть ворогам, не знайшло розуміння. Не був прийнятий і аргумент, що значна частина наших українських колег користується російською мовою. Відмова від перекладів спірною мовою та публікація повних текстів статей українською також не допомогла журналу.

Виникли й внутрішні труднощі. Відчувався брак нових авторів, особливо з-поміж музейних фахівців. Жорсткий та незрозумілий звичай не допускати символічне винагородження праці власних співробітників невеличкою платою також мав демобілізуючий ефект. За польських правових і організаційних умов регулярне видання журналу, який мав відповідати певним параметрам та вимогам системи нарахування очок за публікації, ставало дедалі складнішим. Про економічні труднощі, пов'язані з публікацією, дослідженнями й навіть організацією відряджень, не варто й говорити.

Журнал, що почав видаватися як «Rocznik Kresowy», був результатом інтенсивної наукової діяльності Музею незалежності, зокрема активної організації конференцій, матеріали яких публікувалися в окремих виданнях. Саме такі тематичні монографії мають і надалі видаватися. Таким чином ми зможемо й надалі виконувати місію Музею незалежності.

У вступній статті, автор цього тексту, зокрема, зазначив:

«Це періодичне видання [«Rocznik Kresowy»] є результатом багаторічної активної діяльності Музею незалежності, спрямованої на збереження пам'яті про території, утрачені внаслідок політичних домовленостей або воєнних рішень. Усі ми – родом зі Східних рубежів. Такий погляд впливає з осмислення ролі й значення Речі Посполитої у формуванні польської ідентичності, з вивчення культурних цінностей та тривких наукових, літературних і інтелектуальних здобутків, а також з аналізу біографій діячів польської науки, літератури, мистецтва, військової справи тощо. Польський термін

«Креси» часто ототожнюють із колишніми польськими землями на схід від сучасного кордону. Справді, історичні польські території, що сьогодні перебувають у складі України, Білорусі, Литви й навіть у деяких регіонах західної Росії – мають залишатися предметом наших досліджень.

Цей термін по-різному трактується в академічних дослідженнях, у географії, історії, історії культури, політології, соціології, а навіть і в пропаганді. Після тривалих депортацій, переселень та еміграції виник потужний міф польських Східних рубежів.

Для багатьох поколінь поляків надзвичайно близьким залишається лицарський дух цих земель, сформований, зокрема, творчістю Генріка Сенкевича. Пам'ять і ностальгія домінують у багатьох публікаціях. Лише нещодавно – після багатьох років незрозумілого мовчання – стало можливим відкрито говорити про мучеництво корінних мешканців цих земель, про геноцид, скоєний частиною українського населення під час Другої світової війни проти беззахисного польського населення Волині та Південно-східних рубежів (...).

Журнал звертатиметься також до інших трагічних доль співвітчизників, які мешкали на польських землях, утрачених унаслідок Ризького мирного договору 1921 року. На територіях, що тоді опинилися у складі Радянської України та Білорусі, проживало понад 300 тисяч поляків. Були спроби сформувати два польські національні адміністративні утворення: Мархлевський польський національний район (1925) та Польський національний район імені Фелікса Дзержинського (1932). Однак більшовицькі спроби «переформатувати» польське селянство на радянських громадян зазнали поразки. У відповідь на це НКВС, виконуючи рішення вищого партійного керівництва СРСР, підготував так звану «Польську операцію». У 1937–1938 роках було вбито від 140 до 200 тисяч осіб, які декларували польську національність і носили польські прізвища. Жертвами ставали також представники інших народів, пов'язаних своєю релігійною приналежністю з Католицькою церквою. Усвідомленість сучасних суспільств — польського, українського й білоруського – про цю величезну групу знищених, масштабний акт геноциду, є вкрай малою. Попри наявність фахових публікацій, у колективній пам'яті закріпилася переважно

тема Катинського злочину. Дві постанови Сейму Республіки Польща – від 14 липня 2009 року «Про вшанування пам'яті жертв злочинів, учинених у 1937–1939 роках проти поляків, які проживали в СРСР» (М.Р. 2009, ст. 675) та від 31 серпня 2012 року «Про вшанування пам'яті всіх убитих і репресованих на території Радянського Союзу в рамках так званої «Польської операції» 1937–1938 років» (М.Р. 2012, ст. 676) – не мали такого суспільного резонансу, як дослідження та вшанування пам'яті жертв геноциду НКВС у Катинському лісі, Харкові, Биківні чи Твері. Заповнення цієї прогалини ми вважаємо своїм обов'язком. Проте це лише одна зі складових місії нашого видання. Ми відкриваємо сторінки журналу для монографій, присвячених польським містам на Сході, для біографій митців, що походять зі Східних рубежів, наукових статей, спогадів, мемуарів і документів, а також для дискусій навколо музейних артефактів, як із державних музеїв, так і приватних колекцій.

Музей незалежності не є єдиною інституцією, що займається проблематикою колишніх польських Східних рубежів, однак нашою особливістю буде максимально широкий і багатоперспективний підхід до порушуваних питань. У колі наших зацікавлень опиняється й доля поляків у Сибіру, Казахстані, на Кавказі, в кубанських степах, у Грузії, Вірменії та Курдистані. Ми запрошуємо читачів ознайомлюватися з матеріалами, а також активно долучатися до розвитку нашого журналу»,

Збереження пам'яті залишається нашим незмінним пріоритетом. Ми реалізуємо це завдання, зокрема, влаштувавши постійну виставку «Kresy i bezkresy» і запланувавши на 2026 рік виставки: «Антоній Мальчевський. У тіні двох віщунів (Міцкевича, Словацького) (польськ. Antoni Malczewski. W cieniu dwóch wieszczów (Mickiewicza, Słowackiego)», «Маріан Кратохвіль. Креси в серці (Marian Kratochwil. Kresy w sercu)», «Від Люблінської унії до Європейського Союзу (Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej)». Реалізацію цих ініціатив супроводжуватимуть подальші наукові конференції, монографії та освітні заходи.

Доктор Тадеуш Скочек.

Директор Музею незалежності

Beniamin Anolik

**PAMIĘĆ
PRZYWOŁANA**

Słowo wstępne do wydania pierwszego

Każde wspomnienie odbija w większym czy mniejszym stopniu osobowość piszącego. Nie da się bowiem w nich uniknąć pierwiastka osobistego, który nieraz zresztą przesądza o ich wartości, nawet jeśli autor stara się skoncentrować swe rozważania na otoczeniu, zarówno dobór wydarzeń, jak i postaci czy ich charakterystyka ukazują sposób myślenia i hierarchię wartości właściwą piszącemu. Dlatego też wspomnienia Beniamina Anolika są tak ujmujące – ich autor wyróżnia się bowiem postawą głęboko humanitarną, której korzenie tkwią w dawnym środowisku żydowskim Wilna, a której nie zdołały zniszczyć tragiczne przeżycia w młodości.

Losy nie oszczędziły Beniaminowi Anolikowi niczego, co było udziałem narodu żydowskiego pod okupacją hitlerowską. A los tego narodu na terenach, które należały bądź zostały włączone do Związku Radzieckiego, był szczególnie dramatyczny. Już wkrótce po ich zajęciu przez Niemców ludność żydowska była masowo mordowana, czego przykładem może być choćby zbrodnia w podwileńskich Ponarach. Był to jakby wstęp do „ostatecznego rozwiązania”, które miało objąć wszystkich Żydów w okupowanej Europie. Nie ominęło ono także tych Żydów z terenów wschodnich, którym udało się uniknąć początkowej zagłady. I właśnie o tych losach, słabiej znanych w Polsce, pisze Beniamin Anolik – sam je bowiem przeżył. Musiał więc uciekać z rodzinnego Wilna, by znaleźć się w obozie w Estonii, który miał być obozem pracy, a okazał się obozem śmierci. Wprawdzie uniknął zagłady, która objęła jego najbliższą rodzinę, ale był naocznym świadkiem dokonanej zbrodni. Takie doświadczenia zostawiają w psychice głębokie ślady, które nawet początkowo przytłumione, z czasem

dają znać o sobie nieoczekiwanie mocno. Nieraz oddziałują destrukcyjnie, niekiedy przecież stają się bodźcem do podejmowania działań przeciwstawiających się złu, którego się doznało. Taką właśnie postawę przyjął Beniamin Anolik. Jego własne przeżycia mogły mu służyć za dowód, że nieraz bardziej skuteczne było nie bierne poddawanie się losowi, ale samodzielne szukanie – w najtrudniejszych warunkach – rozwiązań. Nie wystarcza więc mu bolesne zatapianie się w przeszłości, ale poświęca się upamiętnieniu tej przeszłości, by dać świadectwo dokonanego zła, przestrzec przed możliwością jego powtórzenia następne pokolenia, a także ukazać wzorce postaw, które w tamtych nieludzkich czasach pozwalały zachować wiarę w człowieka. Taki sens ma jego działalność w kibucu im. Bojowników Getta, w Domu Bojowników Getta, w Instytucie Pamięci Narodowej Yad Vashem, w Międzynarodowym Stowarzyszeniu im. Janusza Korczaka. Temu podporządkowana jest również *Pamięć przywołana*. Nie są to bowiem wyłącznie wspomnienia własnych przeżyć. Stanowią one przede wszystkim kanwę, pozwalającą na przypomnienie czy raczej upamiętnienie tych postaci, które zasłużyły sobie na to swą postawą w latach dramatycznej próby.

W rezultacie w *Pamięci przywołanej* opisane zostało nie tylko dzieciństwo spędzone w polskim Wilnie oraz okres młodości pod rządami litewskimi, radzieckimi i hitlerowskimi, zakończony kartą w SS-owskim obozie Klooga i oswobodzeniem przez wojska radzieckie, lecz także lata późniejsze, aż po czasy współczesne. Po krótkim pobycie w pojałtańskiej Polsce, autor udaje się do Izraela, skąd jednak ściągając go będą do Polski i na tereny, gdzie spędzał młode lata, zarówno wspomnienia rodzinne, zwłaszcza pamięć o matce, której decyzja uratowała mu życie, jak i pragnienie pełniejszego wyjaśnienia sobie wszystkich okoliczności zbrodniczych działań hitlerowskiego okupanta. Te krótsze czy dłuższe, oficjalne i prywatne powroty pozwalają mu na spotkanie osób, które nadadzą nowy kształt czy uzupełnią jego pamięć. One też wypełniają istotną część jego książki.

Okupacja hitlerowska postawiła społeczność żydowską przed bardzo trudnym zadaniem obrony przed częściowym lub

całkowitym wyniszczeniem przez najeźdźcę. W tej walce o przetrwanie ludność żydowska mogła liczyć w bardzo ograniczonym stopniu na pomoc ze strony grup narodowych, poddanych naciskowi propagandowemu i zagrożonych działaniami represyjnymi.

A nie były to czcze groźby: na ziemiach polskich, gdzie za udzielenie pomocy Żydowi wprowadzono karę śmierci, zginęło z mocy tego „prawa” co najmniej kilka tysięcy ludzi. Mimo specjalnych misji wysyłanych z terenów okupowanych do aliantów – najbardziej znana jest misja Jana Karskiego – nie udało się również uzyskać ze strony Londynu czy Waszyngtonu wsparcia, które powstrzymałoby Zagładę. W tych warunkach wiele zależało od samych prześladowanych. Beniamin Anolik ukazuje, jak różne były ich postawy.

Nie jest bowiem prawdziwa potoczna opinia, że ludność żydowska przyjmowała wyłącznie biernie spadającą na nią Zagładę. Zresztą każdy, kto przeżył okupację niemiecką, wie, jak mało skuteczne byłyby próby stawiania zorganizowanego oporu w krytycznych momentach aresztowań, łapanek, przesiedleń, wywożenia do przymusowej pracy, publicznego wykonywania wyroków śmierci czy nawet unicestwienia całych miejscowości wraz z ich mieszkańcami. Wszystkie te działania mogły dotyczyć zarówno ludności żydowskiej, jak polskiej czy szerzej biorąc – nieżydowskiej i trudno dostrzec jakieś istotne różnice w postawach obu tych grup ludności w takich momentach. Postawy te opierały się na doświadczeniach z pierwszych jeśli nie dni, to miesięcy wojny i okupacji oraz na świadomości, że praktykowana przez Niemców zasada zbiorowej odpowiedzialności może pociągnąć za sobą o wiele większe ofiary, niż aktualnie przeprowadzane przez okupanta akcje. Sytuacja ta uległa zmianie jeśli chodzi o Żydów w okresie „ostatecznego rozwiązania”, ale i wtedy funkcjonowały nadal wytworzone wcześniej wzorce zachowań.

Przynależność do konspiracji w ograniczonym stopniu mogła pomagać w momentach krytycznych. Pomoc ta miała raczej charakter indywidualny niż zbiorowy, rzadkie były zwłaszcza działania zbrojne, jakkolwiek i takie, np. w postaci odbijania więźniów zdarzały się. Pod tym względem możliwości konspiracji

wśród ludności nieżydowskiej były znacznie większe niż wśród zamkniętej w gettach ludności żydowskiej.

W tych warunkach decydowała postawa jednostki, a więc jej przedsiębiorczość, determinacja, umiejętność wykorzystania sytuacji. Niekiedy o losie zagrożonego decydował zbieg okoliczności. Nie bez znaczenia było otoczenie, u którego przyszło mu szukać ratunku. Istotna była wreszcie wiara w przetrwanie, bez której niemożliwe były wszelkie wysiłki, które dawały szansę na doczekanie wyzwolenia. O tym wszystkim mówią wspomnienia Beniamina Anolika, który przedstawia swe wojenne losy w sposób skromny, ale zarazem stanowczo przeciwstawiający się przekonaniu o dominacji przypadku nad konsekwentnym dążeniem do przetrwania. Postawa i postępowanie autora zdecydowały bowiem o tym, że nie narażając innych, zdołał doczekać ocalenia.

Benjamin Anolik zdaje sobie sprawę, że nie był to jedyny sposób przeciwstawienia się okupantowi. Pojawia się na kartach jego wspomnień szlachetna postać Marka Edelmana, bojownika z getta warszawskiego, z którym spotkał się w dramatycznym momencie, gdy doktor Edelman jako działacz „Solidarności” znalazł się w areszcie domowym. Liczne kontakty miał również z członkami Polskiego Związku Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy pomagali Żydom ukrywającym się po aryjskiej stronie. Jest pełen uznania dla ich poświęcenia i odwagi, swą postawą udowadniał bowiem, że w każdych okolicznościach można pozostać uczciwym człowiekiem.

O ludziach tych wciąż za mało się pamięta, toteż Benjamin Anolik stara się wypełnić tę lukę, ukazując krótko, ale treściwie ich działania. Relacje jego oparte są częściowo na materiałach z Yad Vashem, częściowo na spotkaniach ze Sprawiedliwymi. Zresztą z podobnymi ludźmi zetknął się, m.in. na terenie Estonii, podczas okupacji. Całkowitym przeciwieństwem tych spotkań były jego doświadczenia z uczestnictwa w procesie przeciwko zbrodniarzom wojennym w Niemczech.

Pamięć przywołana to wspomnienia zasługujące na szczególną uwagę. Nie tylko dlatego, że są żywym, wiarygodnym świadectwem historycznym o okresie Zagłady. Równie istotne jest, że

ukazują autora jako człowieka o wyjątkowej sile moralnej, która pomogła mu przeciwstawić się hitlerowskiemu znieprawieniu i zachować daleki od uprzedzeń, sprawiedliwy sąd o ludziach i ich czynach. Oto książka, która pozwala żywić nadzieję na lepsze wzajemne zrozumienie między narodami.

Józef Andrzej Gierowski

Foreword to the first edition

Every memoir reflects to a greater or lesser extent the personality of the writer. It is impossible to avoid the personal element, which often determines the value of the memoirs – even if the author tries to focus their reflections on their surroundings, both the selection of events and the characters or their characterisation show the way of thinking and the hierarchy of values inherent in the writer. That is why Benjamin Anolik's book is so moving – because its author is distinguished by a deeply humanitarian attitude, rooted in the former Jewish community of Vilnius, which the tragic experiences of his youth did not manage to destroy.

Fate did not spare Benjamin Anolik anything that the Jewish people suffered under Nazi occupation. And the fate of this nation in areas that belonged to or were incorporated into the Soviet Union was particularly dramatic. Already soon after their occupation by the Germans, the Jewish population was mass murdered, as exemplified by the Ponary massacre near Vilnius. It was something of a prelude to the "final solution" that was to include all Jews in occupied Europe. The Jewish people from the eastern territories who managed to escape the initial extermination were not spared either. And Benjamin Anolik writes about those fates, less well-known in Poland, for he lived them himself. He had to flee his hometown of Vilnius, only to find himself in a camp in Estonia, which was supposed to be a labour camp but turned out to be a death camp. Although he escaped the extermination that encompassed his immediate family, he was an eyewitness to the massacre. Such experiences leave deep traces in the psyche, which, even subdued at first, make themselves known unexpectedly strongly over time. They

often have a destructive effect but sometimes become a stimulus to take action against the evil one has suffered. This was the attitude adopted by Benjamin Anolik. His own experiences could serve as proof to him that often it was more effective not to passively submit to fate, but to seek – under the most difficult conditions – solutions on one's own. Thus, it is not enough for him to sink painfully into the past, but he devotes himself to commemorating this past in order to bear witness to the evil done, warn against the possibility of its repetition for future generations, and show the models of attitudes that in those inhumane times made it possible to preserve faith in fellow human beings. This is the point of his activities at the Ghetto Fighters' Kibbutz, the Ghetto Fighters' House, the Yad Vashem Institute for National Remembrance, and the International Janusz Korczak Association. *Pamięć przywołana* [Recalled Memory] was also born of that purpose. This is because the book is not just memories of one's own experiences. Above all, it provides a canvass allowing us to remember or rather commemorate those figures who deserved it for their attitude during the years of dramatic trials.

As a result, *Pamięć przywołana* describes not only a childhood spent in Polish Vilnius and a period of youth under Lithuanian, Soviet, and Nazi rule, culminating in an imprisonment in the SS Klooga camp and liberation by Soviet troops, but also the years afterwards up to the present. After a short stay in post-Yalta Poland, the author goes to Israel, from where, however, he will be drawn back to Poland and the area where he spent his young years, both by family memories, especially the memory of his mother, whose decision saved his life, and by the desire to explain more fully to himself all the circumstances of the crimes of the Nazi occupier. These shorter or longer, official and private returns allow him to meet people who will reshape or replenish his memory. They also fill an important part of his book.

The Nazi occupation presented the Jewish community with the very difficult task of defending itself from partial or total destruction by the invaders. In this struggle for survival, the Jewish population could count on very limited assistance from national groups that were subject to propaganda pressure and threatened by repressive measures.

And these were not idle threats: in Poland, where the death penalty was introduced for helping a Jew, at least several thousand people were killed under this "law". Despite special missions sent from the occupied territories to the Allies – Jan Karski's mission is the most well-known among them – there was also no support from London or Washington to stop the Holocaust. Under those conditions, much depended on the persecuted themselves. Benjamin Anolik shows how different their attitudes were.

The common opinion that the Jewish people responded to the Holocaust falling upon them only with passive apathy is not true. Besides, anyone who survived the German occupation knows how ineffective attempts at organised resistance would have been at critical moments of arrests, roundups, resettlement, deportation to forced labour, public execution of death sentences or even annihilation of entire towns with their inhabitants. All of those actions could have affected the Jewish population as well as the Polish or, more broadly, the non-Jewish population, and it is difficult to see any significant differences in the attitudes of the two population groups at such times. Those attitudes were based on the experience of the first, if not the days, then the months of the war and occupation, and the awareness that the principle of collective responsibility practised by the Germans could entail far greater casualties than the actions currently being carried out by the occupiers. The situation changed as far as the Jews were concerned during the "Final Solution" period but even then the patterns of behaviour that had been developed earlier continued to operate.

Participation in the resistance movement could help in critical moments only to a limited extent. That aid was of an individual rather than collective nature, armed actions in particular were rare, although those activities, such as the recapture of prisoners, did occur. In this respect, the potential for organised resistance among the non-Jewish population was much greater than among the ghetto-confined Jewish population.

Under those conditions, all depended on the attitude of the individual, that is, their entrepreneurship, determination, and ability to take advantage of the situation. Sometimes the fate of the

threatened was determined by coincidence. The community in which they came to seek rescue was not insignificant. Lastly, faith in survival was of importance – without it, all efforts that offered a chance to live to see liberation were impossible. All this is told in the memoirs of Benjamin Anolik who depicts his wartime fate with modesty but at the same time presents firm opposition to the belief in the dominance of chance over the consistent pursuit of survival. This is because the author's attitude and conduct determined that, without endangering others, he managed to live to be saved.

Benjamin Anolik realises that this was not the only way to oppose the occupation. One of the people appearing on the pages of his memoirs is the noble figure of Marek Edelman, a fighter from the Warsaw Ghetto, whom he met at the dramatic moment when Dr Edelman, as a Solidarity activist, found himself under house arrest. Anolik also had numerous contacts with members of the Polish Association of the Righteous Among the Nations, who helped Jews hiding on the Aryan side. He is full of praise for their dedication and courage, as with their attitude they proved that it is possible to remain an honest person under all circumstances.

These people are still not remembered enough, so Benjamin Anolik tries to fill this gap, showing briefly but succinctly their actions. His accounts are based partly on materials from Yad Vashem, partly on meetings with the Righteous. Besides, he encountered similar people during the occupation, including in Estonia. The complete opposite of those encounters was his experience of participating in the trial of war criminals in Germany.

Pamięć przywołana is a memoir that deserves special attention. Not only because it is a living and reliable historical testimony about the Holocaust period. Just as importantly, the book shows the author as a man of exceptional moral strength, which helped him to stand up to Hitler's indecency and maintain a far-from-prejudiced, fair judgement of people and their deeds. Here is a book that gives hope for better mutual understanding between nations.

Józef Andrzej Gierowski

Передмова до першого видання

Кожні спогади певною мірою віддзеркалюють особистість автора. Немає можливості уникнути особистісного елемента, який часом визначає їхню цінність, навіть якщо письменник прагне зосередитися на ширшому контексті. Добір подій і персонажів, спосіб їхнього подання та оцінки завжди виявляють індивідуальний спосіб мислення й ієрархію цінностей письменника. Саме тому спогади Бен'яміна Аноліка є такими зворушливими: авторові притаманне глибоко гуманне ставлення до людей, укорінене в довоєнному середовищі єврейської громади Вільнюса і не зламане трагічними досвідами юності.

Доля не пощадила Бен'яміна Аноліка – як і всіх євреїв – у період нацистської окупації. Особливо драматичною була ситуація єврейського населення на територіях, що входили до складу Радянського Союзу або були ним інкорпоровані. Вже невдовзі після приходу німців тут відбулися масові вбивства, одним із найстрашніших прикладів яких стала різанина в Понарах біля Вільнюса. Ці злочини були прелюдією до «остаточного вирішення», що мало охопити всіх євреїв окупованої Європи. Трагедія не оминула й тих євреїв зі східних територій, яким удалося уникнути масового знищення. Про такі менш відомі в Польщі історії і пише Бен'ямін Анолік – він був їхнім безпосереднім свідком. Після втечі з рідного Вільнюса він потрапив до табору в Естонії, який номінально був трудовим, проте фактично був табором смерті. Хоча йому вдалося вижити, на відміну від багатьох близьких, але він став очевидцем вчинених злочинів. Такий досвід залишає в людській психіці глибокі сліди – приглушені на перших порах, вони згодом

болісно нагадують про себе. Іноді вони руйнують людину, проте часом стають поштовхом до дії – до протидії злу та несправедливості. Саме таку позицію зайняв Беньямін Анолік. Власний життєвий досвід переконав його, що не завжди варто пасивно коритися долі – навіть у найскладніших обставинах можна й потрібно шукати рішення. Йому було замало лише з боєм озиратися в минуле: він присвятив себе вшануванню пам'яті, щоб свідчити про скоєні злочини, перестерігати майбутні покоління від їхнього повторення й показувати моделі поведінки, які в нелюдських умовах допомагали зберегти віру в людяність. Такою була мета його діяльності в кібуці ім. Борців гетто, у Домі борців гетто, в Інституті національної пам'яті Яд Вашем та в Міжнародній асоціації ім. Януша Корчака. Книга «Пригадана пам'ять» (польськ. «Pamięć przywołana») також підпорядкована цій меті. Це не просто спогади про пережите – передусім вони створюють підґрунтя для вшанування постатей, гідних пам'яті за силу духу в роки тяжких випробувань.

Унаслідок цього «Пригадана пам'ять» охоплює не тільки дитинство, проведене в польському Вільнюсі, й юність під литовською, радянською та нацистською владою, що завершилася ув'язненням у таборі СС «Клоога» та визволенням радянськими військами, а й подальші десятиліття – аж до наших днів. Після нетривалого перебування в повоєнній, післяялтинській Польщі автор емігрував до Ізраїлю. Проте його знову й знову тягнуло до Польщі та місць юності – через родинні спогади, насамперед про матір, чиє рішення врятувало йому життя, а також через прагнення глибше зрозуміти обставини злочинних дій нацистського окупанта.. Короткі й тривалі, офіційні й приватні візити дали йому нагоду зустрічатися з людьми, чії свідчення змінювали й доповнювали його пам'ять. Ці зустрічі становлять важливу частину книги.

Нацистська окупація поставила єврейську громаду перед надзвичайно складним завданням – урятуватися від часткового або повного винищення. У цій боротьбі за виживання єврейське населення могло розраховувати лише на дуже обмежену допомогу з боку інших національних груп, що самі зазнавали постійного тиску пропаганди та репресій.

Це були не порожні погрози: на польських землях, де за допомогу євреям запроваджувалася смертна кара, жертвами цього «закону» стали щонайменше кілька тисяч людей. Попри спеціальні місії до союзників – найвідомішою була місія Яна Карського – ані Лондон, ані Вашингтон не надали рішучої допомоги, здатної зупинити Голокост. У таких умовах дуже багато залежало від самих жертв переслідувань. Анолік докладно описує, наскільки різноманітними були їхні реакції та стратегії.

Поширена думка, ніби єврейське населення пасивно прийняло Голокост, не відповідає дійсності. Кожен, хто пережив німецьку окупацію, розуміє, наскільки безперспективними були б спроби організованого опору в критичні моменти – під час арештів, облав, депортацій, примусових переселень, публічних страт або знищення цілих сіл разом із мешканцями. Ці злочини могли однаково торкатися і євреїв, і поляків, і ширше – всього неєврейського населення. У подібних ситуаціях важко виявити абсолютні відмінності в моделях поведінки двох груп. Вони формувалися під впливом досвіду перших днів війни й усвідомлення того, що німецький принцип колективної відповідальності міг призвести до ще більших жертв, ніж окремі репресивні заходи, які повсякденно вживалися загарбниками. Ситуація євреїв докорінно змінилася з упровадженням «остаточного вирішення», проте навіть тоді діяли поведінкові моделі, вироблені раніше.

Участь у підпіллі могла допомогти в критичних моментах, але можливості підпільних структур були обмеженими: така допомога мала радше індивідуальний, ніж колективний характер. Збройні акції траплялися рідко, хоча й відбувалися – зокрема, визволення в'язнів. У цьому сенсі можливості опору серед неєврейського населення були значно ширшими, ніж серед євреїв, замкнених у гетто.

За таких умов вирішальне значення мали особисті риси людини – ініціативність, рішучість, уміння використати шанс. Часто долю людини вирішував випадок. Не менш важливим було й середовище, у якому вона шукала порятунку. Важливою була також віра в те, що вижити можливо: без неї зусилля, спрямовані

на те, щоб дочекатися визволення, були б просто неможливими. Про все це розповідають мемуари Бен'яміна Аноліка. Автор скромно описує власну воєнну долю, але з внутрішньою рішучістю, що суперечить уявленню про абсолютне панування випадковості над сильним прагненням до життя. Насправді саме його власна позиція і поведінка стали вирішальними у тому, що він зміг урятуватися, не наражаючи на небезпеку інших.

Бен'ямін Анолік усвідомлює, що це був лише один із можливих способів протистояти окупанту. На сторінках його книги з'являється шляхетна постать Марека Едельмана, одного з лідерів повстання у Варшавському гетто, з яким автор познайомився в драматичний момент – коли доктор Едельман, активіст руху «Солідарність», перебував під домашнім арештом. Анолік підтримував тісні контакти й із членами польської Асоціації Праведників народів світу, які допомагали євреям, що переховувалися на «арійському» боці. Він віддає належне їхній самовідданості та мужності: вони довели, що чесність і людяність можна зберегти за будь-яких обставин.

Ці люди й далі залишаються здебільшого напівзабутими, і автор намагається заповнити цю прогалину короткими, але промовистими описами їхніх учинків. Його розповідь ґрунтується як на матеріалах Яд Вашем, так і на особистих зустрічах із Праведниками. До речі, під час окупації він також зустрічав подібних людей, серед іншого, в Естонії. Разючу протилежність цим зустрічам становив досвід відвідання судових процесів над військовими злочинцями в Німеччині.

«Пригадана пам'ять» – це мемуари, що заслуговують на особливу увагу. Не лише тому, що вони є живим і достовірним свідченням про період Голокосту. Не менш важливо й те, що цей твір показує автора як людину високого морального духу, що допоміг йому протистояти злочинам гітлеризму та зберегти справедливе, неупереджене ставлення до людей і їхніх вчинків. Перед вами книга, що дає надію на глибше взаєморозуміння між народами.

Юзеф Анджей Геровський

1. Posłannictwo pamięci

Wiele razy odwiedzałem Polskę, poczynając od schyłku lat siedemdziesiątych: jako wysłannik Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka w Izraelu, jako członek Prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, które ma swą siedzibę w Warszawie. W czasie tych wyjazdów miałem również do spełnienia zadania zlecone mi przez Dom Bojowników Getta: nawiązanie kontaktów z organizacjami, muzeami i instytucjami Pamięci Zagłady i Walki, a raz nawet pojechałem jako członek delegacji Ministerstwa Oświaty.

W ciągu tych lat byłem także na terenie byłych obozów zagłady oraz w miastach i miasteczkach na różnych krańcach Polski, w miejscach upamiętnionych męczeństwem Żydów, w okolicach mojego dzieciństwa i młodości. Spotykałem się z wieloma ludźmi z różnych warstw społecznych: działaczami Stowarzyszenia Korczakowskiego, Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata, pisarzami, artystami, pracownikami oświaty i wychowania, członkami gmin żydowskich i innymi. Z każdą wizytą rozszerzał się krąg znajomości. Z wieloma nawiązałem przyjaźń, której wyrazem była wymiana listów oraz wzajemne odwiedziny.

Uważałem za słuszne spisać wrażenia i doznania ze spotkań z Polską i nielicznymi Żydami, jacy tam pozostali oraz opowieści Polaków – Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy narażali życie swoje i swoich rodzin dla ratowania Żydów, a także napisać o działalności Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, dzięki któremu wznowione zostały kontakty Izraela z Polską. Powitał mnie krajobraz mojego dzieciństwa, jakkolwiek nie mogłem dotrzeć do rodzinnego Wilna, które znajduje

się obecnie poza granicami Polski. Kochałem moje miasto rodzinne. Tam przeżyłem lata dziecięce, wśród rodziny i przyjaciół. Było to zwyczajne dzieciństwo żydowskiego chłopca w Polsce. O miejsku Wilna w świecie Żydów, o Wilnie – litewskiej Jerozolimie – dowiedziałem się dopiero po opuszczeniu tego miasta.

II wojna światowa przerwała to spokojne życie. Lata młodości przeżyłem pod hitlerowską okupacją. Mimo okropności, jakie dotknęły mnie i wszystkich moich bliskich, którzy znaleźli się w szponach nazistów, wierzyłem przez wszystkie lata wojny, że Niemcy ją w końcu przegrają, że będę znowu człowiekiem wolnym.

Od chwili wyzwolenia nie odstąpiła moich myśli sprawa Zagłady, nawet na jeden dzień. W Wilnie zbliżyłem się do Żydowskiego Muzeum, powstałego zaraz po wojnie. Po uwolnieniu mnie z hitlerowskich obozów zabrałem się do pracy jako instruktor wśród dzieci ocalałych z Zagłady, w Domach Dziecka organizacji „Dror” („Wolność”). Potem wraz z wychowankami powędrowałem uchodźczymi drogami do Niemiec, gdzie kontynuowałem moją pracę wychowawczą. Po przybyciu do Erec Israel – izraelskiej ojczyzny – wstąpiłem do kibucu im. Bohaterów Getta, co było naturalnym następstwem mojej działalności jako wychowawcy w ruchu „Dror”, który wychowywał w pionierskim duchu chalucyzmu i przygotowywał do życia w kibucowej wspólnocie. Kibuc im. Bojowników Getta wybrałem przede wszystkim z powodu jego nazwy, a także by być tam, gdzie miało powstać Muzeum poświęcone okresowi Zagłady.

Kilka rozdziałów w tej książce dotyczy Janusza Korczaka i pracy poświęconego jego osobie Międzynarodowego Stowarzyszenia. Zainteresowałem się nim wiele lat temu, gdy zacząłem pracować jako kierownik szkoły Jego imienia w kibucu im. Bojowników Getta. Potem zostałem członkiem Komitetu Korczakowskiego w Izraelu, który skupiał byłych wychowanków i współpracowników Janusza Korczaka. Komitet rozwinął się następnie w Stowarzyszenie, które działa na rzecz upamiętnienia oraz upowszechniania myśli wielkiego wychowawcy, który zginął wraz ze swymi wychowankami w czasie Zagłady.

U Korczaka znalazłem skromność i prostotę, dążenie do prawdy i sprawiedliwości, wrażliwość na los człowieka-dziecka, a także wcielanie w życie szlachetnych ideałów i myśli, realizowanie ich w codziennej praktyce w kierowanym przez Niego Domu Sierot. W Jego osobie połączyli się wychowawca i lekarz dzieci, pisarz i publicysta, badacz, myśliciel i społecznik, wszystko nierozwalnie splecione. Jego ostatnia droga jest znamieną. Nie skorzystał z możliwości uratowania się, wołał pójść razem ze „swoimi dziećmi” do komory gazowej. Wychowawca do ostatniego tchnienia – do końca.

Od lat 70. moja praca koncentruje się na Domu Bojowników Getta i Stowarzyszeniu im. Janusza Korczaka, z czym łączą się wizyty w Polsce. Opowieść ta została napisana po pobycie w Wilnie, wówczas jeszcze w Związku Radzieckim. Odwiedziłem rodzinne miasto oraz były hitlerowski obóz Klooga, gdzie byłem więziony w ostatnich dniach II wojny światowej. Widzę w tym swego rodzaju zamykanie się koła życia, najwyższy więc czas na opisanie tych spraw.

2. Do wyzwolenia

W rodzinnym domu

Działalność w Stowarzyszeniu im. Janusza Korczaka przypominała mi czasy dzieciństwa i lat młodości. Za każdym pobylem w Polsce napływały wspomnienia, przed oczami stawali moi bliscy, którzy zginęli. Zarazem ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że moje korzenie tkwią w polskiej ziemi.

Sznejer Anolik, pradziad ze strony ojca, urodził się w 1840 roku, mieszkał wraz z rodziną w miasteczku Balbariszki w pobliżu Wilna. Był oberżystą. Do spółki z jednym z braci zajmował się również handlem winem – kupowali je w beczkach, rozlewali do butelek i sprzedawali. Pradziadkowie mieli jedenaścioro dzieci.

Dziadek, Abraham Anolik, urodził się w Balbariszkach, a po ślubie zamieszkał z żoną we wsi Jazowo, również niedaleko Wilna. Miał trochę ziemi, wraz z jednym z braci był właścicielem tataraku w Nowej Wilejce, a poza tym również agentem biur podróży, pomagającym ludziom w wyjeździe do Ameryki. Cierpiał na chorobę oczu. W 1928 roku ostatecznie stracił wzrok. Sprzedał posiadłość i przeniósł się do nas, na ulicę Sadową w Wilnie. Pamiętam, jak siadywałem obok dziadka i czytałem mu na głos gazetę.

Rodzina matki, Liberchenowie, pochodziła z Charkowa. Po zostali w Rosji również po rewolucji bolszewickiej. Większość mieszkała w Moskwie.

Ojciec urodził się w 1893 roku. Jeszcze przed wojną światową, około 1913 roku, przeprowadził się do Piotrogradu. Studiował tam metalurgię. Gdy wybuchła I wojna światowa został zmobilizowany i walczył na froncie rumuńskim. Tam zastał go wybuch

rewolucji październikowej. Wybrano go członkiem Żołnierskiej Rady Robotniczej swojej jednostki. W drodze powrotnej z frontu do domu utknął w Charkowie, gdzie został mianowany naczelnikiem wojskowego biura werbunkowego. Potem studiował prawo na tamtejszym uniwersytecie, poznał moją matkę i ożenił się z nią jeszcze w czasie trwania wojny domowej. W 1920 roku rodzice wyjechali do Wilna w odwiedziny do rodziny ojca i już tam zostali.

Matka pracowała jako położona, nie w szpitalu czy przychodni, lecz jako pielęgniarka prywatna. Ojciec zmienił zawód – nauczył się księgowości. Nie był związany z jednym miejscem pracy – prowadził rachunki dla wielu firm i zakładów. Uczył także na kursach dla księgowych. Został nawet wybrany do Komisji Związku Księgowych. Miał dwie siostry i brata. Tania z mężem, Josefem Gorfinklem, mieli dwie córki, Lilę i Niusię. Jedna była moją rówieśnicą, druga trochę starsza. Byliśmy ze sobą bardzo zżyli, codziennie niemal bywałem u nich. Za ich domem, przy ulicy Małostefańskiej był sad, w którym spędzaliśmy długie godziny na zabawach. Druga siostra ojca wyszła za lekarza, Wołodę Pocztera i mieli syna jedynaka, Izydora, który urodził się wiele lat po ślubie rodziców. Wszyscy zostali zamordowani w latach Zagłady. Ocalał brat ojca, Szejer. Po wojnie wyemigrował do USA. W domu było nas dwóch – mój starszy o cztery i pół roku brat Nisan i ja.

Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek opuszczali Wilno, z wyjątkiem wakacyjnych wyjazdów na wieś. Rodzice wynajmowali tam dom, położony nad strumieniem, gdzie była również plaża. Miejscowi utrzymywali się właśnie z wynajmowania mieszkań w czasie wakacji. Matki przyjeżdżały z dziećmi na całe wakacje, ojcowie zaglądali tylko w końcu tygodnia. Chodziliśmy do lasu, wylegiwaliśmy się na hamakach, kąpali w rzece, czytaliśmy, opalaliśmy się, oddychaliśmy zdrowym powietrzem. Wieczorem panie grywały w karty. W pobliżu stały cygańskie tabory, a Cyganki wędrowały po domach i wróżyły z kart. Niekiedy matkę wzywano do któregoś z wczasowiczów, który nagle zachorował.

W Wilnie, naprzeciwko naszego domu była „Tuszija” („Mądrość”), hebrajska szkoła religijna – podstawowa i średnia w tym

samym budynku. Tam uczyliśmy się, mój brat i ja. Wpływ tradycyjnego wychowania w szkole bardziej był widoczny u brata niż u mnie. W pewnym okresie brat starał się zmusić nas wszystkich pedantycznego przestrzegania kosztownych reguł żywnościowych i zwyczajów religijnych.

W zasadzie u nas w domu przestrzegano nakazu kosztowności, chociaż nie nazbyt skrupulatnie. Jeśli idzie o mnie, to nauki religijne Chumaszu, Miszny, Talmudu wydawały mi się nazbyt oschłe. Natomiast przeżyciem była nauka języków, nawet łaciny. Ale najbardziej ze wszystkich przemawiały do mego serca lekcje polskiego.

Dzieciństwo moje upłynęło zresztą pod znakiem czterech języków. Rodzice mówili między sobą po rosyjsku, z sąsiadami po polsku, w szkole językiem wykładowym był hebrajski, a w czasie przerw rozmawialiśmy po polsku i po żydowsku. Gdy byłem w getcie, pisałem dziennik w języku rosyjskim.

W domu obchodziliśmy święta oraz szczególnie uroczyste dni, np. urodziny. Przed dniem moich urodzin chodziłem zapraszać kolegów na przyjęcie. Po południu była to impreza dla dzieci, a wieczorem – dla rodziców, krewnych i przyjaciół.

Seder Pesach (wieczera w wigilię święta Paschy) odbywał się u nas w domu. Dziadek siedział u szczytu stołu, a tradycyjnym prowadzeniem obrządku kierował ojciec. W szabat chodziło się z wizytami do krewnych i znajomi albo oni przychodzili do nas. Do synagogi chodziliśmy właściwie tylko w święta. Bywaliśmy w dwóch, w bożnicy szewców (nie wiem, dlaczego tak ją zwano) mieliśmy swoje stałe miejsca, a w synagodze „Tora Szui” („Synagoga Tory”) modliliśmy się w jesienne święta Nowego Roku i Sądneho Dnia. Tam też odczytałem tradycyjne wersety z Tory, gdy doszedłem do wieku „Bar Micwa”, czyli ukończyłem 13 lat. Urządzono mi trzy przyjęcia z tej okazji: najpierw tuż po uroczystości w synagodze świętowaliśmy wraz ze wszystkimi uczestnikami modlitwy na miejscu, razem z całą kadrą, która zaszczyliła mnie swoją obecnością. Następnie – przyjęcie dla rodziców, krewnych i przyjaciół.

Żyłem niczym na żydowskiej wyspie. Dom, w którym mieszkaliśmy zajmowało 60 rodzin – wszystkie żydowskie.

Antysemityzm? Pamiętam raczej atmosferą niż fakty, choć np. dużo się u nas w domu mówiło o wypadkach – dwóch bodajże – ciężkiego pobicia i zranienia żydowskich dzieci przez polskich wyrostków. Pisały o tym w owym czasie żydowskie gazety. Największy strach wzbudzali polscy studenci. Gdy szli gromadą chodnikiem – można ich było z daleka rozpoznać po czapkach – schodziłem prędko na bok. Pamiętam też mnożące się w ostatnich latach przed wojną napisy na sklepach „Firma chrześcijańska”. A przez Ostrą Bramę chyba nigdy nie odważyłem się przejść. Również ojca w pracy traktowano inaczej, niż gdyby był gojem.

We wrześniu 1939 roku Rosjanie weszli do naszego miasta. Język rosyjski znaliśmy. Z kulturą rosyjską byliśmy obyci. Przede wszystkim otworzyła się możliwość kontaktu z rodziną matki, a także z rodziną ojca, z którą do tej pory nawet listowny kontakt nie był możliwy. Ojciec awansował w pracy o jedną grupę. Dla Żydów zaistniały niedostępne przedtem możliwości w dziedzinie zawodowej i społecznej. Moje wrażenie – to było uczucie ulgi spowodowane brakiem dyskryminacji.

W 1940 roku, gdy Wilno i okolice zostały włączone do Litwy, która już wtedy była poddana sowieckim wpływom, władze zaproponowały ojcu kierowanie sprawami finansowymi w Urzędzie Skarbowym w miasteczku Postawy na Białorusi. W ślad za ojcem i my tam przenieśliśmy się. Po pół roku przeniesiono ojca do innego miasta w tej samej republice, do Klecka. W ten sposób około roku chodziłem do radzieckiej szkoły.

Rejon, w którym mieszkaliśmy, to były przedwojenne Kresy, na granicy Polski i Związku Radzieckiego. Polacy po odzyskaniu niepodległości sprowadzali tu osadników, aby strzegli ojczystych granic. Nas umieszczono właśnie w domu takiego osadnika. Właściciel domu był kierownikiem działu w urzędzie, na czele którego stał mój ojciec. Nie była to prosta sytuacja, ale stosunki między dwoma rodzinami układały się dobrze. Ja lubiłem bawić się z córkami gospodarza, a ojciec wiedząc, że NKWD masowo

aresztuje polskich osadników, zapewniał zwierzchników, że bardzo potrzebuje go w pracy.

Pewnego dnia, późnym wieczorem zauważyliśmy, że NKWD otoczyło nasz dom. Ojciec spalił wówczas jakieś papiery. Enkawudyści wpadli do mieszkania, pytając co tu zostało spalone. Ojciec wskazał na leżącego już, na szczęście, w łóżku brata i zaczął wyjaśniać, że to atak ślepej kiszki i trzeba było zapalić w piecu, żeby zagrzać ciepłej wody... Tej samej nocy aresztowali naszego gospodarza. Jego żonę i dwoje dzieci wywieziono.

Gdy Wilno zostało włączone do Związku Radzieckiego – wróciliśmy. Poszedłem znowu do szkoły. Nie była to już oczywiście szkoła religijna. Nie wiedziałem, że są to ostatnie już miesiące mojego uczniowskiego życia. Miałem 15 lat. 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Związek Radziecki. Burza, wzniecona przez tę napaść wyrwała nas – jak wielu innych – wraz z korzeniami z naszej ziemi i nie do poznania odmieniła całe nasze życie.

Burza

Niemieckie wojsko wkracza do Wilna. Stoję w bramie naszego domu i przyglądam się. Nasz gospodarz, Żyd, któremu Sowietci upaństwowili dom, stoi obok mnie i obserwuje posuwające się pojazdy, a jego twarz wyraża nadzieję, że teraz wszystko wróci do poprzedniego stanu i dom zostanie mu zwrócony.

Niemcy weszli do naszej sieni w poszukiwaniu siły roboczej. Ojciec już wcześniej pouczył nas, że jeśli zjawią się Niemcy, to mężczyźni mają wyjść z mieszkania tylnymi drzwiami. Rzeczywiście, w ten sposób często udawało się wymknąć z łapanek organizowanych przez Niemców, a najczęściej przez Litwinów. Nawiasem mówiąc, wtedy dopiero dowiedziałem się o istnieniu Litwinów – wcześniej nie tylko nigdy ich nie widziałem, ale nie słyszałem nawet, że istnieją.

Ogłoszono rozporządzenie o obowiązku noszenia żółtej łąty. Nasze wartościowe rzeczy matka oddała na przechowanie „do końca wojny” naszej przedwojennej pomocy domowej i jej mężowi.

Ciągle wyłapują Żydów do prac przymusowych. Jeden z wujków pracował w miejscowości Rzesza. Była to odkrywkowa kopalnia torfu, której właścicielami byli znajomi wujka. Załatwiliśmy z nimi pracę, unikając w ten sposób pracy przymusowej. Mieszkaliśmy w chłopskiej zagrodzie, jedzenia nam nie brakowało, a praca nie była zbyt ciężka. Mama, Nisan i większość dalszej rodziny została w mieście.

Tymczasem wydano rozporządzenie o utworzeniu getta. Ponieważ byłem w Rzeszy, nie przeniosłem się początkowo do getta, co się stało udziałem mamy i Nisana. My z ojcem przenieśliśmy się później, kiedy nie można już było dłużej pozostawać po aryjskiej stronie. Nisan pracował w tym czasie jako księgowy w żydowskim szpitalu. Mama zaczęła pracować w domu sierot dla niemowląt. Znaleźli pokój w bloku pracowników żydowskiego szpitala, przy ul. Szpitalnej 7. W mieszkaniu pozostał dotychczasowy lokator wraz z rodziną (matka, żona i pięcioro dzieci), potem dokwaterowano jeszcze doktora Leo Baranowskiego – psychiatrę i jego matkę, doktora Naftalego Reznika z matką oraz naszą rodzinę. Nam wydzielono mały, przechodni pokój. Spało się w każdym kącie, nawet na stole.

Ojciec pracował już wtedy przymusowo u Niemców jako robotnik, a ja uczyłem się w żydowskiej szkole. A ponieważ miałem więcej czasu niż inni członkowie rodziny, stałem w kolejkach po żywność, gotowałem, paliłem w piecu. Dzięki miejscu pracy mojego brata zostaliśmy włączeni do grupy otrzymujących posiłki w szpitalu. Codziennie dostawaliśmy po porcji zupy z kulką mielonego mięsa na osobę.

W getcie powstał Klub Młodzieży. Pełnił w naszym życiu ważną rolę. Skupiła się wokół niego młodzież mówiąca po żydowsku. Zebrała się również grupka mówiących po hebrajsku. Oficjalnie nazwa klubu brzmiała: „Kinder un jugend Klub” – „Klub dzieci i młodzieży”. Mieścił się w lokalu, który wyporządkaliśmy własnymi rękami. Była tu duża sala, a obok kilka mniejszych pokoi. Kierownikiem klubu był dr Leo Bernsztajn. Wśród naszych instruktorów znajdowali się poeci Abraham Suckewer i Aba Kowner. Przewodniczącym został Awrejml Żeleznikow. Mój rozkład

dnia przez prawie pół roku był następujący: rano szkoła, po południu – prace domowe, wieczorem – klub.

W klubie działały różne kółka zainteresowań; historii żydowskiej, literatury jidysz, języka hebrajskiego. Mieliśmy chór oraz kółko dramatyczne. Oba zespoły dawały występy publiczne. Była też gazetka ścienna „Cwiszn went, doch jung” („W murach, lecz młodzi”). Byłem członkiem redakcji tej gazetki. Pracowałem również w kółku badania dziejów getta, na czele którego stał historyk, Herman Kruk. On opracował ankietę, a my – sześciu członków kółka – chodziliśmy do mieszkańców getta celem jej wypełnienia.

Zapisywaliśmy, co się działo w getcie, np. zeznania świadków o przeprowadzonych tzw. akcjach, o stratach w rodzinach w skutek represji itp. Ankiety te następnie przekazywaliśmy instruktorowi naszego kółka, który na ich podstawie opracowywał analizy. W naszej grupie pracował też Icchak Rudaszewski, który pisał w getcie dziennik. Po latach dziennik ten został odnaleziony i następnie wydany w Izraelu nakładem Domu Bojowników Getta. Pisanie dziennika było trochę sprawą panującej wówczas wśród młodzieży mody. Ja również pisałem dziennik – jak już wspomniałem – po rosyjsku. Notowałem tam na bieżąco wszystko, co się wydarzyło w życiu moim i mojej rodziny.

Do aktywnych członków klubu należał pieśniarz ludowy Szmerke Kaczergiński. Przychodził do nas również poeta Hirsze Glik, autor *Pieśni partyzantów żydowskich*, którą przytaczam poniżej. Młody poeta z Wilna zaczął pisać w wieku 13 lat. Pisząc w getcie *Pieśni partyzantów żydowskich*, miał 21 lat. Rok później zginął podczas ucieczki z obozu w Estonii. Pieśń stała się hymnem bojowników i śpiewana jest do dziś na uroczystościach i spotkaniach ocalałych mieszkańców gett.

Pieśń partyzantów żydowskich

*Nie mów nigdy, że to twój ostatni krok,
dni podobne kryje w sobie ciemny mrok.
Jeszcze przyjdzie dzień stęskniony naszych snów,
i zadudni krok nasz: my jesteśmy znów!*

*Od ziem palmowych, aż po kraj, gdzie wieczny śnieg,
ból naszym milionowym jęczy wiek.
Tam gdzie padły ślady umęczonej krwi,
mocą naszą wstanie życie nowych dni.*

*Jutrenka złota nam rozjaśni każdy dzień,
przeszłość zniknie z wrogiem, jak koszmarny sen.
A jeżeli słońce zwlecze świt i złoty wschód,
niech hasłem pieśń ta będzie aż po wszystkich ród.*

*Krwia z naszych serc zroszony jest ten śpiew,
to nie jest pieśń ptaszyny pośród drzew.
Walcząc z wrogiem pośród padających wrót
z wiarą w jutro śpiewał słowa te nasz lud.*

*Więc nie mów nigdy, że to twój ostatni krok,
dni pogodne kryje w sobie ciemny mrok.
Jeszcze przyjdzie dzień wytęsknionych naszych snów,
i zadudni krok nasz: my jesteśmy znów!*

Urządzaliśmy spotkania z okazji świąt, było tam dużo śpiewania – próba oderwania się od strasznego położenia, w jakim byliśmy w getcie. Codzienna rutyna przerywana była od czasu do czasu przez „akcje”: wysiedlanie części spośród mieszkańców getta. Niemcy przeprowadzili u nas trzy duże akcje. Przed pierwszą z nich ogłoszono, że każdy ma się stawić w miejscu pracy głowy rodziny wraz z zaświadczeniem o pracy. Stawiliśmy się na rozkaz i czekaliśmy cały dzień. Gdy wreszcie dostaliśmy pozwolenie powrotu, okazało się, że tymczasem zabrano z getta wszystkich tych, którzy nie mieli zaświadczenia. Innym razem ogłoszono, by wszyscy posiadacze zaświadczeń pracy przeszli do małego getta, które opustoszocono już z mieszkańców. Nasza rodzina liczyła w tym czasie wiele osób: ojciec, matka, Nisan i ja, dwie

ciocie, wujek, ich dzieci – razem pięcioro – oraz stary, niewidomy dziadek.

Zrozumiałe, że dla dziadka nie było ani pracy, ani zaświadczenia o pracy. Przy przechodzeniu do małego getta powstał problem jak go ukryć? Ktoś z nas wpadł na pomysł: aby, gdy zbliżymy się do bramy, otoczyć gęsto dziadka całą grupą i równocześnie podać zaświadczenia, tak żeby odwrócić uwagę strażników. Fortel się udał. Dziadek pozostał z nami. W małym getcie byliśmy trzy dni. W tym czasie wywieziono pozostałych mieszkańców.

Początkowo myśleliśmy, że wywożą ich do innego miejsca osiedlenia czy do obozu pracy. Znacznie później dopiero zrozumieliśmy, że zostali zabrani do Ponar, na zagładę. Długo w to zresztą nie wierzyliśmy. Nie wierzyliśmy nie tylko pogłoskom. Nie wierzyliśmy również świadkom – myśleliśmy, że to ludzie, którym nadmiar nieszczęść pomieszał rozum, że oszaleli. Byli i tacy – pamiętam kobietę, która rzeczywiście zwariowała, chodziła po getcie i wykrzykiwała coś o Ponarach. Ale inni byli normalni, a my traktowaliśmy ich tak samo...

Któregoś dnia, w lipcu 1943 roku usłyszałem, że Icyk Witenberg jest w ruchu oporu przeciwko hitlerowskiej okupacji. Opowiadali, że przed wojną był szewcem, działaczem partii komunistycznej, a teraz w getcie stanął na czele podziemnej organizacji. Widywałem go wiele razy w getcie. Pracował w łaźni, zajmował się dezynfekcją odzieży. O istnieniu podziemia słyszałem niejasne aluzje członków klubu. Byłem za młody, żeby mnie wprowadzono w tajemnice organizacji podziemnej. Ale bardzo chciałem wstąpić w jej szeregi. Czytałem swego czasu książkę Franza Werfla *Czterdzieści dni Musy Daga*. Wielkie wrażenie zrobił na mnie duch walki i bohaterstwo Ormian w ich oporze przeciwko tureckiemu wrogowi.

Przypuszczałem, że znajdę drogę do organizacji przez kolegę, Izia Nieczuńskiego, który poszedł do lasu, ale zachorował i wrócił do Wilna. Leżał w szpitalu, w którym pracował mój brat, mogłem go więc odwiedzić. Pewnego dnia zabrałem trochę żywności i poszedłem do niego, ale nie udało mi się z nim porozmawiać ani zdobyć żadnych informacji

Rozeszła się pogłoska, że jeden z członków podziemia, który nie był Żydem, wydał Witenberga Gestapo. Niemcy przekazali sprawę komendantowi żydowskiej policji w getcie, Gensowi, który w okresie okupacji radzieckiej pracował jako księgowy razem z moim bratem. Gdy Niemcy mianowali go komendantem, zaproponował mojemu bratu wstąpienie do policji. Nisan kategorycznie ofertę odrzucił.

Gens zaprosił do swego biura przywódców podziemia – wśród nich i Witenberga. Po co? Jasne, ażeby przekazać im żądanie Niemców. W pewnej chwili weszli do biura dwaj litewscy policjanci i aresztowali Witenberga. W drodze do niemieckiej, komendantury napadli na nich członkowie organizacji i odbili swojego przywódcę.

Gens natychmiast zwołał mieszkańców getta na dziedziniec Judenratu przy ulicy Rudnickiego i oświadczył, że jeżeli Witenberg nie zostanie natychmiast doprowadzony do Gestapo, to w mieszkańcy getta zostaną zgładzeni.

– Decyzja należy do was: 1 albo 20 000! – krzyczał Gens.

Jak opisać w słowach uczucie zgrozy, jakie ogarnęło ludzi po takim ultimatum? Obecni niemal jednocześnie orzekli, że należy wydać Witenberga, żeby ocalić getto. W tragicznej atmosferze po owym ultimatum Witenberg postanowił zastosować się do decyzji sztabu organizacji i uniknąć w ten sposób bratobójczej walki. Słyszałem to z ust niektórych bojowników z getta. Szczegóły na temat posiedzenia sztabu organizacji podziemnej w sprawie Witenberga nie są znane do dzisiaj. Mówiono, że zanim udał się w drogę do Gestapo, zaopatrzył się w cyjankali. Popołniając samobójstwo, uniknął tortur w śledztwie i obawy, że nie wytrzyma i wyda swych towarzyszy. Jeśli zaś idzie o Gensa, to wysługiwanie się Niemcom nie uratowało mu życia – również i jego zabili.

Obozy pracy

W ramach działalności w klubie zdążyłem przejść w getcie trzymiesięczny kurs elektrotechniczny i dostałem pracę poza gettem. Był to litewski zakład produkujący oprzyrządowanie elektryczne:

kontakty, wyłączniki, gniazdka, wtyczki i różne wyroby bakelitolowe. Część czasu spędzałem przy sztancy, część jako pomocnik elektryka. Mój wuj pracował tam jako główny księgowy i Niemcy nigdy nie dowiedzieli się że zajmował aż tak wysokie stanowisko. W sumie pracowało nas sześciu Żydów i możliwe, że ta niewielka liczba sprawiła, iż wychodziliśmy i wracaliśmy do getta prawie bez stałej straży. Dzięki temu można coś było kupić, sprzedać, przynieść do getta żywność czy trochę węgla.

Zdarzyło się, że w zakładzie przerwano dopływ prądu. Majster, który pracował przy tokarce, kazał mi ją kręcić ręcznie. Jak się zdaje, nie robiłem tego wystarczająco szybko i wtedy wymierzył mi potężny policzek. Pracował ze mną kolega – nawiasem mówiąc, jego brat z polecenia podziemia był policjantem w żydowskiej policji – i widział co się wydarzyło. Z czasem i on trafił do partyzantki. Gdy wojna się skończyła ów kolega powrócił i stwierdził, że zakład nadal pracuje, tyle że teraz na potrzeby Sowietów i ten sam człowiek nadal jest majstrem. Kolega bardzo się rozgniewał, podszedł do niego, wymierzył mu policzek i powiedział:

– To za policzek, który wyciąłeś Anolikowi, pamiętasz?

Do getta nadeszły wiadomości i listy z obozów pracy w Estonii, że żyje się tam dość dobrze. Nie wszyscy wprawdzie uwierzyli, ale życie w getcie było z każdym dniem trudniejsze do wytrzymania, a ludzie czepiali się każdej nadziei.

3 września 1943 roku znowu akcja. Biegnę do szpitala. Brat chowa mnie w magazynie odzieży chorych. Zakopuję się w stertach ubrań. Niemcy wchodzą do szpitala i rozkazują, aby cały zespół zebrał się na podwórku. Ustawiają ludzi w szeregi i informują, że wywożą ich do Estonii. Gdy próbują przeszukać pomieszczenie, w którym się ukrywam, Nisan mówi im, że ta sterta ubrań należy do zakaźnie chorych. Wycofują się z przerażeniem.

Personel szpitala zostaje zaprowadzony na plac obok bramy getta. Ledwo żywa przybywa mama i wydobywa mnie z kryjówek. Ulice są opustoszałe. Wszystko pozamykane na kłódki i skoble. Tak jakby w getcie nikogo nie było. Mama daje mi placek i mówi:

– Idź do Nisana. Razem będzie wam lepiej.

Spieszę się. Udaje mi się dostać do bramy i wsiąść do ostatniej z ciężarówek, które odwożą pracowników szpitala na stację kolejową. Spotykam w niej Nisana. W tym pośpiechu nawet nie pożegnałem się z mamą jak należy. Czekamy. Każą nam wsiadać do wagonów towarowych. Straszna ciasnota, małe okienko zakratowane kolczastym drutem i jeden nocnik dla wszystkich.

Jechaliśmy bez przerwy trzy doby. Pociąg mijał spokojne wioski. Wyglądały jakby na świecie nie było wcale wojny. Nie mogliśmy się nadziwić – jak możliwy jest taki spokój. Marzyłem, że po wojnie i ja będę tak spokojnie żył.

Przybyliśmy do Estonii. W tym małym kraju Niemcy utworzyli dziesiątki obozów pracy. Ich więźniami w większości byli Żydzi. Ja przebywałem w sześciu takich obozach. Patrząc wstecz, okazało się, że myśl mamy, by wysłać mnie razem z bratem, była pomysłem, który się sprawdził.

Wyładowano nas w miejscowości Wajwara. Obóz był ogrodzony, w środku kilka baraków. Spotkaliśmy nielicznych Żydów zabranych z Wilna w poprzednich akcjach. Powiedzieli nam, że jest to obóz przejściowy. Od razu na wstępie kazano nam oddać wszystkie rzeczy. Jeśli ktoś nie wykonał polecenia – strzelano bez dalszych dyskusji. Przydział żywności obejmował trzy kromki chleba dziennie, wodnistą zupę i kawałek margaryny – tak śmierzdzącej, że nie odważyliśmy się jej skosztować. Pierwszy raz w życiu widziałem takie jedzenie.

W porównaniu z gettem, położenie było o wiele gorsze. Głód stawał się z każdym dniem coraz bardziej dokuczliwy. A za każde najdrobniejsze wykroczenie – dzień bez jedzenia.

Po dokonaniu segregacji przeniesiono nas po kilku dniach do innego obozu – Wiwikani. Tu przebywaliśmy około miesiąca.

Cały obóz był pogrążony w grząskim błocie. Komendantem był Niemiec. Także niewielka część kadry obozowej składała się z Niemców, ale większość strażników to byli Estończycy.

Zmorą wszystkich niemieckich obozów koncentracyjnych były tzw. „apele” – trwające 3–4 godziny dwa razy dziennie tortury: wczesnym rankiem, przed wyjściem do pracy i wieczorem, po

powrocie z pracy. Musieliśmy stać na baczność i na komendę, raz za razem wkładać i zdejmować czapki. Skrupulatnie nas liczono i jeden z więźniów składał raport Niemcom.

Karano nas biciem. Karany musiał głośno liczyć każde uderzenie. Czasem przywiązywano więźnia do drzewa i zostawiano na witońskim mrozie na wiele godzin. Była też specjalna „kanapa” – kłoda, rodzaj dyb, w których mocowano ręce i nogi. Jedna niedziela w miesiącu była wolna od pracy, ale ten wolny dzień strażnicy wykorzystywali, by znęcać się nad nami.

Z Wiwikani przeniesiono nas do Auwere. Obóz ten leżał niedaleko dawnej rosyjskiej granicy, na odludziu, pośród błot, w których można było ugrzęznąć po kolana, a mimo to stale brakowało wody. Bywało, że wodę przeznaczoną na zupełną grzano po to, żeby się w niej umyć. Mężczyźni myli się razem z kobietami. Potem staliśmy nago na mrozie. Nic dziwnego, że wielu więźniów umierało.

Mieszkaliśmy w wielkim baraku, mieszczącym 300–400 więźniów. Prycze były trzypiętrowe. Ogolono nam głowy w charakterystyczny sposób, pozostawiając od czoła do tyłu głowy tzw. „ścieżkę wszy”. Ta szczególna fryzura miała ułatwić schwytanie zbiegłych więźniów. Każdy z nas miał swój numer, wypisany na kawałku płótna i przszyty w dwóch miejscach: na piersi i nad kolanem. Ja miałem numer 819. Zamiast własnych ubrań dostaliśmy pasiaki z ciemnego materiału. Przez większość czasu głodowaliśmy. Do końca życia nie zapomnę tamtych dni, w których moje myśli krążyły tylko wokół dwóch tematów: co z matką i ojcem oraz kiedy będę miał kawałek chleba w ustach? W mojej wyobraźni kłębiły się góry gorących bułeczek i pachnące jajecznice.

Pracowaliśmy przy wycince drzew albo przy układaniu torów kolejowych czy usypywaniu wału pod te tory. Kobiety harowały razem z nami. My z bratem byliśmy zawsze razem w tej samej grupie. Podczas jednej z takich prac poza obozem – parę kilometrów od niego – brat wymknął się do lasu, gdzie znalazł estońską rodzinę mieszkającą w samotnie stojącym domu. Przyjęli go bardzo serdecznie. Mówili po rosyjsku. Potem zabierał też i mnie. Pozwalali nam się ogrzać, umyć w balii, dali coś ciepłego

do zjedzenia. Oczywiście nie płaciliśmy. Skąd mielibyśmy wziąć pieniądze? Oni też nie żądali. Po prostu – dobrzy ludzie. Widać z tego, że nie pilnowano nas nieustannie, zresztą dokąd można było stamtąd uciec?

Ale było różnie. Mój wujek, Szneur Dunski, był obozowym grabarzem. Zmarłych chowano poza obrębem obozu. Grabarz wychodził ze zwłokami i wracał, gdy je pogrzebał. Widać nie pilnowali go zbyt skrupulatnie lub przynajmniej tak sądził, bo postanowił wykorzystać te okazje w celu zdobycia żywności. Pewnego razu przyłapano go na tym w bramie i zastrzelono na miejscu. Słyszałem ten strzał. Byłem wtedy w izbie chorych. Dopiero później dowiedziałem się, że zastrzelili mojego wuja.

Leżałem w izbie chorych, bo zachorowałem na tyfus. Panowała epidemia. Nie wiem dlaczego położyli nas w izbie chorych, a nie zabili. Jak tylko pojawiły się pierwsze plamy, chorych izolowano. Wydaje się, że silni umierali szybciej od słabych. Na ogół ludzie przestawali chorować w obozach, ale epidemia to inna rzecz. W naszych oczach leżenie w izbie chorych oznaczało znalezienie się w raju, choć i w tym czasie odnoszono się do nas jak do podludzi. Za każdym razem, gdy Niemiec wchodził do izby, chorzy musieli wyprostować się w łózkach. Ale gdy gorączka opadła, chorzy dostawali większe porcje jedzenia, żeby się wzmocnić. Większe o kromkę chleba. Zwykle, gdy dostawaliśmy porcję chleba wieczorem, zastanawiałem się na ile części ją podzielić, żeby wystarczyła na cały dzień. A może zjeść ją od razu i na chwilę zapomnieć o bólach głodowych? A może podzielić na dwie części lub na trzy? Przeważnie udawało mi się zdać egzamin: zjadałem tyle i wtedy, kiedy zaplanowałem.

W obozie, podobnie jak w getcie, pisałem dziennik, który również zaginął. Pewnego dnia zdecydowano obóz zlikwidować. Znowu przenosiny do innego, do Kiwoli. Wyrusza w drogę około dwustu ludzi. Idziemy na piechotę. Rzeczy estońskich strażników załadowano na furmankę, do której my zostajemy zaprzężeni. Jest zima. Drogę pokrywa śnieg. Grzeźniemy w nim, dusimy się nim, śpimy na nim. Sto kilometrów męczarni. Jestem coraz słabszy, wciąż jeszcze nie wyzdrowiałem po tyfusie. Idę i ślaniam się,

włokę się i przystaję. Wiem, że do opieszłych strzelają, ale już więcej iść nie mogę. Zrozumiał to Nisan. Ostatnie kilometry niósł mnie na rękach. Uratował mnie w ten sposób. Szliśmy tak dzień i noc, i jeszcze jeden dzień, aż dotarliśmy do celu.

Moja pierwsza praca polegała na wydobywaniu materiału opałowego, rodzaju węgla. Wychodziliśmy z obozu w góry i tam kopaliśmy. Stamtąd był on przewożony wagonikami do miejsca przeznaczenia. Israel Cipelewicz – żydowski komendant obozu, przyzwolony człowiek, robił co w jego mocy, żeby pomagać, a nie przeszkadzać. W końcu Niemcy go zamordowali.

W obozie byli przede wszystkim ludzie samotni, bez rodzin. Mężczyźni i kobiety. Mężczyźni mieli wolny wstęp do baraku kobiecego. Było tu wielu deportowanych z Wilna, również wszelkiego rodzaju męty społeczne, kryminaliści. Część więźniarek pragnęła mężczyzn również – choć nie tylko – dla uzyskania pewnego poczucia bezpieczeństwa, a ludzie ze świata przestępczego wykorzystywali tę sytuację dla swojej przyjemności i traktowali je jak swoje nałożnice. Ale muszę powiedzieć, że zdarzali się między owymi kryminalistami również tacy, którzy gotowi byli pomagać innym.

W tym obozie spotkaliśmy także rosyjskich jeńców wojennych. Kontakt z nimi mieliśmy tylko przy pracy, gdyż mieszkali w oddzielnych barakach. Byli także Cyganie, niemieccy Żydzi i polskie prostytutki.

Przez pewien czas pracowałem w kantynie. Obok niej mieszkali niemieccy inżynierowie wraz z rodzinami. Do moich obowiązków należało między innymi przygotowanie dla nich drewna na opał. Sprzątaczkami w domach inżynierów były żydowskie więźniarki. Niemieckie kobiety odnosiły się do nas z demonstracyjnym okrucieństwem, natomiast zdarzało się czasem słyszeć słowa otuchy od ich mężów. Niemcy też dostawali przydziały chleba. Chowali go do szuflad obok łóżek. Niekiedy w czasie pracy wyciągałem stamtąd kromeczkę, tak, żeby nie spostrzegli braku.

Pomiędzy więźniami różnych obozów istniała przemyślna sieć łączności. Pewnego dnia wyznaczono mnie do rozładowywania

drewna z wagonów. I tutaj – niesamowite odkrycie: na kłocach drewna wyryty napis, a w worku z wiórami – lista nazwisk ludzi, z zaznaczeniem miejsc, w których się znajdują w momencie sporządzania spisu, skąd przybyli i gdzie ich mają wysłać. Oczywiście spieszą szukać znajomych imion, nazwisk i nagle – czy to możliwe? – nazwisko mojego Ojca! To była lista Żydów z obozu Klooga. Jak się tam dostać?

W maju 1944 ogłoszono, że potrzeba stu fachowców do pracy w obozie Klooga. Brat mój i ja szybko się zgłosiliśmy. Ja oczywiście jako technik-elektryk.

Obóz SS Klooga

Ojciec przebywał w Klooga już od września 1943 roku. Trudno go było poznać. Miał dopiero 50 lat, ale wyglądał jak starzec. Pochylony, poorany zmarszczkami, cierpiący na kurzą ślepotę. Razem z nim był wujek Wołodia Poczter. Od nich usłyszeliśmy, że getto już nie istnieje. A matka?

To był najgorszy ze wszystkich obozów w jakich przebywałem. Cały otoczony drutem kolczastym. Stały tu dwa główne budynki: blok kobiecy i blok męski, a obok każdego z nich plac apelowy. W naszym bloku były dwie duże sale na około 300 więźniów każda, a po bokach mniejsze pokoje. Spaliśmy na drewnianych, trzypiętrowych pryczach. Było tam 2 500 więźniów –młodych, starych, mężczyzn i kobiet. Jedzenia mało i okropne. Praca – katorżnicza.

Pracowałem przy wylewaniu betonowych kolumn, długich na 4 metry. Były okropnie ciężkie. Ruszyć i podnieść – dosłownie wyrываło flaki. Kolumny służyły do wzmacniania bunkrów. Nic dziwnego, że Niemcy byli tą pracą żywotnie zainteresowani.

W lipcu 1944 wyprowadzono nas na coś w rodzaju wycieczki nad morze, jakieś dwa kilometry od obozu. I oto my, brudni, zawszawieni, ropiejący, którzy nie obcinaliśmy paznokci od czasu przybycia do obozu, chlapiemy się w wodzie, wdychamy pełną piersią powietrze i wygrzewamy na słońcu. Z ciężkim sercem wychodziliśmy z wody, by powrócić do obozu, do twardych, zimnych prycz, do wylewania betonu. Powiedziałem sobie, że jeśli

wyjdę stąd żywy to znak, że pozostanę już przy życiu i wojna wkrótce się skończy.

Przez cały czas byłem głodny, ale nie poniżyłem się do żebrania o trochę jedzenia i – na moje szczęście – nie paliłem. Pamiętam jak w Auwere więźniowie rzucali się na wypluwane przez Niemców niedopałki, jak pracowali jak opętani, bo temu, kto pierwszy skończy Niemiec obiecał papierosa, a potem dotrzymywał obietnicy albo nie.

Pewnego dnia na apelu zapytano, kto chce przejść do innego obozu. Mój brat miał teorię, która nakazywała przenoszenie się z miejsca na miejsce. Poruszać się, być w drodze jak najdłużej się da – to miało ułatwić przeżycie. Dlatego zgłaszamy się na ochotnika – ojciec, brat i ja. 22 sierpnia przewieziono nas do obozu o nazwie Lagedi. Nie wiedzieliśmy, że rozdział Klooga jeszcze się dla nas nie zamknął.

Lagedi to też odludne miejsce, położone wśród pól i lasów. I chociaż tam spędziliśmy tylko trzy tygodnie, był to dla nas znaczący przystanek: w tym miejscu rozstaliśmy się z ojcem.

Gdy przybyliśmy na miejsce, oczekiwało nas w bramie około 100 weteranów obozowych. Powiedzieli nam, że przez obóz przeszło już wiele „turnusów” więźniów żydowskich. Prawdopodobnie został wybudowany przez samych więźniów. Spotkałiśmy tam Hermana Kruka, naszego nauczyciela i wychowawcę z klubu młodzieżowego w wileńskim getcie, tego, który nauczył nas zbierać dane. Kruk nadal pisał dziennik i sześciuosobowej grupie świadków, wśród nich był Nisan, pokazał miejsce, w którym go ukrywał oraz prosił, by ten, kto zostanie przy życiu po wojnie wyciągnął notatki z ukrycia. Zdaje się, że tylko mój brat pozostał przy życiu z całej szóstki. Po wyzwoleniu pospieszył do Lagedi, odszukał dziennik i przywiózł go do Wilna. Bardzo trudno było go odczytać, tak małe były literki. Przekazaliśmy go Abie Kownerowi.

Tymczasem w Lagedi zakwaterowano nas w barakach bez podłóg, prycz czy ław – spaliliśmy na gołej ziemi. Jedzenie było lepsze w porównaniu z innymi obozami. Poza samym obozem

mieszkał wraz z rodziną sierżant SS, Estończyk. Na podwórku jego domu była kuchnia polowa z paleniskiem i kotłami. Moja praca znowu polegała na przygotowywaniu drewna na opał. Jej zaletą było to, że wszyscy trzej, którzy się tym zajmowaliśmy, mogliśmy korzystać z resztek jedzenia, które zostały w kotłach po rozdzieleniu żywności. Ojciec i brat pracowali w środku obozu.

Po około trzech tygodniach, gdy byliśmy zajęci naszą pracą poza obozem, przyszedł Niemiec i rozkazał nam udać się natychmiast do obozu. Powiedział coś o ewakuacji. Zrozumieliśmy, że znów nas przenoszą. Pospiesznie wróciłem do obozu, żeby złąpać ojca i brata. Okazało się, że ojciec został już wysłany z pierwszą grupą. Nisan skaleczył się i w ten sposób mógł na mnie poczekać. Na drogę po raz pierwszy każdy z nas dostał bochenek chleba, marmoladę i cukier.

Załadowano nas na ciężarówkę: ciężarówka kobiet, ciężarówka mężczyzn. Jechaliśmy na stojąco, w strasznym ścisku, strażnicy razem z nami. W czasie jazdy – jak zwykle – nasuwały się różne domysły na temat celu i powodu podróży. Nie sędzę jednak, by trapiła i nas jakaś szczególna troska, gdyż wszystko, całe życie uczuciowe zostało w nas bardzo stępione.

Coś się zepsuło w ciężarówce wiozącej kobiety i nasz kierowca zatrzymał się, żeby pomóc koledze. Było już po południu i naprawa potrwała do zapadnięcia zmroku. Potem pojechaliśmy dalej, aż na skraj lasu. Z lasu wyszedł Niemiec, zatrzymał samochody i powiedział:

– Tutaj robota skończona. Jedźcie dalej! Do Tallina!

Nie zrozumieliśmy, jaka robota została w tamtym miejscu skończona. Po wojnie brat zaczął szukać ojca i dowiedział się, że na tym leśnym przystanku wysadzono pierwsze transporty więźniów i zastrzelono ich na wielkiej porębie. Ojciec był wśród nich. Stało się to 18 września 1944 roku. Tylko dwóch ludzi się uratowało: Ariel Szymonowicz, który został lekko ranny, oraz Rotbord, trafiony w kark, któremu udało się uciec do lasu.

Ariela Szymonowicza spotkałem później w obozie Klooga. Opowiedział mi, że razem ze swoim synem został przywieziony na ową polanę. Niemcy wiązali po około 10 osób, jedną do drugiej,

i kazali im wejść na stos wcześniej przygotowanych drewnianych pali. Kiedy ludzie usiedli na palach, strzelali do nich. Potem podpálili stosy. Gdy strzały umilkły, Ariel zdał sobie sprawę, że jest tylko ranny. Niemcy poszli po benzynę, a on wypełził się z miejsca straceń i dobrnął do lasu, skąd widział wielkie ognisko na polanie, z której uciekł. Przez kilka dni ukrywali go estońscy chłopci, a gdy weszła Armia Radziecka, został umieszczony w szpitalu. Po tygodniu przewieziono go do Kloogi.

Niemcy przywieźli nas do więzienia w Tallinie, gdzie przemocowaliśmy. Przestraszyliśmy się, gdy ktoś nam powiedział, że znajdujemy się na oddziale skazanych na śmierć. Rano daje się zauważyć poruszenie wśród Niemców – zdenerwowanie, biegania, pospieszne narady. Oczywiście oni wiedzieli dokładnie to, czego my mogliśmy się co najwyżej domyślać – że Armia Czerwona jest już blisko. Załadowano nas na ciężarówki i pod wzmożoną strażą, z esesmanami z przodu i z tyłu przewieziono z powrotem do Kloogi. W bramie obozu zobaczyliśmy, że plac jest pełen więźniów. Zebrano chyba 2 500 ludzi, w grupach po 50 osób, wszyscy na klęczkach, z rękami założonymi na głowę. Nas usadowili pod ogrodzeniem bloku żeńskiego. Następne były grupy kobiet. One też musiały klęczeć obok nas. Od innych więźniów dowiedzieliśmy się, że zanim nas przywieziono, wyprowadzili za bramę 300 ludzi. Widziałem jak przechodzili po drugiej stronie ogrodzenia. Każdy z nich dźwigał na ramieniu kłoc drewna lub duży pień. Przesuwali się ciężkim krokiem, aż zniknęli nam z oczu. Jeden spróbował ucieczki i został natychmiast zastrzelony. Widzieliśmy jak się zgina i pada.

Nasz wujek, Wołodia Poczter, dostrzegł nas i zbliżył się, niemal pełzając. Wyciągnął z kieszeni zegarek i dał go mojemu bratu, szepcząc: – Ja go już nie potrzebuję – po czym wrócił do swojej grupy. Mam ten zegarek do dziś.

Żołnierze z bronią gotową do strzału odprowadzali jedną grupę po drugiej w stronę pobliskiego lasu. Znikali w lesie i słychać było strzały automatów. Przez głowę przemknęła mi myśl: właśnie likwidują nas, stoimy w kolejce do...

Między więźniami narastał niepokój. Między mną i bratem do tej pory panowała zgoda – to on jest tym, który prowadzi, on jest przywódcą. Patrzę na niego i widzę, że nie reaguje. Biorę więc inicjatywę w swoje ręce i mówię do niego: – Nisan, uciekamy. Oddaliśmy najpierw ja, za mną brat. Za nami jeszcze około dziesięciu czy dwudziestu więźniów. Najpierw niepewnie, potem biegiem. Dopadliśmy dwupiętrowego budynku mieszkalnego, cały czas przekonani, że Niemcy nas gonią, że za chwilę usłyszymy strzały i granaty. Na ostatnim piętrze wcisnęliśmy się pod najniższą pryzcę, wolną przestrzeń między łóżkiem a podłogą, zakrywając derką i poduszkami. Z parteru rozległy się strzały. Serie strzałów i cisza. Tak wielka, że aż dzwoniło w uszach. Kiedy po wielu godzinach odważyliśmy się wyjść z ukrycia, spostrzegliśmy że także pod innymi pryzkami leżeli ukryci Żydzi, przez okno zobaczyliśmy jęzory ognia wydobywające się z lasu. Jeden z więźniów wyszedł na zwiad. Po powrocie opowiadał o mnóstwie zwłok w budynku i na dziedzińcu. Okazało się, że ostatniej grupy już nie zaprowadzili do lasu –wystrzelali ich na dziedzińcu. Ja również wyszedłem. Natknąłem się na trupa kobiety z niemowlęciem w ramionach. To nie była Żydówka. Jak się zdaje. Jedna z więźniarek przebrała się w znalezione cywilne ubranie i wyszła zobaczyć co się dzieje. Wróciła krzycząc: – Nie ma Niemców!

Był to dzień 22 września 1944 roku.

Pierwszych sowieckich żołnierzy, jacy się pojawili, zaprowadziliśmy przede wszystkim do lasu. Najpierw natknęliśmy się na resztki spalonego domu. Zobaczyliśmy tylko fundamenty, komin, kości i niedopalone zwłoki.

Po kilku dniach usłyszeliśmy od Abrahama Wapnika, że on i Żyd nazwiskiem Icyk Obielewicz uratowali się właśnie z grupy więźniów wprowadzonych do tego domu. Niemcy wprowadzali ich jednego za drugim. Przed nim wszedł jego ojciec. Strzelali do nich. Abraham dostał kulę w kark. Ranny, leżał pod ciałami. Niektórzy jeszcze konali na nim i czuł ich przedśmiertne drgawki. Próbował strząsnąć z siebie ciała i przebić się do wyjścia. Zdołał się uwolnić, Niemcy oddalili się po benzynę i nie zauważyli kiedy wyskoczył przez okno. Dopiero po chwili zaczęli strzelać, ale nie trafili i udało mu się uciec w głąb lasu.

Szliśmy z sowieckimi żołnierzami dalej w las, aż zobaczyliśmy trzy stosy. Drewno częściowo nadwęglone, a wśród kłoców spalone zwłoki ludzkie. Każdy stos zbudowany był z wielkich drewnianych bali, a pośrodku rodzaj wysokiego komina z żerdzi dla przepuszczania powietrza podczas spalania. Niemcy zmusili ludzi, by kładli się na owych kłocach, twarzami na zewnątrz i strzelali do każdego z osobna. Na warstwę trupów i niedobitków znowu nakładali pniaki, przychodziła następna warstwa ludzi i tak cztery razy. Na te stosy Niemcy wylali benzynę i podpalili je.

Ogień jeszcze się tlił. W środku stos wypalił się całkowicie, do samej ziemi, natomiast w czterech rogach pozostał niemal nienaruszony. Niektórzy przed zastrzeleniem nakryli sobie oczy czapkami. Widok był przerażający. Rozpoznaliśmy kilku naszych kolegów.

Naokoło leżały ubrania ofiar – wierzchnią odzież kazano im zdjąć, obok dokumenty i fotografie. W pewnej odległości zobaczyliśmy jeszcze jeden stos. Pniaki nadal leżały równo ułożone, pośrodku „komin”. Zrozumieliśmy – to stos przygotowany dla nas. Na niedalekim polu leżały zwłoki kobiet. Próbowaly ratować się ucieczką, ale wszystkie zostały zastrzelone. Ani jeden człowiek nie uratował się z tego miejsca.

W ten sposób zamordowano 2 500 ludzi. Nie płakaliśmy na widok tej Doliny Płaczu. Już nie potrafiliśmy. Ale żołnierze wybuchnęli płaczem, stojąc przed tym przerażającym obrazem. Klooga był jednym z pierwszych wyzwolonych obozów śmierci. Oficerowie polityczni Armii Czerwonej prowadzili tam i do pobliskiego lasu oddziały żołnierzy, żeby zobaczyli oblicze wroga, przeciwko któremu walczą. Przybyli także dziennikarze. Przyszło trochę uratowanych z innych obozów. Opowiadaniom nie było końca.

We mnie rozgorzała żądza zemsty. Poszedłem do Lagedi schwytać estońskiego sierżanta, u którego pracowałem. Umknął. Pozostali tylko członkowie jego rodziny. Powróciłem do Kloogi. Po miesiącu przywieziono nas do Wilna.

3. Przeciw zbrodniarzom wojennym

Procesy w Niemczech

W latach 1965–1969 jeździłem do Niemiec, aby składać zeznania na procesach przeciwko nazistowskim przestępcom wojennym. Ponowne spotkanie z Niemcami było dla mnie trudnym przeżyciem. Wprawdzie nazywały się one już „innymi” Niemcami, ale nie odczułem tego, kiedy po wyjściu z samolotu ujrzałem umundurowanych żołnierzy i policjantów niemieckich. Z ciężkim sercem jeździłem do tych kilku miast, gdzie widziałem dobrobyt i luksus, a przypominało mi to niedostatek, cierpienia i śmierć, zadane przez Niemców mojemu i wielu innym narodom.

Pamiętałem Stuttgart z dnia tuż po wojnie, z obozami wychodźców i wygnańców. Było to miasto doszczętnie zburzone. W 1966, kiedy ujrzałem je ponownie, jaśniało zwycięsko, jak drwina z narodów, które hitlerowcy utopili we krwi. W ostatnich latach wojny powstały wokół Stuttgartu liczne obozy koncentracyjne, do których zwieziono do niewolniczych robót i zgładzono tysiące Żydów z Litwy, Łotwy i z innych krajów. Nie potrzebne mi były dane statystyczne, ażeby wiedzieć, że poziom życia w Niemczech przewyższa znacznie to, co widziałem w krajach Europy Zachodniej, które odniosły w wojnie zwycięstwo. I wiedziałem, o ile niższa jest stopa życiowa w państwach Europy Wschodniej.

Pewnego dnia siedział obok mnie w kawiarni młody Niemiec – może dwudziestopięcioletni. Gdy usłyszał, że mówię po hebrajsku, zapytał, czy jestem z Izraela, a słysząc, że tak, powiedział: „Uwierz mi, że wstydzę się spojrzeć ci w twarz i w twarz każdego Żyda. Wprawdzie mój ojciec nie brał udziału w mordowaniu Żydów, ale mój naród dopuścił się straszliwej zbrodni”.

Sala sądowa bywała przeważnie pusta, wyjąwszy pierwsze dni rozpraw. Przez większość czasu tylko jeden człowiek siedział w ławach dla publiczności: była to Miriam Nowicz, członkini kibucu im. Bojowników Getta.

W Stuttgarcie spotkałem dwie członkinie naszego kibucu. Każde z nas przybyło w innym celu, lecz wspólnym mianownikiem była Zagłada. Ja przyjechałem jako świadek oskarżenia przeciwko komendantowi obozu koncentracyjnego w Estonii. Ewa Feldenkreis przybyła na spotkanie z kobietą, która pomogła jej się uratować w ostatnim okresie wojny. Miriam Nowicz jeździła z procesu na proces, słuchała zeznań i zbierała dowody, szukała fotografii, dokumentów, przedmiotów artystycznych i filmów dokumentalnych. Dotrzymywała w ten sposób ślubowania, jakie złożyła poecie Icchakowi Kacnelsonowi, z którym była w obozie Vittel we Francji: że jeżeli zostanie przy życiu, poświęci je na zbieranie łez żydowskiego narodu.

Cała uwaga Miriam Nowicz skupiała się na procesach. Niemcy nie interesowały jej. Trzymała się z daleka, nie wdawała się w rozmowy z Niemcami, z wyjątkiem tych, którzy mogli coś wniesć do sfery jej zainteresowań. Nie jadała w niemieckich restauracjach. Wystarczała jej kanapka kupiona w kiosku po drodze. Zwykła była podróżować pociągami nocnymi, żeby nie nocować w niemieckich hotelach. Był to wyjątkowy przypadek ascezy w Niemczech, opływających we wszelkie dobra i luksusy.

Jeden z procesów, w którym składałem zeznania, wytoczony został przeciwko Helmutowi Schnablowi, Oberscharführerowi SS, komendantowi obozu Vivikoni w Estonii, oraz przeciwko trzem innym oskarżonym, którzy działali w innych obozach. Jeden z nich został już wcześniej skazany na dożywotnie więzienie w procesie zbrodniarzy z Oświęcimia.

Sąd składał się z trzech sędziów i 11 przysięgłych. Oskarżonych broniło czterech adwokatów. Wkrótce po zakończeniu procesu jeden z sędziów doznał załamania nerwowego, co adwokaci wykorzystali, żądając unieważnienia orzeczenia sądu oraz wyroku, z motywacją, że sędzia ten był niesprawny umyślowo już w czasie trwania procesu. W efekcie po roku proces został wznowiony.

Z Helmutem Schnablem spotykaliśmy się także w innych obozach, gdzie byliśmy świadkami jego licznych okrucieństw, ale tylko w Vivikoni świadkami morderstwa. Stało się to rankiem, gdy więźniowie ustawiali się do apelu. Ziemia była tam grząska i błotnista. Schnabel z wściekłością wyciągnął jednego z Żydów z szeregu, cisnął go na ziemię i obutą w ciężki bucior nogę wbijał jego głowę w ziemię, tak długo, aż więzień zmarł.

Do sądu Schnabel przyjeżdżał wyelegantowany, wspinał się samochodem. Jego adwokat dowodził, że zeznania moje i mojego brata Nisana należy unieważnić, ponieważ w Estonii został zabity nasz ojciec i w związku z tym nasze zeznania nie są obiektywne. Poza tym adwokat przedstawił zeznania złożone przez mojego brata w Rydze, na Łotwie, w roku 1946, przed Sądem Najwyższym Estonii. W procesie tym skazanych zostało pięciu niemieckich generałów, którzy byli odpowiedzialni za obozy w krajach bałtyckich. Adwokat wyciągnął ze swej teczki kartkę z fragmentem tego zeznania i odczytał, odpowiednio akcentując, jakby pragnął tym sędziów zaskoczyć. Były tam zdania w rodzaju: „Każdy Niemiec w mundurze powinien zapłacić za przelaną żydowską krew. Powinien wiedzieć, że na wyrok taki czekają ci, których już nie ma. Oni czekają na wyrok sprawiedliwy, który ich pomści, za krew matek i dzieci, krew za krew”.

Nim rozpocząłem zeznanie, zwrócił się do mnie przewodniczący sądu, przeprasząc za pytanie, jakie winien mi zadać na wstępie, ale jest obowiązkowa niemiecka procedura prawna: Czy jestem krewnym oskarżonego? Gdybym odpowiedział twierdząco, moje zeznania byłyby nieważne. Prawdę powiedziawszy zadrżałem, słysząc tego rodzaju pytanie.

Sąd odrzucił zastrzeżenia adwokata i przyjął nasze zeznania. W procesie zeznawały dziesiątki Żydów z różnych państw. Wśród świadków obrony był Niemiec ze służby sanitarnej w jednym z estońskich obozów. Złożyliśmy obciążające go zeznania.

Schnabel został skazany na 12 lat więzienia. Jedna z niemieckich gazet w związku z tym procesem pisała: „Oskarżyciele są bezlitośni, żeby tego rodzaju procesy urządzać w Niemczech. Jest to międzynarodowy spisek dla znieważenia dobrego imienia naszego kraju”. Inna gazeta pisała, że świadomie i z premedytacją

wymyśla się potwarze i fabrykuje opowieści grozy dla wywołania wstrząsu. A jeszcze inna domagała się równości wobec prawa: postawienia przed sądem członków armii alianckich za zbrodnie dokonane w Niemczech

Po złożeniu zeznań na procesie przeciwko Schnablowi, wezwani zostaliśmy przez oficerów policji kryminalnej do złożenia zeznań przeciwko innym jeszcze Niemcom, którzy czynni byli w obozach na terenie Estonii. Przesłuchania odbywały się w biurach miejscowej policji, gdzie w czasach hitlerowskich mieścił się sztab Gestapo. Badano mnie z typową niemiecką skrupulatnością. Obaj oficerowie śledczy, jeden młody, a drugi w wieku średnim, byli doskonale obeznani z tematem. Atmosfera tych przesłuchań i budynek, w którym się odbywały, wpłynęły na mnie przygnębiająco.

Po zeznaniach na dwóch procesach przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym, zostałem wezwany na świadka w trzecim procesie – przeciwko Oskarowi Helwigowi, komendantowi obozu Klooga. Dzień przed rozpoczęciem procesu otrzymałem telegram, że oskarżony zachorował. Więcej o tej sprawie nie słyszałem. Później dowiedziałem się, że sprawa została zamknięta.

Razem z Miriam Nowicz odwiedziliśmy kilka miejsc, w których naziści zorganizowali obozy koncentracyjne. Między innymi dotarliśmy do Schoenbergu. Z daleka już zobaczyliśmy ogromny krzyż wznoszący się pośrodku cmentarza. Jak wszystkie niemieckie cmentarze i to miejsce było czyste oraz zadbane, z wytyczonymi ścieżkami i tabliczkami informacyjnymi dla zwiedzających. Tyle, że nikt tam nie przychodził i nikt nie interesował się nazwiskami pochowanych. Było to jedno wielkie oszustwo: 87 Holendrów, 800 Litwinów, 44 Łotyszy, 80 Niemców itd. – ale ani śladu po Żydach, których tak wielu zostało w tym obozie zamęczonych na śmierć.

W innej miejscowości zapytaliśmy tamtejszego rolnika, gdzie był obóz koncentracyjny. Pokazał nam kierunek, wytłumaczył jak trafić i dodał pospiesznie: „Ale wtedy nic o tym nie wiedzieliśmy”.

Odetchnąłem z ulgą w drodze do domu, po opuszczeniu Niemiec, skąd zabrałem ze sobą woreczek ziemi z cmentarza, gdzie bezimiennie i bez śladu pochowanych jest tak wielu Żydów.

4. Po latach

Niespodzianki życiowej drogi

Około roku 1960 w naszej kibucowej szkole im. J. Korczaka, której wówczas byłem dyrektorem, powstała biblioteka. Budynek został zaprojektowany przez Noemi Judkowską, członkinię naszego kibucu. Noemi zaproponowała, żeby w pokoju bibliotecznym urządzić stały „kącik” – ekspozycję dla upamiętnienia postaci Janusza Korczaka. W „kąciku” można by ustawić książki, zdjęcia, dokumenty i inne eksponaty z nim związane. Realizacja była wizją przyszłości, jako że wtedy, kiedy Noemi wystąpiła ze swoją propozycją, nie mieliśmy jeszcze żadnego eksponatu.

Pewnego razu usłyszałem, że Arie Buchner, kierownik szkoły, były wychowawca z Domu Sierot Korczaka w Polsce, posiada wiele pamiątek po Korczaku. Może więc z jego zbiorów uda nam się otrzymać coś dla naszego „kącika korczakowskiego”?

I rzeczywiście – Buchner przyjął mnie bardzo serdecznie i już w czasie pierwszej wizyty otrzymałem od niego liczne ważne dokumenty, włącznie z niedrukowanym nigdzie opowiadaniem Korczaka pt. *O północy*, a także książkę z jego własnoręczną dedykacją, zeszyty, a wśród nich notatki Buchnera o wydarzeniach w Domu Sierot z uwagami pisanymi przez Korczaka i jego pomocnicę – Stefanię Wilczyńską, poza tym wycinki prasowe, książki i fotografie.

W czasie spotkania Arie zaproponował mi wstąpienie do izraelskiego związku korczakowskiego, któremu przewodniczył. Należał do niego także Josef Amon, którego z Korczakiem łączyły bardzo bliskie stosunki. Przed wojną, przez dwa lata pracował w jego Domu Sierot jako wychowawca. Josef, członek kibucu

Ein Hamifrac, przez całe lata utrzymywał kontakt listowny z Korczakiem i większość znanych listów pochodzi z jego zbiorów. Archiwum Amona wzbogaciło zbiory naszego Archiwum, gdyż po jego śmierci żona przekazała nam te materiały.

Gdy w Polsce z okazji stulecia urodzin Korczaka postanowiono zwołać międzynarodowy zjazd, w Izraelu powstał Społeczny Komitet dla uczczenia tej rocznicy. Przewodniczył mu minister oświaty i kultury, Aharon Jadlin, duszą zaś, tak przy powstawaniu, jak i w działaniu, był Josef Amon. Zrozumiałe, że Josef był najodpowiedniejszym delegatem do reprezentowania Izraela na uroczystościach w Polsce. Niestety, zachorował i nie mógł pojechać. Ponieważ byłem aktywny w Komitecie Izraelskim, wybrano mnie jako delegata. I tak – dzięki serii przypadków – powróciłem na polską ziemię, pierwszy raz od kiedy stamtąd wyszedłem jako ocalony z Zagłady, sądząc że już nigdy tam nie powrócę.

Warszawa

W maju 1978 roku poleciałem samolotem (przez Wiedeń, bo nie było wówczas bezpośredniego połączenia) z pierwszą wizytą do Warszawy. Prawie jej nie znałem, ale w ciągu lat wiele o niej słyszałem, zwłaszcza od Antka (Icchaka) Cukiermana, Cywii Lubetkin i Tuwii Bożykowskiego. Dużo czytałem o Warszawie z dni powstania w getcie i Żydowskiej Organizacji Bojowej. Zbliżałem się zatem do miasta znanego mi w jakiś sposób. Miasto jednakże okazało się całkowicie odmienne od tego, co sobie wyobrażałem. Obecna Warszawa jest wielkomiejska, piękna i czysta, miasto, które powstało z gruzów.

Uroczystości 100-lecia urodzin Janusza Korczaka otwierały „Rok Korczakowski” w Polsce i w trakcie ich trwania miano powołać Międzynarodowy Społeczny Komitet im. Korczaka. Od razu w dniu mojego przyjazdu, o godzinie 11 przed południem, we wspianej sali Zamku Królewskiego nastąpiło otwarcie pierwszego uroczystego posiedzenia Polskiego Komitetu Korczakowskiego. Przewodniczącym obrad w dniu otwarcia był minister oświaty, profesor Jerzy Kuberski. Podeszedłem do niego i przedstawiłem się.

– O, pańskie nazwisko jest mi znane, słyszałem o Panu od naszych wspólnych przyjaciół – powitał mnie ciepło i od razu zniknęło skrępowanie, jakie zazwyczaj towarzyszy tego rodzaju pierwszym spotkaniom. W ciągu następnych lat nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki. Ze środka podium patrzył na zebranych portret Korczaka, a obok hasło z jego wypowiedzi: „Dzieci stanowią połowę ludzkości”. Uroczystość otworzył harcerski pochód z proporcami. Po mowach powitalnych poproszono mnie o zabranie głosu jako pierwszego – gest, który wówczas wydał mi się godny zanotowania, bowiem stosunki dyplomatyczne między Polską a Izraelem były zerwane od czasu Wojny Sześciodniowej z 1967 roku.

Przemówienie rozpocząłem po hebrajsku, po czym przeszedłem na polski. Pokrótkę zreferowałem działalność Komitetu Izraelskiego, a następnie przedstawiłem związki Korczaka z Erec Israel, a zwłaszcza z ruchem kibucowym. Przekazałem zebranym opowieść usłyszaną od Dawida Simchoni, członka kibucu Ein Charod, zaprzyjaźnionego z Korczakiem i goszczącego go w czasie jego wizyt w Kraju. Korczak mianowicie, po przyjeździe do Ein Charod, pytał wszystkich jak kibuc może przez dłuższy czas trzymać u siebie bezpłatnie obcego człowieka. A już drugiego dnia pobytu, kiedy nie można go było znaleźć w jego pokoju, okazało się, że od wczesnego ranka siedzi w kibucowej kuchni i obiera ziemniaki, rozstrzygając w ten sposób swoje wątpliwości. W liście do Josefa Amona Korczak napisał:

„Nie tracę nadziei, że ostatnich kilka lat spędzę w Palestynie, by tęsknić tam za Polską” (8.10.1932). Ale los chciał inaczej...

Główne przemówienie na uroczystości otwarcia wygłosił pisarz Igor Newerly, który również jest Sprawiedliwym wśród Narodów Świata – w czasie wojny ukrył u siebie w domu młodego Lejzera Czarnobrodę. Kiedy później byłem u niego w domu, opowiedział mi, że od czasu do czasu przedostawał się do getta, żeby przynieść Korczakowi pieniądze i żywność dla Domu Sierot.

Newerly urodził się w 1903 roku z matki Polki i ojca Rosjanina – kapitana carskiej armii. Wiele lat mieszkał w Rosji, przeżył tam również czasy rewolucji. Przez pewien okres był członkiem

Komsomołu, zajmował się „kulturą ludową”. W 1924 roku, wraz z matką, powrócił do Polski. Początkowo pracował jako strażnik leśny. W 1926 roku przybył do Warszawy, przypadkowo spotkał się z Korczakiem i został przyjęty jako instruktor stolarki w Domu Sierot. Gdy Korczak dowiedział się, że Newerly zna scenografię, mianował go swoim sekretarzem, a potem powierzył mu redagowanie pisma dziecięcego „Mały Przegląd”, czym Igor zajmował się aż do wybuchu wojny.

W trakcie swojego inauguracyjnego przemówienia Newerly opowiedział, że podczas jednej z wizyt w getcie przyniósł Korczakowi „aryjskie dokumenty”, które umożliwiały mu opuszczenie getta. Korczak odmówił ratunku bez „swoich dzieci”. Natomiast dał Newerlemu do ukrycia dziennik, który pisał w getcie. Później Newerly, z powodu swej działalności w polskim podziemiu, został aresztowany i wysłany do obozu koncentracyjnego. Po wojnie wyjął dziennik Korczaka ze schowka i opublikował go. Został honorowym prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka.

Po zakończeniu uroczystości otwarcia obchodów, zaproszeni zostaliśmy na obiad, w czasie którego siedziałem przy stole obok premiera Polski. Była to obfita uczta, przygotowana według wszystkich tradycyjnych reguł minionych czasów. Byłem oszołomiony różnicą, jaka dzieliła moje kolejne wizyty w Warszawie: przed 33 laty, kiedy jako oswobodzony więzień, wracałem z Estonii i zatrzymałem się tutaj na jedną noc, i teraz... W podnieceniu moim zwróciłem się do premiera i bez namysłu zaprosiłem go do Izraela.

– Nie jest to niemożliwe – odpowiedział dyplomatycznie.

Trzeciego dnia wizyty w Warszawie poszedłem na teren byłego getta. Byłem w takim stanie ducha, że chwilami znikał mi sprzed oczu park i nowe domy, widziałem getto ogarnięte płomieniami, jak widziałem je na licznych fotografiach ze zbiorów generała Stroopa, widniejących na wystawie w Domu Bojowników Getta. Długo stałem przy pomniku i obok bunkra przy ulicy Miłej 18, gdzie zginęło wielu bojowników Żydowskiej Organizacji Bojowej z dowódcą, Mordechajem Anielewiczem na czele.

Stamtąd poszedłem na Umschlagplatz, gdzie znajdowała się wówczas jeszcze tylko tablica pamiątkowa w trzech językach: jidysz, hebrajskim i polskim: „Z tego miejsca w latach 1942 i 1943 hitlerowscy ludobójcy wywieźli na męczeńską śmierć do obozów zagłady setki tysięcy Żydów”. I znowu zjawiała się przed moimi oczami fotografia z ekspozycji w Muzeum Bojowników Getta: ciasny tłum Żydów z bochenkami chleba w rękach. To byli ci wygłodniaли, których na Umschlagplatz znęciła niemiecka obietnica, że kto się tam stawi z własnej woli, otrzyma bochenek chleba...

Nazajutrz chciałem pójść na ulicę Krochmalną. Dawniej przy tej ulicy, pod numerem 92, znajdował się Dom Sierot Janusza Korczaka. Nie wiedziałem, że po wojnie ulicy już nie ma, została podzielona i zmieniona. Miejsce, w którym stał sierociniec, ma dzisiaj inny adres dlatego trwało trochę, zanim ten dom znalazłem. Na froncie umocowana jest tablica z dawną nazwą ulicy. Byłem wzruszony tym spotkaniem z Korczakiem, po raz pierwszy nie poprzez papiery – dokumenty, książki, fotografie – ale bardziej namacalnie, w miejscu i przed domem, w którym żył.

Dom został odnowiony i przyszedłem tam ponownie wraz z uczestnikami zjazdu korczakowskiego na uroczystość ustawienia cokołu pod mający stanąć na dziedzińcu pomnik Korczaka.

Któregoś dnia poszedłem do Państwowego Teatru Żydowskiego im. Ester Rachel Kamińskiej. Wystawiali *Gwiazdy na dachu*, sztukę z życia żydowskiego miasteczka. W akcję wplecione został ludowe piosenki z różnych okresów, pieśni i tańce chasydzkie, a także piosenka *Hewenu szalom alejchem* („Przynosimy wam pokój”) oraz *Am Israel chaj* („Naród żydowski żyje”). Specjalne znaczenie miały te słowa w Polsce, która zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem oraz w Warszawie bez Żydów, w teatrze, którego połowę zespołu aktorskiego stanowią młodzi Polacy, którzy nauczyli się grać w języku żydowskim i tańczyć „dos micwe tencł” dla publiczności w większości nieżydowskiej. Widownia wyposażona jest w słuchawki, żeby umożliwić polski przekład; widzowie głównie miejscowi oraz niewielu turystów.

Powiedziano mi, że młodzi Polacy, aktorzy teatru uczyli się jidysz u lingwisty i tłumacza Michała Friedmana. Friedman gościł

kiedys u mnie w kibucu Bojowników Getta. Opowiedział mi wtedy, że udziela lekcji języka żydowskiego młodym Polakom i zaprosił na taką lekcję, gdy będę w Polsce. Poszedłem więc teraz i zobaczył trzydziestu młodych ludzi, czytających teksty w dobrym jidysz, ale gdy próbowałem nawiązać z nimi rozmowę, nie potrafili płynnie wysłowić się po żydowsku.

Mój następny przyjazd do Warszawy, jeszcze w tym samym 1978 roku, wypadł przed Sądnym Dniem. W wigilię święta poszedłem do synagogi przy ulicy Twardej 6. Tablica z 1915 roku informuje, że synagoga ta nazwana jest imieniem Rywki i Zalmana Nożyków, w skrócie nazywają ją dzisiaj: „synagogą Nożyka”. Była to niegdyś piękna świątynia, posiadająca 600 miejsc siedzących. W czasie wojny Niemcy zamienili ją na stajnię oraz magazyn zbożowy. Budynek uległ ciężkiemu uszkodzeniu w czasie Powstania Warszawskiego. Pod koniec lat czterdziestych powierzchownie go odremontowano. Gruntowny remont rozpoczęto dopiero w 1977 roku. W Sądnym Dniu rok później dochodziły nas w czasie modlitwy stukania młotków i głosy robotników, którzy w tym dniu nie przerwali pracy. Do głównego budynku dobudowano później jeszcze jedno skrzydło – na biuro zarządu Gminy Żydowskiej. W 1978 roku kierował nim urzędnik – Polak. Opowiedziano mi, że w synagodze było dużo ksiąg pisanych po hebrajsku, ale nie znalazł się nikt, kto by je spisał i sporządził katalog. Zrobiła to dopiero nauczycielka hebrajskiego, Polka, Ewa Świdorska, która hebrajskiego uczyła się na Uniwersytecie Warszawskim.

W synagodze zebrało się na modlitwę około 60 wiernych, przeważnie ludzi starych, niewiele kobiet. Wyglądali na zmęczonych, bez życia, z twarzami pooranymi zmarszczkami i wyblakłymi oczami. Przyszli także niektórzy z młodych żydowskich aktorów Teatru Żydowskiego. Spotkałem też dwoje żydowskich dzieci w wieku 10 i 11 lat. Jedno z nich powiedziało mi, że uczy się hebrajskiego u prywatnego nauczyciela.

Wygląd synagogi był przygnębiający. Zarówno wewnątrz, w sali modlitw, jak i wokoło widać było opuszczenie i zaniedbanie. Na dworze stali żydowscy żebracy z wyciągniętą ręką. Po kątach walały się resztki ksiąg modlitewnych. Talitów (chust

modlitewnych) nie było wcale, niewiele zdatnych do użytku modlitewników. Gdy chciano w czasie modlitwy otworzyć arkę z rodalami, okazało się, że zawiasy zardzewiały i drzwiczki nie dają się otworzyć. Jeden z członków izraelskiej delegacji pospieszył z pomocą i otworzył szafę rodaków.

Synagoga nie miała rabina ani gabaja (zarządzającego). W Warszawie nie było nikogo do prowadzenia modłów i kantora sprowadzono z Węgier. Modlitwa odbywała się po hebrajsku, w wymowie aszkenazyjskiej, lecz kazanie jeden z wiernych wygłosił po polsku. W czasie przerwy podchodzili do nas niektórzy z obecnych z prośbą o przekazanie pozdrowień dla krewnych w Izraelu. Nazajutrz, gdy przyszedłem do synagogi, naliczyłem tylko 25 osób przybyłych na modlitwę.

Po południu minister Jerzy Kuberski zaprosił nas do swojego biura. W latach wojny w tym gmachu mieściło się Gestapo. Na wstępie przeprosił, że termin zjazdu zbiegł się ze świętem Sądnego Dnia. Poskarżył się na członków Komitetu – Żydów, że nie powiedzieli mu tego wcześniej, a kiedy się dowiedział, mógł już tylko datę otwarcia przesunąć na następny dzień po Sądnym Dniu. W rozmowie poruszyliśmy sprawę przyjazdów izraelskiej młodzieży do byłych obozów koncentracyjnych.

– Jak długo nie ma między naszymi państwami stosunków dyplomatycznych, trudno to zrealizować – odpowiedział, ale wyraził nadzieję, że niedaleki jest dzień, w którym sprawy te znajdą rozwiązanie. Istotnie – niedługo potem grupy izraelskiej młodzieży zaczęły wyjeżdżać do Polski. Wycieczki te organizowane były pod patronatem Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka.

W dalszej rozmowie minister Kuberski mówił o różnych problemach w dziedzinie kultury i oświaty w Polsce, o stosunkach pomiędzy instytucjami oświatowymi a Kościołem. Powracał do sprawy, jaka stała na forum zjazdu: wybudowanie niedaleko Warszawy osiedla młodzieżowego w duchu idei Korczaka.

Kiedy opuszczaliśmy biuro, usłyszeliśmy za sobą wołanie. To minister Kuberski biegł za nami, żeby oznajmić radosną nowinę usłyszaną właśnie przez radio: Polak został wybrany papieżem. Nie zdążył dokończyć, a już rozdzwoniły się dzwony

warszawskich kościołów dla uczczenia tego wydarzenia. Na ulicy panowało podniecenie. Każdy Polak widział w tym osobiste osiągnięcie. Cały polski naród – zaprzysiężeni ateści i zagorzali katolicy – wszyscy cieszyli się i radowali.

Zjazd otrzymał szeroką oprawę massmediów. Radio i Telewizja dzień w dzień informowały o obradach.

Polska dzisiaj to Polska Polaków. Dla nas natomiast jest czymś, co było, ale czego już nie ma, po czym zostały tylko cmentarze. Uświadomiłem to sobie podczas zwiedzania żydowskiego cmentarza w Warszawie.

Otwarto go w 1806 roku. Do 1939 pochowano tam 150 tys. zmarłych. Chodziłem wzdłuż głównej alei i patrzyłem na pomniki. Na niektórych grobach stoją rzeźby, inne zbudowane są jako „ohel” (grobnica). Na wielu z nich wyryto informacje o zawodzie osoby zmarłej: adwokat, lekarz, inżynier, wydawca. Wiele spośród pomników wyszło spod dłuta rzeźbiarza Marka Antokolskiego. Patrząc na nagrobki, można było uczyć się historii Żydów polskich; dowiedziałem się np. jacy rabini byli kolejno w Warszawie. Widziałem nagrobek Icchaka Lejba Pereca, groby historyka Meira Bałbana, pisarza Elchanana Cajtlina, aktorki Ester Rachel Kamińskiej, aktora Abrahama Morewskiego, doktora Ludwika Zamenhofs i innych.

W latach wojny cmentarz był miejscem kontaktowym pomiędzy gettem a stroną aryjską, gdyż katolicki cmentarz graniczył z żydowskim. Obecnie zdarza się, że w jego zakamarkach ukrywają się przestępcy.

Od 1979 roku żydowski cmentarz w Warszawie podlega kompetencjom Gminy Żydowskiej i Urzędowi do Spraw Wyznań. Od 1982 roku działa ochotniczo Społeczny Komitet Ochrony Cmentarzy i Zabytków Żydowskich w Polsce, w skład którego wchodzi ludzie z kręgów intelektualnych oraz młodzież. W dni wolne od zajęć młodzi przychodzą, by pracować przy porządkowaniu cmentarza i pomagać w pracach rekonstrukcyjnych. Odsłaniają zarosłe i wyblakłe litery napisów, odnawiają je. Odszukują kamienie nagrobkowe, którymi gestapowcy kazali brukować ulice,

i przywożą je z powrotem na cmentarz. W latach osiemdziesiątych Komitet otrzymał oficjalne poparcie rządowe i dotacje z budżetu państwowego.

Poważną pracę wykonała Polka, Monika Krajewska, która w artystycznych fotografiach utrwałała setki nagrobków na żydowskich cmentarzach w Polsce i wydała album w trzech wersjach językowych: polskiej, angielskiej i niemieckiej. Album zawiera jako motto werset z Księgi Eklezjasty: „Jest czas rozrzucania kamieni i zbierania kamieni”.

Zostałem zaproszony przez nią do domu. Krajewscy zajmują małe mieszkanie w Warszawie, ozdobione licznymi żydowskimi symbolami – świecznikami chanukowymi, lichtarzami, haftami z tradycyjnymi motywami. W 1984 roku w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych Monika przeszła na judaizm. Opowiedziała mi, że jej babki i dziadkowie byli głęboko wierzącymi katolikami, ale rodzice byli ateistami. Po skończeniu studiów pracowała jako dziennikarka, a potem redaktorka wydawnictw artystycznych. Fotografowanie stanowiło jej hobby.

– W starych nagrobkach – powiedziała mi – ujrzałam cudowny świat. Dzięki nim nie umierają ludzie pod nimi pochowani. One przemawiają do serca literami, jakie zostały na nich wyryte. Wszystkie swoje wakacje i dni wolne od pracy spędzała na fotografowaniu cmentarzy w całej Polsce.

– Gdy odczytuje na nagrobku – mówi Monika – takie na przykład epitafium:

*Droga kobieta tu spoczywa w ciszy
pani dobrego imienia pełna czci.
W czystości bogobojnie przeżyła swe dni
jako matka troskliwa dla steranej duszy.
W 72-gim roku przeszła do wieczności
aby spocząć w pokoju w cieniu Opatrzności.*

to jestem wzruszona do łez.

Początkowo zaprezentowała swoje zdjęcia na wystawie w Warszawie. Ludzie zainteresowali się tematem i Monika postanowił opublikować je w formie albumu. Otrzymała nagrodę Beit Hatfucot (Domu Diaspory) w Izraelu i zaczęła wygłaszać odczyty na temat żydowskich zabytków. Znalazła się wśród inicjatorów i działaczy Społecznego Komitetu Ochrony Cmentarzy i Zabytków Żydowskich w Polsce.

– Co cię skłoniło do przejścia na judaizm? – spytałem.

– Nakaz wewnętrzny – odpowiedziała – a także zainteresowanie narodem żydowskim i religią mojżeszową. Przyznać muszę, że wpływ miał też mój mąż, Stanisław.

Stanisław urodził się w 1950 roku w rodzinie żydowskich komunistów. Z zawodu jest matematykiem.

– Rodzina moja była zasymilowana i w domu rodzinnym nie dowiedziałem się niczego o żydostwie – opowiada Stanisław. – Na początku moje zainteresowanie wynikało z ciekawości i fascynacji intelektualnej. Potem zacząłem czytać książki historyczne i literaturę piękną, stopniowo zbliżałem się do religii. Doszedłem do wniosku, że religia jest częścią losu żydowskiego narodu. Zacząłem studiować Biblię i nauki religijne. Zainteresowały mnie święta żydowskie i zacząłem je obchodzić.

Występował w kościołach z odczytami o żydostwie, publikował także artykuły na ten temat w prasie katolickiej. Gdy do Polski jechał papież, Stanisław znalazł się w składzie żydowskiej delegacji, która przybyła na powitanie.

– Pozostawanie w Polsce uważam za swoje posłannictwo – powiedział mi.

Monika Krajewska dała mi 50 powiększonych fotografii nagrobków, które zrobiła na zdewastowanych żydowskich cmentarzach. Włączone zostały do zbiorów muzealnych Domu Bojowników Getta. Praca Moniki wniosła bardzo dużo do dokumentacji żydowskiej przeszłości w Polsce.

Pamiętaj

W Śądnym Dniu 1987 roku byłem z Mordechajem Palcurem i ludźmi z ambasady Izraela w Warszawie w synagodze Nożyka.

Tym razem do synagogi przyszło ponad 200 osób – pięć razy tyle, ile wiedziałem podczas poprzedniej wizyty w tejże synagodze. Uwagę zwracała duża liczba młodzieży. Palcur powiedział mi, że również w żydowskie święto Nowego Roku przybyło dużo ludzi na modlitwy i że specjalną modlitwę odmówiono na intencję Państwa Izrael.

Kantor przybył specjalnie ze Stanów Zjednoczonych. Prowadził modły z całą dokładnością i szczegółową intonacją. Szczególnie wrażenie zrobiła modlitwa „Kol nidrei”. Po modlitwie, rabin – również sprowadzony z USA – wygłosił kazanie. Na wstępie powitał przedstawiciela Izraela w Polsce, Mordechaja Palcura oraz mnie, jako przedstawiciela Domu Bojowników Getta. Nazajutrz zostałem w synagodze zaproszony na podwyższenie, do odczytania wersetu z Tory, a Mordechaj Palcur do odmówienia modlitwy za poległych żołnierzy Cahalu (Armii Obrony Izraela).

Od czasów Wojny Sześciodniowej, w której zginął brat mojej żony, Josi Burgin, byłem zawsze w Sądym Dniu z ojcem mojej żony, Dawidem Burginem w synagodze w Kiriat Motzkin. Modlitwa za poległych Cahalu odmówiona w Polsce, nagle jakby mnie wróciła do roku 1967, do czasu gdy poległ Josi. Przypomniały mi się dni, w których jeszcze był uważany za zaginionego po ciężkich walkach w Dolinie Dotan. Trwaliśmy w nadziei, że żyje, że uważany jest za zaginionego, ponieważ został ranny i odwieziony do któregoś ze szpitali. Opowiedziano nam, że Josi, już ranny, udzielił pomocy swemu ciężko rannemu dowódcy. Gdy okazało się, że jego nazwisko nie figuruje na listach rannych w szpitalach, łudziliśmy się, że dostał się do niewoli i wróci do domu, gdy nastąpi wymiana jeńców.

Poszukiwałem śladów Josiego pośród czołgów i ciągników rozrzuconych po polach dojrzałego zboża i w gajach oliwnych Doliny Dotan. Znalazłem czołg Josiego, ale jego samego nie było.

I oto rodzina otrzymała oficjalną wiadomość ze Sztabu Generalnego. Josi padł w boju. Wspomnienia te na nowo napłynęły i wzmogły się na polskiej ziemi, w synagodze, w czasie modlitwy „Izkor” („Pamiętaj”) za poległych żołnierzy Cahalu.

W czasie tamtej wizyty w Polsce, w kwietniu 1983 roku, towarzyszyła mi moja żona, Pnina, której rodzice pochodzą z Wilna, ale ona urodziła się już w Kraju.

Uważałem za wskazane, żeby zobaczyła Polskę, kraj pochodzenia jej rodziców, o którym tak dużo słyszała. Nie mogłem jej pokazać mojego rodzinnego Wilna i miasta jej rodziców ani nawet obozów w Estonii, w których byłem więziony w latach Zagłady, albowiem Izraelczycy nie otrzymywali zezwolenia na wjazd. Ale sądziłem, że poprzez odwiedzenie byłych obozów w Polsce, będzie miała pewien obraz czasów Zagłady. Poza tym Pnina gorąco pragnęła zobaczyć dawne żydowskie miasteczko. Większość tych miasteczek już nie istnieje, ale są jeszcze takie, które zachowały się w swym dawnym zewnętrznym wystroju, jakkolwiek obecnie żyją w nich tylko Polacy.

W czasie II wojny światowej Pnina była uczennicą szkoły podstawowej. Mocno interesowała się tym, co się dzieje w okupowanej Europie. Dowodzi tego zebrany przez nią duży zbiór wycinzków prasowych z artykułami na temat II wojny światowej. Gdy zaś była słuchaczką seminarium kibucowego „Oranim”, na pracę końcową wybrała temat: „Oświata i wychowanie w getcie wileńskim”. Również dzieciom bliski jest temat: wileńskie getto, co wykazały przy różnych okazjach, jakkolwiek w domu niedużo się o tym mówiło.

Pnina powiedziała mi, że niekiedy widzi w snach obozy koncentracyjne, tak mocno wryły jej się w pamięć sprawy, o których słyszała i czytała.

Kiedy wiosną 1983 roku przybyliśmy do Polski, padał drobny śnieżek i świat był zamglony, szary i smutny. Był to czas stan wojennego. Pierwszym dla nas jasnym promykiem było powitanie na lotnisku, gdzie oczekiwało nas wielu Polaków, których w ciągu lat gościliśmy w naszym domu.

Byliśmy między innymi w wiosce przypominającej dawne wsie z okolic Wilna: słomiane dachy, wychodki, na podwórku, gdzie znajdowała się również studnia, z której czerpano wodę pitną wiadrami na sznurze. Ścinki drzewne służyły za opał do pieca

kuchennego i także do ogrzewania domu w zimie. Pole rolnik orał w zaprzęgu jednokonnym.

Pojechaliśmy do obozu na Majdanku. Gdy mijaliśmy dawne baraki żydowskie, opowiedziałem Pninie, że podobne drewniane były także w obozie Klooga i w innych obozach w Estonii; trzypiętrowe prycze do spania. Mój brat Nisan i ja staraliśmy się zawsze być na pryczy najwyższej, bo było tam trochę wygodniej i bezpieczniej. Przy barakach, w których rozegrało się kiedyś tyle ludzkich tragedii, Pnina straciła opanowanie i rozpląkała się gorzko. Wydawało się jakby to teraz z baraku wypędzano ludzi i prowadzono do miejsca, z którego już się nie powraca.

Na grobach przodków

Gdy w październiku 1978 roku pojechałem po raz drugi do Polski, postanowiłem zwiedzić Majdanek. Od kiedy wyszedłem z piekła Zagłady, nie dawały mi spokoju pogłoski, jakoby ostatni Żydzi pozostali w wileńskim getcie zostali wysłani do Majdanka, a wśród nich moja matka. Wizyta tam była dla mnie czymś w rodzaju pójścia na groby bliskich.

Usłyszał o moim zamiarze polski minister oświaty Jerzy Kuberski i oddał do mojej dyspozycji samochód z kierowcą. W Majdanku czekała na mnie miejscowa przewodniczka, która oprowadziła mnie po barakach i po sali muzealnej. Kiedy doszliśmy do komory gazowej, nie udało mi się już zapanować nad sobą i wybuchnąłem płaczem. Po raz pierwszy od czasów wojny szlochałem, nie mogąc się powstrzymać.

Od końca wojny nie odstępowały mnie wspomnienia z przeszłości, szczególnie zaś te, które wiązały się z moją matką i dniem wysyłki do obozu koncentracyjnego w Estonii. Zawsze będę pamiętał jak matka pojawiła się w szpitalnym magazynie odzieżowym, podała mi plecak i powiedziała:

– Synu, chcę żebyś był razem z Nisanem. Pospiesz się, biegnij do bramy. Tam jest Nisan. Razem będzie wam lepiej.

Biegłem, ile miałem sił w nogach i nie zdążyłem właściwie pożegnać się z Mamą, która troszczyła się, żeby mi było lepiej...

Pojechaliśmy też do Treblinki, na uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy poświęconej Januszowi Korczakowi, który 5 sierpnia 1942 roku został wraz ze swymi wychowankami wywieziony do tego obozu śmierci. Na ogromnej przestrzeni, pośród młodego lasu, wiele tysięcy nieociosanych głązów, bez końca...

Każdy kamień – oznacza jedną miejscowość w Polsce, której mieszkańcy zostali zgładzeni w Treblince. Tor kolejowy położono tam powtórnie po wojnie – dla upamiętnienia torów, po których jechały pociągi śmierci.

Nim weszliśmy na teren obozu, wysłuchaliśmy z taśmy magnetofonowej dziejów Treblinki. Między innymi znajdowało się tam zdanie „Tutaj »ostateczne rozwiązanie« zostało zrealizowane”. Przekonaliśmy odpowiedzialnych za to miejsce ludzi, aby postarali się nagrać objaśnienie także w językach jidysz i hebrajskim, stosownie do życzeń zwiedzających Treblinkę.

W miejscu gdzie były komory gazowe, a obecnie stoi pomnik, położyliśmy kwiaty. Przyłączyły się do naszej grupki setki ludzi z okolicy, zaproszeni na uroczystość – burmistrzowie miast i wsi, osobistości życia publicznego oraz setki młodzieży. Wszyscy skupili się koło tej tablicy pamiątkowej, wymieniającej nie nazwę miejscowości, lecz imię i nazwisko człowieka – Janusza Korczaka. Na tablicy widnieją słowa: „Janusz Korczak (Henryk Goldszmit) i dzieci”.

W czasie jednego z pierwszych pobytów w Polsce odwiedziłem również Kraków – najstarsze niegdyś w Polsce skupisko ludności żydowskiej. W Wojewódzkiej Bibliotece Pedagogicznej otwarto właśnie wystawę z okazji stulecia urodzin Korczaka.

Długo zwiedzałem bardzo ciekawą i pozostawiającą głębokie wrażenie ekspozycję. Towarzyszyły mi Maria Andres i Teresa Szornel z wieloma osobami, zadawałem pytania, zaś od moich przewodniczek otrzymałem wiele cennych materiałów archiwalnych.

Na tej wystawie można było usłyszeć antysemitckie uwagi. Np. jedna z pracownic biblioteki wyraziła zdumienie, że wśród eksponatów nie widać tak znamiennych dla Żydów przedmiotów jak czosnek i cebula.

Chcieliśmy zwiedzić niektóre ocalałe w tym mieście synagogi. Pierwsza, „Tempel” – dawna synagoga inteligencji – była zamknięta. Dozorca, który miał klucze, otworzył nam drzwi i postarał się udzielić kilku wyjaśnień. Według jego słów, przez cały tydzień synagoga jest zamknięta, a tylko w sobotę przychodzi się pomodlić parę osób – mniej więcej minian (10 osób), niezbędne minimum do rozpoczęcia modlitwy. Do drugiej synagogi, „Alte szul” (Stara Synagoga) nie mogliśmy wejść z powodu prac remontowych przy urządzaniu w jej wnętrzu Muzeum Żydostwa. Ośrodek Kultury Żydowskiej przy ul. Mieselsa, który obecnie prowadzi bardzo interesującą działalność, znajdował się w sferze planów.

– Pójdziemy więc do kawiarni „Cyganeria” – powiedziałem do mojej towarzyszki.

– Co tam jest ciekawego? – zapytała Teresa.

Pokrótkę opowiedziałem jej o akcji przeprowadzonej w tejże kawiarni 22 grudnia 1942 roku przez członków Żydowskiej Organizacji Bojowej. Słyszałem o tym z ust Chawki Folman-Raban i Icchaka Cukiermana, a także dużo na ten temat czytałem.

Chawka i Icchak przybyli tamtego dnia z Warszawy, by spotkać się z członkami dowództwa ŻOB-u w Krakowie. Spotkali się Dolkiem Liebeskindem oraz Abrahamem Labanem, dowódcą organizacji i od nich usłyszeli, że właśnie tego wieczoru, o godzinie siódmej, ŻOB ma przeprowadzić akcję bojową w dużej kawiarni SS-manów – „Cyganerii”. Icchak udał się do mieszkania dowództwa, natomiast Chawka pozostała w opuszczonym budynku szpitalnym, z towarzyszami, którzy mieli wyjść na akcję.

Akcja udała się ponad wszelkie przepuszczenia. Wielu esesmanów zostało zabitych, a jeszcze więcej odniosło rany. Bojowcy wycofali się bez strat i zebraли ponownie w jednym z pomieszczeń opuszczonego budynku szpitalnego. Ale nie dane im było odechnąć. Nagle usłyszeli dobijanie do drzwi. Budynek był już otoczony przez niemieckich żołnierzy. Kilku obecnych bojowników zostało ujętych.

Icchak i Abraham Laban, którzy nie wiedzieli, że uczestnicy zbrojnego wypadu zostali schwytani, udali się nazajutrz do owego

szpitala. Tam już policjanci i żołnierze czatowali na każdym rogu. Na obu posypał się grad kul. Icchak dostał w nogę i miał pełno krwi w bucie, ale udało mu się uciec. Gdy zobaczył policjantów na rogu ulicy, stanął w bramie jednego z domów, powoli wyciągnął z kieszeni papierosa, potarł zapałkę i zapalił, jak nieświadomy niczego obywatel, który dostał się tam przypadkowo. W owym czasie Icchak wyglądał jak polski szlachcic – z podkreśnionym wąsem, w kurtce i butach z cholewami. Policjanci przeszli, nie zwracając uwagi. Icchak próbował iść dalej, ale coraz bardziej kulał. Jakaś stara kobieta dała mu wody i w bramie, pod schodami, opatrzyła ranną nogę. Bezpiecznie powrócił do Warszawy.

Członkowie organizacji ujęci przez Niemców byli przez długi czas torturowani, ale nikogo nie wydali. Niektórzy zostali zamordowani, innych wysłano do Oświęcimia. Chawce udało się wprawdzie przekonać Niemców, że nie jest Żydówką i że znalazła się w tamtym miejscu przypadkowo, ale nie uniknęła wysłania do obozu.

Nie skończyłem opowiadać, kiedy doszliśmy do kawiarni „Cyganeria”. Na frontonie widniała tablica upamiętniająca akcję 1942 roku. Niestety, informacja na niej była mylna. Brzmiała: „Tutaj Polska Partia Robotnicza dokonała udanej akcji zbrojnej na oficerów SS przebywających w kawiarni”. Po jakimś czasie, pod wpływem żydowskich kolegów, krakowski pisarz Kazimierz Traciewicz postarał się, by napis na tablicy został zmieniony. Dzisiaj można na niej przeczytać: „Tutaj Żydowska Organizacja Bojowa razem z towarzyszami z Polskiej Partii Robotniczej przeprowadziła zbrojną akcję, w której wielu oficerów SS zostało zabitych i rannych”.

Podczas mojego następnego pobytu w Polsce byłem już uważany za znawcę Krakowa i koledzy z naszej delegacji prosili, żebym ich oprowadzał po tym mieście. Tym razem poszliśmy na teren byłego getta. Pozostał tam tylko fragment gettowego muru, jakieś 10 metrów. Miała się właśnie odbyć uroczystość odsłonięcia tablicy z napisem: „Mur getta”, coś w rodzaju pomnika.

Niedaleko miała miejsce inna uroczystość – otwarcie muzeum dawniej apteki, której właścicielem był Tadeusz Pankiewicz,

Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Uczestniczyłem w tej uroczystości i byłem głęboko przejęty. Tadeusz został uhonorowany tytułem Sprawiedliwego za pomoc udzielaną Żydom od pierwszych dni getta w Krakowie w marcu 1941 roku, aż po zlikwidowanie go w marcu 1943 roku. Jego apteka, która znajdowała się na terenie przy bramie „dzielnicy żydowskiej”, była miejscem spotkań ludności żydowskiej z nieżydowską oraz ośrodkiem niesienia pomocy lekarskiej i materialnej. Niemcom nie podobało się to nieżydowskie przedsiębiorstwo na terenie getta. Zaproponowali Tadeuszowi, by przeniósł się do pożydowskiej apteki na terenie Krakowa. Tadeusz wymyślał coraz to nowe preteksty, żeby pozostać w obrębie getta. Po wojnie Tadeusz Pankiewicz napisał książkę, w której szczegółowo opisał cierpienia Żydów i hitlerowski ucisk, od początku okupacji miasta w 1939 roku.

Podczas pobytu w Polsce w lutym 1985 roku poszedłem na wojskowy cmentarz w Krakowie. Widziałem tam groby żydowskich żołnierzy z Erec Israel, którzy służyli w armii brytyjskiej, dostali się do niemieckiej niewoli i zostali zamordowani. Do 1944 roku, do utworzenia Brygady Żydowskiej, w armii brytyjskiej służyło 30 tys. Żydów z ówczesnej Palestyny i nie wszystkich los był znany. Po powrocie ogłosiłem nazwiska tych żołnierzy w krajowej prasie. Jednym z nich był kierowca wojskowy I. Zasler. Jego siostra, po przeczytaniu informacji w gazecie, zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc w sprowadzeniu prochów jej brata do Izraela. Opowiedziała mi, co usłyszała po wojnie od towarzyszy broni swego brata.

Zasler dostał się do niewoli w 1943 roku w Grecji. Następnie trafił do Polski do obozu Jaworzno. Tam niemiecki żołnierz z okrzykiem „Verfluchter Jude!” uderzył go w twarz. Uderzony bez namysłu oddał mu policzek z okrzykiem „Verfluchter Deutsche!”. Niemiecki żołnierz zastrzelił go na miejscu. I. Zasler miał wtedy 23 lata.

W czasie pobytu w Polsce w 1984 roku odwiedziłem również Gdańsk, z zamiarem zobaczenia byłego obozu śmierci Stutthof, odwiedzanego przez niewielu Żydów. Także i w tym obozie były więzione kobiety z Wilna. Spodziewałem się odnaleźć jakieś ślady w archiwum obozowym, a może i kogoś z moich krewnych. Istotnie,

w kartotece odnalazłem nazwisko siostry mojego ojca, Friedy Poczter. Przejrzałem 11 grubych ksiąg ewidencyjnych z wpisami po niemiecku, a w nich nazwiska tysięcy więźniów, którzy przeszli przez ten obóz, wśród nich wielu Żydów z Wilna. Ogółem przez Stutthof przeszło 20 tys. Polaków i 40 tys. Żydów. Po zakończeniu wojny, w Instytucie Medycznym w pobliskim Gdańsku wykryto dowody istnienia fabryki mydła z tłuszczu ludzkiego, z ciał ludzi zamordowanych w Stutthofie. Dyrektor Muzeum Stutthof, mgr Janina Grabowska powiedziała mi, że – jak wynika z dokumentów – przeprowadzono „tylko” doświadczenia i przygotowania, ale Niemcy nie zdążyli przystąpić do produkcji.

Pewnego marcowego poranka w 1984 roku przybyłem do Kielc. Chciałem obejrzeć dom, w którym miała miejsce rzeź Żydów w roku 1946. Zostali oni zamordowani przez Polaków. Z domu pogromu udałem się na miejscowy cmentarz żydowski. Zostałem teren zaniedbany i opuszczony oraz pomnik na zbiorowej mogile ofiar pogromu.

Kilka lat temu ukazała się w Polsce antysemicka książka (Józef Orlicki, *Szkice z dziejów stosunków polsko-żydowskich 1918–1948*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Szczecin 1983), której autor twierdzi, że pogrom kielecki był dziełem Żydów – syjonistów, którzy chcieli posiać strach wśród Żydów osiadłych w Polsce i skłonić ich do emigracji do Izraela. Dziś wydawane są również inne, bardziej obiektywne opracowania.

Z cmentarza poszedłem na teren dawnego getta. Domy stare, niektóre chylące się ku upadkowi, częściowo zamieszkałe. Chodziłem po tych ulicach i mówiłem sobie:

– Tutaj żyli Żydzi. Miejsce to tętniło ich życiem, znało dni święta i radości – a także dni bólu i cierpienia. Stąd wywieziono ich na śmierć. Ile razy i w ilu miejscowościach w Polsce można powtarzać te słowa?

Oświęcim

Wiele razy byłem w Muzeum obozu Auschwitz-Oświęcim. Szczególnie jednak zapadła mi w pamięci moja pierwsza wizyta.

Byłem w stanie silnego napięcia, wiedząc, że wchodzę na teren obozu koncentracyjnego, największego spośród dwóch tysięcy hitlerowskich obozów i największego obozu zagłady narodu żydowskiego.

Przed wszystkim rzuciły mi się w oczy potężne ogrodzenia z drutów kolczastych, które w swoim czasie były pod napięciem śmiertelnościanego prądu. Wieże strażnicze na każdym kroku. Brama wejściowa z wielkim napisem, jak na drwinę z człowieka: „Arbeit macht frei”.

W samym Muzeum stałem długo przy gablotach z ludzkimi włosami: siwymi, blond, brązowymi, czarnymi; kręconymi, prostymi, splecionymi w warkocze. Włosy ofiar Oświęcimia. Góry szczoteczek do zębów, okularów, protez, butów. Ogromne stopy waliz, kuferków, teczek, eleganckich skórzanych oraz zwykłych, tanich, kartonowych, a na nich nazwiska, adresy.

Czarna Ściana Śmierci. „Stehbunkry” – betonowe słupy tortur, cele głodowej śmierci.

Birkenau-Brzezinka. Baraki. Prycze. Gruzy komór gazowych i krematoriów.

Na końcu poszedłem do pawilonu nr 27, poświęconego zagładzie Żydów. Fragmenty wyświetlonego tam filmu pochodzą z filmu *Osiemdziesiąte pierwsze uderzenie*, wyprodukowanego przez nasze Muzeum im. Bojowników Getta. Ekspozycja w tym pawilonie oddaje prawdziwy obraz losów narodu żydowskiego w czasie hitlerowskiej okupacji.

Potem byłem jeszcze wiele razy w Muzeum Oświęcimskim. Za każdym razem wstrząs. Odczucia, wrażenia są takie same, nie słabną.

W ciągu lat poznałem na miejscu pracowników Muzeum oraz przewodników, którzy wykonują swą pracę z wielką wiedzą i zaangażowaniem.

Wszyscy niemal pracownicy Muzeum odwiedzili już nasze Muzeum Bojowników Getta, także zastępca dyrektora Muzeum Oświęcimskiego, pani Krystyna Oleksy, z którą Dom Bojowników Getta utrzymuje ścisły kontakt.

Losy Domu Dziecka

O tym, jak po wojnie wyglądały stosunki polsko-żydowskie, sporo się dowiedziałem ze wspomnień Miszy Wróblewskiego, polskiego Żyda, którego po raz pierwszy spotkałem podczas obchodów 40. rocznicy powstania w getcie, w Warszawie, w 1983 roku.

Misza był wychowawcą w Domu Sierot Janusza Korczaka i przy każdym naszym spotkaniu z wielką miłością i tęsknotą mówił o tym wielkim człowieku. Po wojnie zmuszony był opuścić Polskę, o wolność której walczył z bronią w ręku. Osiedlił się w Szwecji i niełatwo mu było podjąć decyzję uczestniczenia w światowym zlocie wychowanków Janusza Korczaka, mającym się odbyć w Warszawie. Trudności z podjęciem tej decyzji w przypadku Miszy miały również polskie władze. Urodził się w Pińsku. Po ukończeniu gimnazjum w rodzinnym mieście wyjechał do Warszawy. 1 września 1931 został przyjęty do pracy jako wychowawca w Domu Sierot u Korczaka. Rekomendowała go Rywka Boszes, również z Pińska, wieloletnia opiekunka i nauczycielka w Domu Sierot. Misza pracował tam, z krótkimi przerwami, aż do sierpnia 1942, do dnia likwidacji.

– Pamiętam dobrze pierwszą wizytę w Domu Sierot – opowiadał. – Doktor Rywka Boszes zaprowadziła mnie na pierwsze piętro, do działu wychowawców, do pani Stefy, która była prawą ręką Korczaka. Spodziewałem się ujrzeć piękne biuro, podobne do gabinetu dyrektora gimnazjum w Pińsku. Ale, ku memu zdumieniu, zostałem wprowadzony do niewielkiego, skromnego pokoju, w którym za przepierzeniem siedziała sekretarka i stukiała na maszynie. W innym kącie siedział mężczyzna rozmawiał przez telefon. Miał dobrą i szlachetną twarz. Blisko drzwi siedziała kobieta ubrana na czarno, w okularach pochylona nad papierami. To była wychowawczyni, Stefa. Odwróciła się do mnie i zdjęła okulary. Powiedziała mi krótko, że otrzymam szafkę na ubranie i że mam zapisywać w zeszycie uwagi i pytania.

Potem odwróciła się i znów nałożyła okulary, z czego wywnioskowałem, że rozmowa jest zakończona.

Misza wyszedł z biura i wszedł do większego pomieszczenia, gdzie zastał jedenastoletniego może chłopca, który zapytał:

– Pan jest nowym wychowawcą?

– Na imię mi Misza – przedstawił się Wróblewski chłopcu.

– A ja jestem Felek – odpowiedział swobodnie chłopak. Widać było, że jest zadowolony w tym miejscu. Objął Miszę, jaki porządek obowiązuje w zakładzie, gdzie są szczotki i szmaty do sprzątania, gdzie pokój Pana Doktora, gdzie sypialnia chłopców, a gdzie dziewcząt.

Przy obiedzie Misza siedział z siedmiorgiem dzieci. Po posiłku okrążyły go i zasypały gradem pytań: skąd przybył, jaką ma specjalizację czy umie grać w szachy, w jakich sportach jest dobry. Bardzo szybko poczuł się wśród dzieci jak w domu i zaproponował wyścigi. Z jakiegoś powodu dwaj biegacze posprzeczalili się i zaczęła się bójka. Pozostałe dzieci przyglądały się i nie wtrącały. Misza również nie rozdzielał ich i bójka skończyła się tak nagle, jak się zaczęła.

– Podczas tego wszystkiego – odpowiadał mi Misza – Korczak w otoczeniu dzieci siedział przy stole, nie zwracając uwagi na powstałe zamieszanie. Podczas kolacji dowiedziałem się, że Doktor śledził co się dzieje, lecz wolał nie interweniować. Spytał natomiast dlaczego nie reagowałem.

Misza odpowiedział, że pamięta z dzieciństwa, iż każde takie wtrącanie się jest tylko dolewaniem oliwy do ognia. Jeżeli się nie wtrącać, bójka ustaje sama przez się.

– Doktor – wspomina Misza – podrapał się lekko po łysinie, pogłaskał po bródce i politykę nieinterwencji uznał za słuszną. Ale równocześnie ostrzegł, że obowiązkiem wychowawcy jest uważnie obserwować z boku, żeby się to źle nie skończyło.

Do getta Misza poszedł wraz z Korczakiem i wychowankami. Dom Sierot ulokował się przy ulicy Siennej 16. Liczba podopiecznych wzrosła ze 170 przy ulicy Krochmalnej, do ponad 200. Pomimo wysiłków, jakie czynił, by zdobywać pożywienie dla dzieci, w zakładzie panował głód. Misza, wraz z kilkoma większymi chłopcami wychodził do pracy na stronę aryjską. Pracowali na budowie i do wspólnego garnka w Domu Sierot przynosili trochę warzyw, parę kromek chleba, a czasem nawet kawałek mięsa.

5 sierpnia 1942, wróciwszy wieczorem z pracy, zastali dom przy ulicy Siennej pusty –wszystkich wywieziono do Treblinki. 17 stycznia 1945 roku, gdy Warszawa została wyzwolona, Misza otrzymał rozkaz przejścia ze swoją kompanią przez zamarzną Wisłę i przetarcia dróg w Warszawie dla postępujących za nimi wojsk.

– Gdy mijalem Krochmalną 92 – mówi Misza – ścisnęło mi się serce na widok domu, podwórka i schodów wydeptanych nóżkami dzieci, które biegały po nich przez tyle lat, a których nie ma już wśród żywych.

Po wojnie przy Krochmalnej 92 była szkoła dziennikarska. Dyrekcja tej instytucji umieściła na froncie domu tablicę pamiątkową dla uczczenia pamięci Korczaka i wychowanków. Inicjatorzy zwrócili się wówczas do Miszy z prośbą o wzięcie w tym udziału.

W owym czasie często spotykał się z Igorem Newerlym. Wspominali swoją pracę w Domu Sierot i zastanawiali się z jakiego kamienia wykuć tablicę pamiątkową i co na niej wyryć. Wydawało im się ważne, żeby przywrócić domowi na Krochmalnej 92 jego pierwotną rolę, by znów mieścił się w nim dom sierot.

Wojna znacznie powiększyła liczbę dzieci, którym potrzebny był dach nad głową i opieka wychowawcza. Wybrano Komitet Wykonawczy, który zbierał się od czasu do czasu i między innymi dyskutował o „republice dziecięcej”, jaka powstanie w tym domu, republice w duchu Korczaka i Stefy Wilczyńskiej. Przewodniczącym Komitetu wybrany został Igor Newerly.

Przedstawiciele Komitetu zwrócili się do Janusza Zarzyckiego, przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej z prośbą o zwrot domu. Zarzycki odniósł się do sprawy przychylnie, ostrzegł jednak, że niełatwo będzie usunąć nowych lokatorów. W połowie lat pięćdziesiątych podjęto decyzję o zwrocie budynku i wyasygnowano pewną sumę pieniędzy na remont. Ludzie, którzy wznowili w nim pracę wychowawczą, zdołali wprowadzić atmosferę i ducha obyczajów, jakie panowały tam poprzednio. Wszystko szło świetnie. W uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej na cześć Korczaka brał udział premier Cyrankiewicz. Za jego poparciem

otwarte zostało konto bankowe dla Komitetu Korczakowskiego, zaczęto wydawać książki Korczaka, teren wokół domu został powiększony i snuto plany utworzenia w pobliżu Muzeum Korczakowskiego. Ale po Wojnie Sześciodniowej powiały w Polsce ponure wichry. Misza omija szczegóły tego tematu, ale jego emigracja do Szwecji mówi sama za siebie.

Ciekawy był wpływ sytuacji w Polsce i w ogóle w świecie komunistycznym na stosunek do Korczaka i jego spuścizny. W pierwszych latach po wojnie wiele zrobiono dla uwiecznienia jego pamięci. Uważany był za wybitnego pedagoga, a jego książki zostały włączone do obowiązkowej lektury szkolnej. Później, w ostatnich latach stalinowskich rządów, gdy radziecki dyktator urządził niesławnej pamięci „proces lekarzy”, został Korczak burżuazyjnym wychowawcą, który w swoim systemie wychowawczym nie ukształtował postaci pozytywnych. Znaleźli się badacze, starający się dowodzić, że pozwalał dzieciom rozwijać się w warunkach nadmiernej swobody, bez uwzględniania celów społecznych. Przecistawiali mu Makarenkę, który wprowadzał w życie wychowanie socjalistyczne. Nie tylko przestały ukazywać się książki Korczaka, ale w dyskretny sposób usuwano je z półek w bibliotekach publicznych. Były także wypadki ich niszczenia.

Po śmierci Stalina i XX Zjeździe KPZR imię Korczaka jakby zmartwychwstało. Profesor Stefan Wołoszyn nazwał go w swojej książce „pionierem i twórcą wychowania opiekuńczego”. Wyszły cztery tomy *Pism wybranych* Janusza Korczaka, ze wstępem Igora Newerlego, a w 1962 roku, w dwudziestą rocznicę jego bohater-skiej śmierci, zorganizowano w Warszawie wielką uroczystość żałobną z udziałem czołowych osobistości politycznych. Imię Korczaka otrzymało wówczas wiele szkół.

Po zwycięstwie w Wojnie Sześciodniowej, w czerwcu 1967 roku, Izrael został potępiony jako ośrodek imperializmu międzynarodowego. I znalazł się ktoś, kto zdecydował, że Misza Wróblewski nie jest godny pozostać członkiem Komitetu Korczaka.

– A w ogóle – orzekł ten ktoś – to w Komitecie jest za dużo Żydów...

Prawdziwy skarb

W maju 1988 roku, w 75-lecie powstania Domu Sierot odbył się w Polsce jeszcze jeden zjazd wychowanków Korczaka. I na ten zjazd przybyli wychowankowie z wielu krajów. Najliczniejsza była delegacja z Izraela: około 30 wychowanków i ich rodziny oraz działacze Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka.

W trakcie trwania zjazdu miała miejsce szczególnie wzruszająca uroczystość. Na dziedzińcu Domu Sierot, przy dawnej ulicy Krochmalnej 92, odsłonięto kamień dla uczczenia pamięci Polaka, Piotra Zalewskiego, który przez długie lata pracował w Domu Sierot jako dozorca. Gdy Niemcy nakazali przeprowadzenie dzieci do getta, Piotr Zalewski odmówił rozstania się z Korczakiem i dziećmi. Domagał, by pozwolono mu pójść razem z nimi. Został za to przez Niemców pobity. Zginął w czasie Powstania Warszawskiego. Na kamieniu pamiątkowym na cześć Piotra Zalewskiego wyryto słowa: „Wierny do końca żydowskim sierotom”.

Przed wyjazdem do Polski na ów zjazd otrzymałem list od pewnej Polki, którą poznałem wcześniej w Warszawie. Prosiła o szybki kontakt, gdy ma do mnie ważną sprawę. Od razu więc po przybyciu zatelefonowałem do niej. Przyszła wraz z mężem, przyniosła grubą teczkę i od razu mi ją wręczyła. Zawierała ona odezwy i notatki Korczaka, pisane w okresie od września 1939 do czerwca 1942. Niektóre z tych dokumentów pisane były ręcznie przez Korczaka, inne były maszynowymi kopiami dokumentów i listów, wysyłanych przez niego pod różne adresy.

– Od kogo otrzymała pani ten skarb? – zapytałem podniecony.

– Nie wolno mi tego panu ujawnić – odpowiedziała moja rozmówczyni. – I nie wolno – dodała – nawet słówkiem wspomnieć, że to ja dałam panu tę teczkę.

Pozwoliła jednak, bym na konferencji powiedział, że do moich rąk dostały się pisma Korczaka, ale nic poza tym. Pokazałem te profesorowi Aleksandrowi Lewinowi i Marii Falkowskiej, badaczom spuścizny Korczaka. Oboje byli nad wyraz zdumieni i podnieceni na widok takiego skarbu dokumentalnego, którego większość jeżeli nie całość, w ogóle nie była dotychczas znana.

Przyniosłem tę tekę do Domu Bojowników Getta. Poniżej kilka urywków z owych materiałów:

List do żony piekarza:

Dobra i miła Pani. Czy słyszała Pani o nieszczęsnym sierocińcu na ulicy Dzielnej 39? – W styczniu zmarło 96 dzieci.

Dziś Śliska dawniej Chłodna, jeszcze dawniej Krochmalna ma 200 kilo sucharów z tych, które szanowna Pani ofiarowała. – Ileż one dobrego przyniosły, gdy nie było chleba.

Pozwolę sobie odwiedzić Panią, by poprosić o radę (próba chleba) – by poprosić o ofiarę dla dzieci z niedomaganiem przewodu pokarmowego.

Godzina 2 w nocy – Trzeba spać, bo jutro – trzeźwy dzień. – A także nafta, kosztowna nafta, kupiona za pieniądze dzieci (drobna, ale już kradzież dobra publicznego).

Wypaliłem podczas pisania 14 papierosów. – To dużo.

Dziwny zbieg okoliczności: dzień dzisiejszy – to rocznica śmierci matki mojej, która pielęgnując mnie przed laty dwudziestu zaraziła dudem i umarła.

Dwie trumny (na Smoczej i na Liskiej). Bez daty (zima 1941/1942).

Kiedy chodzę ulicą patrzę zawsze przed siebie, żeby nie przewrócić się, żeby nie uderzyć się. Bo kości złamane starców zrastają się z trudem. – Więc nie widziałem go, a może spostrzegłem i pomyślałem na chwilę „Jaki to piękny chłopiec”. – Może pomyślałem tak i zapomniałem po chwili.

Ma lat piętnaście, może czternaście, może szesnaście. – Mówią ludzie: „Liczył piętnaście wiosen”. – Mówią tak, bo młode lata to lata słoneczne, kiedy zakwitają barwne kwiaty marzeń nawet wtedy, gdy źle dzieje się w domu i w ogóle ludziom dzieje się źle. – Ciepłe lata wiosenne, piętnaście kwietnych, słonecznych, wesołych, młodych wiosen – i barwnych jak motyle wiosenne marzeń.

Wiele takich chłopców i dziewcząt chodzi ulicą, pięknych i jasnych, i czystych nawet w łachmanach.

Jeśli chłopca tego przechodząc dostrzegłem nawet – nie widziałem nic o nim – i tego nie wiedziałem, czy jego matka żyje czy ma matkę – może

i ojca też – nie wiedziałam, gdzie jego ojciec i matka, czy tu, czy tam; bo ludzie teraz rozeszli się – jeden tu, drugi tam – nawet małe dzieci, a cóż dopiero taki duży chłopiec w piętnastej wiosnie życia.

I proszę was: niedawno, w dzień bardzo mroźny, na ulicy Smoczej zobaczyłem go, a powiedzieć mogę, że po raz pierwszy.

Znacie ulicę Smoczą. Taka była zawsze. Tylu ludzi – tłoczą – spieszą się – kłócą się targują – wykrzykują, co ma kto na sprzedaż: ta kartofle, ten papierosy, ten garderobę, ten cukierki.

A piękny chłopiec – cicho, bardzo cicho, najciszej – leżał na śniegu, leżał na białym śniegu.

Obok niego stała matka i powtarzała raz po raz: „Ludzie, ratujcie”. To była z pewnością jego matka. – Tylko te dwa słowa – i nie krzyczała – powtarzała wyraźnym szeptem tylko to więcej: „Ludzie, ratujcie, ludzie, ratujcie”.

A ludzie przechodzili, nikt nie ratował – nie robili nic złego, bo ratunek nie był mu już potrzebny.

Leży cichy i taki pogodny, tak jasny na białym śniegu ma uchylone, jakby uśmiechał się – nie zauważyłem, koloru wargi, ale chyba różowe. I zęby białe.

I oczy ma uchylone, a w jednym oku, w samej źrenicy iskierka, chyba gwiazdka najmniejsza z małych – śmierci gwiazda.

– Ludzie, ratujcie, ludzie ratujcie.

5. Na tamtej ziemi

Artyści

Zanim pojechałem do Polski w 1984 roku, dano mi znać z Departamentu Europy Wschodniej w naszym MSZ-cie, że w Warszawie żyje rzeźbiarka, Zofia Woźna, która wykonała w brązie posąg Janusza Korczaka. Po przyjeździe zadzwoniłem więc do niej i poprosiłem o spotkanie.

Miała wtedy 92 lata, skazana na wózek inwalidzki, dała mi numer telefonu do jednego z przyjaciół, adwokata Maurycego Pakera, prosząc, żebym przyszedł razem z nim. Tak też zrobiłem. Razem zeszliśmy do sutereny, w której była jej pracownia. Powitała nas staruszka żywotna, pełna serdeczności.

Zofia Woźna urodziła się w religijnej żydowskiej rodzinie w Krakowie. Do Akademii Sztuk Pięknych poszła wbrew protestom rodziny. W czasie okupacji wędrowała z miejsca na miejsce z dokumentami na nazwisko Zofia Woźna. Pod tym nazwiskiem wołała pozostać po wojnie i nikt nie wiedział, że jest Żydówką.

W jej pracowni były dziesiątki rzeźb. Niektóre tematycznie związane z Korczakiem. Adwokat Paker powiedział mi, że Zofia jest oczarowana postacią Korczaka, uważa, że miał charakter bardzo podobny do charakteru jej ojca.

Jeden z posągów, jakie widziałem w pracowni miał wysokość niemal dwóch i pół metra. Była to rzeźba z gipsu zatytułowana *Korczak i dziecko*. Chciała ją ofiarować Domowi Bojowników Getta. Wyjaśniłem, że z powodu wielkości tej rzeźby i jej łamliwości, nie można jej przetransportować do Izraela, ku memu wielkiemu zresztą żalowi. Obok stał posąg w brązie, znacznie mniejszy.

Zapytałem, czy tę rzeźbę mógłbym otrzymać do sali Korczaka w Domu Bojowników Getta.

– Tę rzeźbę już przyrzekłam do Watykanu – powiedziała mi artystka tonem usprawiedliwienia.

Ale nazajutrz zadzwonił telefon w moim hotelowym pokoju. Telefonowała sędziwa rzeźbiarka.

– Zmieniłam decyzję w sprawie posągu – powiedziała. – Jestem Żydówką i naprawdę nazywam się Bella Lasar. Poradziłam się przyjaciół i doszłam do wniosku, że miejsce tego posągu jest w Domu Bojowników Getta.

Odwiedziłem ją jeszcze raz i podarowała naszemu Muzeum jeszcze jedną rzeźbę – żydowskiej dziewczyny, córki poety Mordechaja Gebirtiga, autora pieśni *Miasteczko płonie*.

W czasie jednego z pobytów w Polsce otrzymałem jeszcze inny dar dla Domu Bojowników Getta – rzeźbę z brązu w formie medalionu z wizerunkiem Korczaka, pracę polskiej rzeźbiarki, Eweliny Michalskiej. Adres i numer telefonu artystki dał mi były dyrektor Galerii Sztuki w kibucu Ein Charod, zaznaczając przy tym, że jedna z jej rzeźb poświęcona jest Januszowi Korczakowi. Po przybyciu do Warszawy zadzwoniłem i rzeźbiarka przysłała do hotelu, w którym się zatrzymałem. Przyniosła ze sobą właśnie ów medalion, chciała go bowiem sprzedać. Kiedy jej opowiedziałem o Domu Bojowników Getta i jego Muzeum, przejęta i wzruszona postanowiła mi go ofiarować.

Zaprzyjaźniliśmy się, zaprosiła mnie do swej pracowni. Ta wizyta zrobiła na mnie wielkie wrażenie, albowiem Ewelina, kobieta drobna, szczupła i delikatnej budowy, zajmuje się tworzeniem wielkich rzeźb w metalu. Jej dzieła znajdują się na warszawskich placach i w innych polskich miastach oraz w muzeach wielu krajów. Ewelina zaprosiła mnie na otwarcie wystawy w prowadzonej przez siebie Miejskiej Galerii Sztuki.

W kwietniu 1983 zorganizowano w Polsce specjalny zjazd z okazji 40. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Podjęto wysiłki, by w czasie tych obchodów spotkała się jak największa liczba wychowanków Korczaka z całego świata. Na zjeździe tym

szczególnie wyróżniała się obecność przedstawiciela Japonii, Jiro Kondo, który swój zachwyt dla postaci wielkiego wychowawcy wyraził w poemacie *Korczak*:

*Wzlećcie wróbelki,
ćwierkając pieśń o Krochmalnej*

*Szlochające ptaszki
wypadłyście z gniazda
mam dla was kołyskę*

*Z miłości
błysnęła gwiazda
zgasła
w noc warszawską*

*Nocna cisza Getta
kroki w czarnych cholewach
mrożące echo
Sam na sam z Bogiem
w siedmiu płomieniach*

*Płacz wietrze,
w Treblince zamordowano dzieci*

*Łagodny wietrzyku
śpiewaj rekwiem
nad łakami Treblinki tamtego lata*

Japoński poeta badał spuściznę korczakowską i napisał książkę o Korczaku. Odwiedził następnie Izrael i wywiązała się między nami wielka przyjaźń.

Feliks Scharf z Międzynarodowego Stowarzyszenia wydrukował w Londynie wielki plakat. Na plakacie widnieje utwór *Korczak* w siedmiu językach.

Wszyscy uczestnicy zjazdu poszli na cmentarz żydowski w Warszawie, pod pomnik Janusza Korczaka. Na pomniku widnieją napisy po polsku i po hebrajsku: „Symboliczny nagrobek Janusza Korczaka (Hirsza Goldszmita)”.

Członkowie prezydium pojechali do zakładu dla niewidomych dzieci w Laskach pod Warszawą, prowadzonego przez zakonnicę. Kierował nim wówczas doktor matematyki, niewidomy od urodzenia. Wychowuje się tam 300 dzieci i młodzieży w wieku od 3 do 18 lat. Powiedziano nam, że w ciągu lat przewinęło się ich przez ten zakład tysiące. Wiele ukończyło szkoły zawodowe, mniejsza liczba szkoły średnie, a około 7% – studia uniwersyteckie.

Zakład powstał w 1911 roku, założony przez zakonnicę Różę Czacką. W czasie wojny zniszczona została większość budynków i trzeba było wszystko budować od nowa: kościół, budynek klasztorny, internat dla chłopców i internat dla dziewcząt, szkołę zawodową, warsztaty, szpital i inne zabudowania.

Wizyta w Laskach miała niespodziewany dalszy ciąg. W jakiś czas po powrocie do kraju zadzwonił u mnie w domu telefon i zawiadomiono mnie, że przybyli goście pragnący zwiedzić Muzeum. Godzina była dość późna i Muzeum było już zamknięte. Gdy jednak usłyszałem, że w grupie jest Polka, która ratowała Żydów w czasie okupacji – pospieszyłem do gości. Okazało się, że była to zakonnica z Lasek, Klara Jaroszyńska.

Zaprzyjaźniliśmy się przy okazji tej wizyty. Spotkaliśmy się kilka razy i siostra Klara opowiedziała mi, że pracę w Laskach rozpoczęła w 1936 roku. W dzieciństwie poznała Korczaka, kiedy jej ojciec, dyrektor gimnazjum w Warszawie, zabrał ją i jej siostrę z wizytą do Domu Sierot.

– Ojciec był prawdziwym pedagogiem – mówiła zakonnica – i jako taki chciał nam ukazać wszystko co dobre i miłe w życiu. W związku z tym zabrał nas do Korczaka, do Domu Sierot przy ulicy Krochmalnej. Obaj panowie długo rozmawiali. Nie pamiętam tematu rozmowy, ale nigdy nie zapomnę wzroku Korczaka – oczu emanujących dobroć, miłość, pogodę. Obszedł z nami Dom i przedstawił nam dzieci – wesołe – chociaż były sierotami.

W latach wojny Klara mieszkała poza Zakładem Niewidomych i przychodziło do niej szukać pomocy wielu Żydów. Wśród nich również zakonnice pochodzenia żydowskiego.

– Pewnego dnia w Warszawie – opowiadała zakonnica – w okresie getta, spotkałam po aryjskiej stronie, w tramwaju Korczaka. Poznał mnie, uśmiechnął się i wskazał na swą pierś, na której nie było żółtej gwiazdy, jakby chciał mi powiedzieć: „Spójrz, nie noszę gwiazdy, chociaż wszyscy mnie tu znają”. Tak postępował, gdy wychodził poza mury załatwić sprawy związane z Domem Sierot. W czasie wizyty w Domu Bojowników Getta towarzyszyło Klarze kilka osób uratowanych przez nią w czasie okupacji. Klara opowiadała, że zakonnice całym sercem służyły sprawie ukrywania żydowskich dzieci w klasztorach, a największą dla nich rekompensatą za to była wiadomość, że dziecko przeżyło.

– Dziękuję za ciepłe przyjęcie – powiedziała na zakończenie wizyty. – W każdym domu w Izraelu czułam życzliwość. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie utrzymywana także w przyszłości, bowiem każdy ocalały z hitlerowskiego piekła jest mi bliski.

Od tamtego czasu jesteśmy w kontakcie korespondencyjnym. Dowiedziałem się od niej nowych rzeczy o zakładzie w Laskach. Okazuje się, że pracowały tam cztery zakonnice pochodzenia żydowskiego. W czasie okupacji trzeba było je ukryć. Do wykonania tego niebezpiecznego zadania wybrano właśnie Klarę Jaroszyńską.

Z delegacją

W lipcu 1986 roku po raz kolejny pojechałem do Polski, tym razem jako członek delegacji Ministerstwa Oświaty i Kultury. Między naszymi krajami ciągle nie było jeszcze stosunków

dypłomatycznych, a ja miałem kontakt z różnymi ludźmi i instytucjami w Polsce – przede wszystkim z Międzynarodowym Stowarzyszeniem im. Janusza Korczaka, którego siedziba jest w Warszawie. Tak więc nasza delegacja działała pod pieczęcią Stowarzyszenia. Celem wizyty było zorganizowanie wymiany młodzieżowej między Izraelem a Polską.

Rodzice jednego z członków delegacji pochodzili z Nowego Sącza, któregoś dnia zatem postanowiliśmy się tam wybrać. Mieliliśmy adres żydowskiej kobiety, u której miały być klucze od miejscowego cmentarza żydowskiego. Zapukaliśmy do drzwi. Wyszła stara kobieta, Polka. Okazało się, że Żydówka już tu nie mieszka, ale klucze zostały. Wzięliśmy klucze i poszliśmy na cmentarz. Oczom naszym ukazała się przestrzeń wypełniona nagrobkami i... snopami zboża. Snopy pochodziły z pól przylegających do cmentarza, a wejść można było i bez kluczy.

Abraham odnalazł grób swego dziadka ze strony ojca i przez długą chwilę stał przy nim głęboko wzruszony, a ja przechadzałem się wśród nagrobków. Niektóre były bardzo stare. Były nagrobki o szczególnej formie, zwane „ohel” (namiot), a po polsku – grobnica, jakie polscy Żydzi mieli zwyczaj wznosić na grobach rabinów lub innych zasłużonych ludzi. Na niektórych widniały fotografie zmarłych. Na jednym z nich zobaczyliśmy tablicę z napisem: „Mogiła zbiorowa. Tutaj zamordowano setki Żydów z Nowego Sącza”. Nie zdążyliśmy stamtąd odejść, gdy zatrzymała się przy nas jakaś kobieta, idąca do Kościoła.

– Nie pytajcie... Nie pytajcie, co tutaj się działo! – powiedziała i poszła dalej.

Po oddaniu kluczy spacerowaliśmy trochę po Nowym Sączu. Ładne miasto, ze starą studnią pośrodku rynku, z której, jak za dawnych czasów, można czerpać wodę wiadrem na łańcuchu. Wokoło liczne sklepy. Pomyśleliśmy, że wiele z nich należało zapewne do Żydów. Zapytałem jednego z przechodniów gdzie jest synagoga. Zaprowadził nas do zamkniętego budynku, na którym napis głosił: „Muzeum Sztuki im. Synagogi”. Dziwny napis.

Wszędzie, gdzie byliśmy, gospodarze wiedzieli, że niektórzy członkowie naszej delegacji przestrzegają nakazów religijnych.

Podawano nam więc odpowiednie jedzenie, przede wszystkim owoce i jarzyny. Pobożni nie kosztowali potraw mięsnych, nawet jeśli było to mięso kosherne. W jednej z miejscowości zostaliśmy zaproszeni do restauracji, w jadłospisie której figurowało danie: „Wątróbka wieprzowa po żydowsku”. Jeden z członków naszej delegacji zabrał ze sobą tę kartę dań, żeby pokazać ją w Izraelu jako swoiste kuriozum.

Na zakończenie naszego pobytu spisane zostało porozumienie o wymianie grup młodzieżowych – na formularzach Stowarzyszenia im. Korczaka.

Wraz ze wznowieniem stosunków między obu państwami, otworzyły się bez wątpienia nowe perspektywy w stosunkach polsko-izraelskich. Wyraźne tego potwierdzenie znalazłem w liście otrzymanym w grudniu 1986 roku od naszego ambasadora w Rumunii, Josefa Gubrina, który przez długie lata był dyrektorem Departamentu Europy Wschodniej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W swym liście napisał do mnie między innymi:

„A więc, mamy nasze przedstawicielstwo w Warszawie, jakkolwiek pod patronatem Holandii, lecz z nadzieją, że wkrótce otrzyma prawa samodzielne. Ja zawsze pamiętam i sądzę, że moi towarzysze w Jerozolimie również pamiętają, że Pan i Stowarzyszenie im. Korczaka przetarliście do tego drogę”.

Marek Edelman

Marek Edelman, urodzony w Warszawie, był członkiem Bundu i jednym z założycieli i przywódców podziemnej organizacji bojowej, należącej do Bundu – „Cukunft” (Przyszłość). Jeden z przywódców powstania w getcie, komendant na terenie „Szczotka-rzy”, opuścił getto kanałami wraz z grupą ostatnich bojowników 10 maja 1943 roku. Obecnie jest lekarzem i mieszka w Łodzi.

Bardzo chciałem go poznać. Także Icchak Cukierman, który był z Edelmanem w serdecznej przyjaźni, prosił mnie, abym go odwiedził, gdy będę w Polsce i przesłał mu przeze mnie w prezencie butelkę koniaku. Jadąc ze znajomymi z Warszawy do Krakowa, postanowiłem zboczyć do Łodzi i pójść do Marka Edelmana.

Przyjął nas bardzo życzliwie, poczęstował świetnym jadłem i napitkiem. Rozgrzany winem zaczął wspominać Żydowską Organizację Bojową.

– Posłuchaj – zwrócił się do mnie w pewnym momencie – mam ci coś ciekawego do pokazania, ale nie mogę ci tego dać.

Wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z grubym zeszytem, mocno już pożółkłym w ciągu wielu minionych lat.

– To jest zeszyt Jurka Wilnera. Cały zapisany jego pismem.

Arie Wilner (Jurek), waleczny bojownik i barwna postać, był przedstawicielem ŻOB po aryjskiej stronie. Zajmował się przemycaaniem broni do getta, dowodził jedną z walczących w Warszawie grup i zginął 8 maja 1943 roku w bunkrze przy Miłej 18, wraz z dowódcą powstania, Mordechajem Anielewiczem.

Zeszyt wypełniały odpisy dziesiątków wierszy ulubionych poetów Wilnera, a zaraz na wstępie znajdowała się pisana ręką Jurka dedykacja dla Anny Borkowskiej, matki przełożonej podwileńskiego klasztoru. Data październik 1941. W tamtym czasie członkowie podziemnej komórki z Wilna ukrywali się w klasztorze sióstr dominikanek. Edelman otrzymał ten zeszyt od matki przełożonej, która zamieszkała w Warszawie. Oczywiście poprosiłem go, by dał mi go do naszego Archiwum. Odmówił.

– Jest tylko jeden człowiek – dodał jednak – któremu pewnego dnia oddam ten zeszyt. Człowiekiem tym jest Kazik. W końcu zapewne i tak dotrze to do waszych rąk. Istotnie. Kazik (Symcha Rotem) któregoś dnia przekazał zeszyt Domowi Bojowników Getta.

Marek jest człowiekiem przekornym i pełnym poczucia humoru. Czasem trudno się zorientować czy mówi poważnie, czy żartuje. W czasie jednej z naszych rozmów zauważył, że dzieci Icchaka i Cywii właściwie nie są Żydami.

– Przecież nie potrafią przeczytać Szaloma Alejcherna po żydowsku – powiedział. Jako wielki miłośnik jidysz, dyskwalifikował każdego Żyda, który nie znał tego języka.

W kwietniu 1983 roku dzwoniłem do Marka Edelmana, chciałem go bowiem zawiadomić, że właśnie jestem w Polsce, z Jacquesem Erlichem, jednym z twórców filmu *Oblicza powstania*, nad

którym pracowaliśmy w Domu Bojowników Getta i że pragniemy przeprowadzić z nim wywiad dla tego filmu. Niestety, nie udało mi się uzyskać połączenia, nadałam więc telegram, że w tym i w tym dniu, o tej i o tej godzinie przyjadę do niego z Jacquesem Erlichem.

Kiedy dotarliśmy pod dom Edelmana, zobaczyliśmy przechodzącego się cywila z nylonową torbą w ręku. Na nasz widok zbliżył się.

– Pan dokąd? – spytał mnie i wylegitymował się jako pracownik Służby Bezpieczeństwa.

Powiedziałem mu, że jesteśmy Izraelczykami, z Domu Bojowników Getta i że chcemy spotkać się z doktorem Edelmanem, żeby przeprowadzić z nim wywiad do przygotowywanego u nas filmu.

Bezpieczniak połączył się krótkofalówką ze swoim kolegą, któremu jeszcze raz musiałem opowiedzieć o co nam idzie, kazał nam pokazać paszporty, zanotował dane, oddał je i zawyrokował:

– Nie można odwiedzić Edelmana!

Powiedziałem mu, że przyjeżdżamy z tak daleka, po to żeby zrobić wywiad, a on swoje.

– Mnie to wszystko nie obchodzi. Proszę stąd odejść!

Jeszcze stoimy na ulicy, rozżaleni i rozczarowani, ale oto z domu wychodzi Marek.

– To są moi goście – zwraca się z naganą do bezpieczniaków – pozwólcie im wejść.

– Proszę mi nie przeszkadzać w wypełnianiu moich obowiązków! – zawołał SB-ek.

– To pan mnie przeszkadza – odpowiedział Edelman

Esbek zwrócił się do nas i rozkazał nam jak najszybciej opuścić to miejsce. Zrobiliśmy to, gdyż w Polsce panował wtedy stan wojenny.

Potem dowiedziałem się, że w owym czasie Edelman był w areszcie domowym. Wcześniej – jako jeden z działaczy „Solidarności” – był internowany, a zwolniony został najprawdopodobniej

z powodu nacisku całego świata na polski rząd. Ludziom, którzy się z nim później widzieli, opowiadał z goryczą, że jesteśmy tchórzami, nie przeciwstawiliśmy się funkcjonariuszom bezpieki...

My wróciliśmy rozzarowani z nieudanego spotkania, nie wykonaliśmy naszego zadania i nie mieliśmy materiału do filmu. Jakis czas potem otrzymałem z Polskiego Radia nagranie wywiadu z Edelmanem i wykorzystaliśmy je.

Władysław Bartoszewski

Jest osobistością popularną i darzoną wielką sympatią u nas, w Izraelu. Powody są oczywiste: urodzony w 1922 miał 18 lat, gdy we wrześniu 1940 trafił jako więzień do obozu Auschwitz, skąd wydostał się w kwietniu 1941 roku. Był członkiem polskiego podziemia i we wrześniu 1942 roku uczestniczył w założeniu Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom, a od grudnia 1942, wraz z powstaniem Rady Pomocy Żydom „Żegota”, był w niej jednym z dwóch przedstawicieli Delegatury Rządu oraz działaczem podziemnej organizacji młodzieży polskiej, Frontu Odrodzenia Polski.

Do Londynu przekazywał informacje o terrorze hitlerowskim przeciwko Polakom oraz o sytuacji Żydów w okupowanej Polsce.

Jeszcze w czasie okupacji łączył swe liczne zajęcia w walce przeciwko okupantowi z pracą pisarską, stanowiącą również oręż walki.

Po wojnie był członkiem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz działaczem Ligi do Walki z Rasizmem. Jest pisarzem i historykiem, autorem wielu książek o walczącej Warszawie oraz o Żydach polskich ocalonych przez Polaków. W roku 1963 odznaczony został przez Instytut Pamięi Narodowej w Jerozolimie „Yad Vashem” dyplomem i medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a drzewo jego imienia w Alei Sprawiedliwych w Izraelu, w „Yad Vashem” już potężnie się rozrosło.

Zrozumiałe, że z wielką ciekawością oczekiwałem Władysława Bartoszewskiego, gdy miał przyjechać do nas. Wtedy, przed około 20 laty, pierwszy raz spotkałem się z profesorem podczas jego pierwszej wizyty w moim kibucu im. Bojowników Getta.

Następnie był gościem w naszym kibicu i w Domu Bojowników Getta kilka lat temu, jeszcze przed objęciem stanowiska ambasadora Rzeczypospolitej w Austrii; gościliśmy go wtedy wraz z Małżonką, zarówno w kibucu, jak i w Muzeum Domu Bojowników.

Pamiętam, że właśnie wtedy wykopano na naszym terenie ogromny, głęboki dół, wykop pod fundamenty nowej budowli – Domu – Pomnika Pamięci Dziecka. W 1993 roku zaś odbyła się w Wiedniu międzynarodowa konferencja korczakowska, której uczestnicy, jako reprezentanci Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, udali się z wizytami do różnych instytucji. Ja poszedłem do Instytutu Kultury Polskiej w Wiedniu. Ambasador RP, prof. Władysław Bartoszewski przedstawił mnie obecnym, a po wygłoszeniu przeze mnie przed polską publicznością w Wiedniu odczytu na temat *Korczak w Izraelu*, ambasador powiedział, że pragnie mi zadać „prowokujące” pytanie:

– Czemu ma służyć ten wielki, wykopany dół, który widziałem niedawno na terenie kibucu i Domu Bojowników Getta? Pytanie to dało mi możliwość opowiedzenia o naszej nowej inicjatywie – budowaniu „Yad La Yaled”, czyli Domu-Pomnika Pamięci Dziecka, dla utrwalenia pamięci o półtora milionie żydowskich dzieci zgładzonych przez hitlerowskiego okupanta.

W założeniach, Dom ma być żywym pomnikiem, gdzie oprócz uwiecznienia pamięci, prowadzona ma być praca wychowawcza z młodzieżą i dorosłymi, z Izraela i z różnych krajów świata. Wtedy, gdy byłem w Wiedniu, trwała już budowa.

W maju zaś 1995, z wielką satysfakcją zaprosiliśmy ministra spraw zagranicznych Polski, prof. Władysława Bartoszewskiego, by zaszczycił swą obecnością uroczystość otwarcia Domu-Pomnika Pamięci Dziecka. Profesor Bartoszewski przybył i wraz z innymi osobistościami z kraju i z zagranicy uczestniczył w uroczystościach i wygłosił wzruszające do głębi przemówienie.

W moim kibucowym mieszkaniu miałem zaszczyt gościć również Prezydenta Rzeczypospolitej Polski, p. Lecha Wałęsę wraz z Małżonką, gdy przybył z wizytą do Izraela. Prezydent Wałęsa

zwiedził nasz kibuc i Muzeum. Interesował się żywo naszą pracą, produkcją rolniczą i przetwórczą. W skupieniu obejrzał wystawy o Zagładzie i walce Żydów oraz eksponaty obrazujące bogate życie społeczno-kulturalne Żydów przed Zagładą, w Polsce i w innych państwach Europy.

Do zebranych w sali jadalnej członków kibucu wygłosił dwa przemówienia: pierwsze — z kartki, po czym kartkę odłożył i już po posiłku zabrał ponownie głos i bez oficjalnej patyny, bezpośrednio, w swobodny sposób mówił o tym co myśli i czuje w czasie tej wizyty u nas.

Dalszy ciąg rozmowy odbył się u mnie w domu, przy kawie. W intymniejszej atmosferze, nieoficjalnej, mówiliśmy o stosunkach polsko-izraelskich oraz o wrażeniach Prezydenta z pobytu u nas.

6. Narazali swe życie

Ze Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata

W Warszawie odbyło się zebranie założycielskie Związku Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Duszą tej inicjatywy był Andrzej Klimowicz, którego poznałem w czasie mojej pierwszej wizyty w Polsce. Po niezliczonych staraniach i wysiłkach zdobył u władz polskich wszystkie potrzebne zezwolenia, po czym za-telefonował do mnie, by z radością oświadczyć, że 20 listopada 1985 roku w Warszawie, Związek zostanie oficjalnie utworzony. Zaprosił mnie na zebranie założycielskie oraz do wygłoszenia mowy w imieniu Domu Bojowników Getta.

Andrzeja poznałem przez Leona Harari, członka kibucu Maale Hachamisza, niegdyś współpracownika korczakowskiej gazety dla dzieci – „Mały Przegląd”, a oni znali się jeszcze sprzed wojny, z „hachszara” – rolniczej kolonii przygotowującej pionierów do wyjazdu do Erec Israel.

W czasie wojny Andrzej Klimowicz założył w Warszawie warsztat rzemieślniczy, który służył jako miejsce spotkań członków Żydowskiej Organizacji Bojowej. W owym warsztacie było „biuro” Adolfa Bermiana, Leona Feinera („Mikołaja”) oraz „Henryto” z Bundu. Tam znalazł schronienie Jakub Wiernik, który uciekł z Treblinki i był pierwszym autorem wspomnień z tego obozu pt. *Rok w Treblince*, a wiele lat później, w czasie rocznego pobytu w kibucu im. Bojowników Getta, sporządził model obozu w Treblince, który został ustawiony w Muzeum, jego fotografie przedstawiono na procesie Eichmana. Po wojnie Klimowicz otrzymał tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, teraz zaś został wybrany przewodniczącym Związku Sprawiedliwych w Polsce.

Wielkie zainteresowanie towarzyszyło zebraniu założycielskiemu związku. Przybyli dziennikarze wszelkich rodzajów środków masowego przekazu. Z biciem serca przyglądałem się uczestnikom spotkania: robotnicy, chłopci, księża, naukowcy – 170 osób, z których każda narażała życie swoje i swojej rodziny dla ratowania bliźniego.

Siedziałem na sali w pierwszym rzędzie, lecz raz po raz odwracałem głowę, by patrzeć na tych szczególnych ludzi, z których każdy był tematem do opowieści o wielkich czynach, dobroci, poświęceniu i bohaterstwie – chlubą ludzkości.

Powstaniem z miejsc i chwilą milczenia uczcili zebrani pamięć tych, co za ratowanie Żydów zostali przez Niemców zamordowani. Gdy nadeszła moja kolej, stanąłem na podium i powiedziałem, jak bardzo jestem wzruszony zaszczytem uczestniczenia w tym spotkaniu.

– Kto lepiej od nas, Żydów – powiedziałem – a zwłaszcza Żydów pochodzących z Polski, zdaje sobie sprawę z tego, z jak wielkim niebezpieczeństwem wiązało się ukrywanie ich w czasach Zagłady. Gdy wygłaszałem przemówienie przypomniały mi się różne historie o ratowaniu Żydów przez Polaków w czasie okupacji – wiele przypadków, w których nazwisko ratującego pozostało nieznane. Wspominałem szlachetne czyny, których bohaterowie pozostali bezimienni, a powinni znaleźć się właśnie w gronie Sprawiedliwych. Przypomniałem, w jaki sposób ujawniono wiele tego rodzaju spraw.

W czasie jednej z moich wizyt w Polsce dowiedziałem się od znajomych z Pracowni Korczakowskiej o udziale Domu Dziecka „Nasz Dom”, kierowanego przez Marynę Falską, w ratowaniu żydowskich dzieci w czasie okupacji. Znajomi byli zdania, że ten zakład powinien otrzymać tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Wyjaśniłem, że tytuł otrzymać może tylko człowiek, a nie instytucja. Poradziłem jednak, by wniesć o nadanie tego tytułu Falskiej i pracownikom jej zespołu. Dodałem, że nadaje się go na podstawie zeznań ocalałych. Moi rozmówcy wymienili Helenkę Falkowską, która w czasie wojny znalazła schronienie w „Naszym Domu” i wiadomo, że przeżyła.

Po powrocie do Izraela szybko zamieściłem w środkach przekazu wiadomość, że poszukuję kobiety, która w latach wojny nazywała się Helenka Falkowska i była w Domu Dziecka Maryny Falskiej. Już następnego dnia zadzwonił telefon.

– To ja jestem Helenką Falkowską – oznajmił kobiecie głos, który drżał ze wzruszenia, gdy jego właścicielka umawiała się ze mną na spotkanie.

– Długie lata – mówiła kobieta – w ogóle nie myślałam o tamtym okresie. Teraz po pańskim ogłoszeniu, wszystko obudziło się na nowo i jestem bardzo wzruszona.

Powiedziała, że obecnie nazywa się Hana Gdalewicz i że będzie szczęśliwa, jeżeli jej zeznania będą mogły przyczynić się do przyznania tytułu Sprawiedliwego – Marynie Falskiej i jej współpracownikom z Domu Dziecka. Przy pierwszym naszym spotkaniu opowiedziała mi swoją historię.

Hana urodziła się w Krakowie. Gdy wybuchła wojna, miała 9 lat – żydowska dziewczynka o czarnych włosach i ciemnych oczach. Jej ojciec, Salo Fiszgrund, poszukiwany przez Niemców jako znany działacz Bundu, zaraz na początku wojny musiał uciekać z miasta. Znalazł się w Związku Radzieckim, gdzie go aresztowano i skazano na karę śmierci. Szczęśliwie do 1941 roku wyrok nie został wykonany i kiedy Niemcy zaatakowali Związek Radziecki, udało mu się uciec z pośpiesznie ewakuowanego więzienia. Wrócił do Polski i ukrywał się po aryjskiej stronie w Warszawie. Był członkiem Żydowskiej Organizacji Bojowej, używał m.in. pseudonimu „Henryk” i „Wiktor”.

Matka Hany zajmowała się domem i całe życie poświęciła rodzinie. Jej brat Julek był starszy od niej o 6 lat. I była jeszcze pomoc domowa, Aniela Krzystonek, która pracowała u nich od młodych lat, od czasu gdy uciekła ze swojej wsi od macochy. Fiszgrundowie zwali ją zdrobniale Anielcią.

Również dla nich wojna od samego początku oznaczała dramatyczną zmianę warunków życia. Musieli opuścić zniszczone bombardowaniami mieszkanie i dłuższy czas tułali się po Krakowie, nękanymi najróżniejszymi chorobami. Z pomocą przyszli

przyjaciele ojca z krajowego kierownictwa Bundu i przenieśli ich do Piotrkowa Trybunalskiego. Wydawało się, że tam będzie spokojniej i znajda lepsze warunki.

Kiedy zamykano piotrkowskie getto, Anielcia nie chciała się z nimi rozstać i przez wiele miesięcy dobrowolnie dzieliła wszystkie trudy i cierpienia życia w getcie. Po dłuższym czasie dopiero matka Hany, przekonana, że Żydów czeka zagłada, zdołała ją nakłonić do powrotu do Krakowa. Anielcia nie zapomniała o pozostawionych w Piotrkowie i po pewnym czasie zawiadomiła ich, że znalazła pracę u rodziny volksdeutscheów, zresztą w domu w którym Fiszgrundowie kiedyś mieszkali i w którym Hana się urodziła.

Julek znalazł pracę w biurze Gminy Żydowskiej, a jego nikły zarobek musiał wystarczyć na utrzymanie całej rodziny, gnieźdzącej się w małym pokoiku, pełnym robactwa i bez ubikacji. Julek, który sam był jeszcze młodemu chłopcem, postanowił ocalić matkę i siostrę od okrutnego losu. Udało mu się zdobyć dla nich aryjskie dokumenty, według których matka była Teklą Szpigiel, a Hana Helenką Falkowską. Plan Julka przewidywał, że Hana z tymi dokumentami wymknie się z getta i pojedzie do Krakowa, do Anielci, a matka wkrótce podąży za nią. Polak, syn byłego dozorczy domu, w którym mieszkali w getcie, sam się zaofiarował, że odwiezie dziewczynkę na miejsce, a następnego dnia wróci po matkę. Tak się jednak nie stało. Jeszcze tej samej nocy, której Hana rozstała się z matką przy murze getta, nie żegnając się nawet – przecież następnego dnia miały być znów razem, piotrkowskie getto zostało zlikwidowane, jako pierwsze w Polsce i pierwsze w ogóle. Została niewielka grupka młodych mężczyzn, wśród nich Julek, a wszystkich pozostałych wywieziono do Treblinki. Kiedy młody człowiek – o nazwisku Smyk – wrócił z Krakowa, nie było już z kim odbyć następnej podróży. Zapytany przez Julka – gotowego oddać za tę przysługę wszystko, co mu jeszcze zostało – jak można mu się odwdziżyć, Smyk sięgnął do szafy, wybrał sobie jeden krawat i powiedział, że chciałby go zachować na pamiątkę.

Gdy Hana przybyła do Krakowa, Anielcia ukryła ją w suterenie u córki stróża i od czasu do czasu przemycła trochę żywności.

Pewnego dnia Anielcia zjawiała się w piwnicy wystraszona i bez tchu, oznajmiając, że tajemnica się wydała i muszą uciekać.

– Od tamtej chwili – opowiadała Hana – Anielcia narażała dla mnie życie. Ale odtąd ja musiałam przejąć inicjatywę, bo Anielcia już nie wiedziała co robić.

Ojciec Hany, żyjący w Warszawie „na aryjskich papierach”, zdołał dostarczyć jej adres łączniczki Bundu w Warszawie. Razem z Anielcią ruszyły więc w drogę. Postanowiły, że Anielcia poda się za ciocię Hany.

– Anielcia miała wtedy 60 lat – mówiła dalej Hana – i zdrowie jej nie dopisywało. Ja byłam czarnowłosa i czarnooka, wyraźnie semicki typ – gdy natykałyśmy się na Niemców, chowałam twarz w dłoniach. Wolnym krokiem szłyśmy w stronę stacji kolejowej. Anielcia w jednym ręku trzymała koszyk, z którym nigdy się nie rozstawiała, a drugą ręką prowadziła mnie.

Podróż trwała kilka miesięcy – raz pieszo, częściej pociągami pełnymi budzących strach podróźnych. Właściwie mieszkała w pociągach, a Hana jeszcze długo po wojnie nie mogła pozbyć się ruchu ukrywania twarzy w dłoniach.

Gdy już były u celu, na dworcu w Warszawie, zostały zatrzymane przez dwóch Polaków w skórzanych płaszczach i butach z cholewami zaprowadzone na posterunek policji niedaleko dworca.

Na policji zaczęło się śledztwo i bicie. Żądano, by obie się przyznały, że są Żydówkami. Anielcia cierpiała razy w milczeniu. Hana, nie mogąc znieść widoku zalanej krwią Anielci, postanowiła wyznać, że to ona jest Żydówką, a Anielcia Polką i katoliczką.

Natychmiast przesłuchanie się skończyło i śledczy wyszedł z pokoju. I wtedy zdarzyło się coś, czego Hana nie jest w stanie wytłumaczyć. Siedziały, czekając na powrót śledczego, gdy zjawił się inny oficer.

– Mam córkę w twoim wieku – powiedział. – Spróbuję ci pomóc. Otworzył zapasowe drzwi i krzyknął:

– Wynoście się natychmiast!

Po wojnie Hana starała się odszukać tego człowieka, ale go nie znalazła.

Na tym ich kłopoty się jednak nie skończyły. Zanim dotarły w bezpieczne miejsce, wpadły w łapy „szmalcowników” – szantażystów, którzy krążyli po ulicach Warszawy i obrabowywali Żydów pod groźbą wydania Niemcom. Zostały ograbione ze wszystkiego, z ostatnich oszczędności Anielci, bo Hana przecież i tak niczego nie miała i wreszcie, nieludzko zmęczone, głodne i przerażone dotarły do łączniczki ruchu oporu, która zawiadomiła ojca Hany.

Wynajmował pokój w dużym mieszkaniu i był to zarazem lokal organizacji podziemnej, w którym przechowywano broń i dokumenty. Do tego pokoju zabrał je obie – Anielcię na parę dni, po których wróciła do Krakowa, a Hanę na kilka tygodni, w ciągu których nikt nie mógł się domyślać jej obecności. Po jakimś czasie udało mu się umieścić córkę w domu sierot „Nasz Dom”, kierowanym przez Marynę Falską. Odwiedzał ją tam od czasu do czasu, udając wujka i w miarę możliwości przynosił żywność.

Blisko „Naszego Domu” była polska szkoła. Jedna z dziewcząt z domu sierot, Irena Jakubowicz, mająca aryjski wygląd i czysto polską wymowę, chodziła do tej szkoły. Kierownik rozpoznał w niej Żydówkę i wydał ją władzom. Nigdy już nie wróciła.

Hanie nie wolno było wyjść nawet za bramę, ale Maryna Falskm zadbała o jej naukę. Księgowa zakładu, Irena Dębska, pełniła rolę jej prywatnej nauczycielki. Kiedy Gestapo przeprowadziło rewizję, pracownicy szybko przemycali dziewczynkę z jednego skrzydła domu do drugiego lub kładli ją do łóżka w pokoju, na drzwiach którego wisiała tabliczka z napisem: „Tyfus. Wejście wzbronione!”.

Wtajemniczeni byli wszyscy pracownicy „Naszego Domu”: wychowawczyni – Aleksandra Staszewska, wychowawca – Zdzisław Sieradzki, bibliotekarka – Czesława Kossobudzka, kierownik administracyjny – Władysław Cichosz, kierowniczka kuchni – Janina Cichosz, administratorka – Klara Partykiewicz oraz odpowiadająca za odzież – Ira Gołębiowska. Do wszystkich można było mieć absolutne zaufanie. Gorzej było z dziećmi, które szybko się domyśliły – nie było to trudne, skoro Hana nigdy nie wychodziła na ulicę – i zaczęły głośno o tym między sobą rozmawiać.

W końcu zaniepokojona w najwyższym stopniu Maryna Falska zrobiła zebranie starszej grupy i po raz pierwszy skłamała, dając dzieciom słowo honoru, że Hana nie jest Żydówką. Przestrzegала ich przed lekkomyślnymi posądzeniami i rozmowami, które ich koleżankę mogą kosztować życie.

Nauka zajmowała Hanie niewielką część dnia. Brak zajęcia i myśl o rodzinie nie dawały jej spokoju, poprosiła więc Marynę Falską o przydzielenie jej jakiejś pracy, najlepiej sprzątania, niewiele przecież umiała robić, co pomogłoby rozproszyć smutne myśli. Kierowniczką rozumiała jej stan i udzieliła pozwolenia na takie prace jak mycie okien i sprzątanie łazienek i ubikacji. Niekiedy uśmiechała się do niej łagodnie.

– Helenko – mówiła – po wojnie dostaniesz medal za dobrowolne zgłaszanie się do ciężkiej pracy.

Kiedy w sierpniu 1944 roku wybuchło w Warszawie powstanie, urwał się kontakt Hany z ojcem. W tym okresie szczególnie Maryna Falska starała się dodawać dziewczynce otuchy. Wzywała ją do swego gabinetu, pocieszała lub po prostu prowadziła z nią długie rozmowy. Na terenie zakładu utworzono szpital powstańczy. Hana zgłosiła się tam do pomocy. Przez długie godziny prała zakrwawione bandaże.

Po zdławieniu powstania Niemcy wydali rozkaz ewakuowania zakładu. Serce kierowniczką nie wytrzymało tego wyroku. Falska miała wtedy 66 lat i była wyczerpana ciężką pracą w warunkach wojennych. W kilka godzin po otrzymaniu tej wiadomości zmarła na atak serca. Została pochowana na podwórku „Naszego Domu”, niedaleko ławki, na której zwykła siadywać, by odpocząć po całodzienną pracę. Po wojnie zwłoki ekshumowano i pochowano na cmentarzu powązkowskim. W 1947 roku została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Niemcy zaprowadzili personel zakładu i dzieci do pociągu, towarzyszyli im esesmani. Dopisało im szczęście. Niemcy zostali pokonani, zanim transport dzieci dotarł do obozu koncentracyjnego.

W 1957 roku Hana złożyła wniosek o pozwolenie na wyjazd do Izraela, ale przez wiele lat nie dostawała zgody. Być może

dlatego, że zdecydowana była nigdzie się nie ruszyć bez Anielci. Plany udało jej się dopiero zrealizować w 1969 roku – przybyła do Izraela razem z Anielcią i 13-letnią wówczas córką Marysią.

Anielcia została odznaczona tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Do ostatniego dnia swego życia mieszkała z Haną Gdalewicz. Zmarła w podeszłym wieku i została pochowana na katolickim cmentarzu w Jaffie.

Hanna zasadziła drzewka w Alei Sprawiedliwych w Yad Vashem dla upamiętnienia czynów Anieli Krzysztonek i Maryny Falskiej.

Jaakow Szurek i jego siostry

W czasie naszego pobytu w Krakowie spotkałem Jaakowa Szurka, mego przyjaciela, który przyjechał w odwiedziny do Polski z inną grupą i również zamieszkał w hotelu „Cracovia”. Ujrzałem go niespodziewanie, stojącego w hallu hotelowym, żywo rozprawiającego, w otoczeniu ludzi z jego grupy turystycznej. Podszedłem i słuchałem w zdumieniu: Szurek był jak wezbrane źródło wspomnień z lat Zagłady.

Szmat drogi instruktora-wychowawcy zrobiłem po wojnie razem z Szurkiem i znałem go jako człowieka zamkniętego w sobie we wszystkim co dotyczy okresu wojny. Nic innego, tylko wizyta w Polsce przerwała tamę. Do czasu tego właśnie spotkania w hotelu wiedziałem tylko tyle, że Szurek przeżył po stronie aryjskiej, jako rzekomo dziecko katolickie i utrzymywał się ze śpiewania po podwórkach i w kościołach. Opiekował się wtedy swymi dwiema młodszymi siostrami, które również ładnie śpiewały.

Po niespodziewanym spotkaniu w hallu hotelu „Cracovia” spotykaliśmy się znowu raz po raz na długie rozmowy. Opowiedział mi, że w czasie tej wizyty w Polsce dotarł m.in. do wioski, gdzie się ukrywał, i do polskiej rodziny, która udzieliła mu schronienia. Obecnie zastał tam tylko syna rolnika, który okazał mu wtedy tyle dobroci. Gdy wyjaśnił, kim jest, rodzina serdecznie go przyjęła.

– Słyszeliśmy dużo o tobie od samych rodziców – powiedzieli i dali mu obecny adres rodziców, Władysława i Jadwigi Mieczkowskich, którzy mieszkali w Warszawie.

– Pojechałem do nich i było to wielce wzruszające spotkanie – opowiedział mi Szurek.

Znałem Jaakowa Szurka długie lata, ale dopiero w czasie tamtego pobytu w Polsce poznałem jego przeszłość. Jego rodzice zostali zamordowani przez Niemców w getcie. Jaakowowi udało się wydostać z getta na stronę aryjską w 1942 roku. Ponieważ miał wygląd polskiego chłopca, postanowił udawać „goja”.

Przez półtora roku żył w Warszawie, w schronisku dla kalek, którzy zarabiali śpiewaniem po podwórkach i w kawiarniach. Ponieważ miał ładny głos, przyłączył się do grupy inwalidów – śpiewaków. Od czasu do czasu wyruszał sam, na „solowe występy”.

W styczniu 1943 Niemcy urządzili łapanki dla Polaków. Zatrzymano 17 tys. osób, wśród nich Szurka i jego towarzyszy, inwalidów ze schroniska. Jeden z Polaków zdradził Niemcom, że wśród zatrzymanych Polaków znajdują się Żydzi: Szurka wydał Niemcom osobiście kierownik schroniska inwalidów. Wszyscy podejrzani jako Żydzi zostali zaprowadzeni do więzienia. Szurkowi cudem udało się po drodze uciec, ale na jego nieszczęście, w czasie biegu zwichnął nogę, został ujęty powtórnie i zaprowadzony na komendę policji na Pradze. Nazajutrz ciężarówka zabrała wszystkich aresztowanych do więzienia.

Gdy czekali na Pawiaku, do celi, w której siedział Szurek wszedł SS-owiec i zapytał:

– Ile ty masz lat?

– Trzynaście – odpowiedział i dodał – I jestem Polakiem!

SS-owiec rozkazał go zwolnić, bez dodatkowych dochodzeń. Wyszedł, błąkał się po Warszawie i często musiał zmieniać miejsca ukrywania się. W końcu postanowił uciec z Warszawy. Do stał się w okolice Białegostoku. Rolnicy tam poszukiwali młodych pomocników do robót w gospodarstwie i do wypasania bydła. Został najęty przez chłopą, ale robota była za ciężka, nie dał rady i przeniósł się do innej wsi, gdzie znalazł ciepły kąt w domu Mieczkowskich. Tam również ciężko pracował: rąbanie drewna i układanie w stosy na zimę, czerpanie wody i chodzenie za pługiem, ale domownicy traktowali go życzliwie.

W czasie przebywania w przytułku inwalidów Szurek nauczył się śpiewów kościelnych i wieśniacy uważali go za polskie dziecko. I jako taki przysłuchiwał się rozmowom chłopów, którzy byli zawziętymi antysemitami. Niejeden raz dane mu było usłyszeć słowa pochwały dla Niemców, którzy miejscową ludność oczyścili od zarazy żydowskiej. Niektórzy mówili, że wariatem jest ten, kto ukrywa Żydów.

– To jest i głupota, i niebezpieczeństwo – mówili antysemita – za takie wykroczenie Niemcy gotowi spalić całą wieś!

Tylko w domu, w którym znalazł schronienie, nie słyszał złego słowa o Żydach.

O tym, że jest Żydem, powiedział Szurek Mieczkowski dopiero po wkroczeniu do ich wsi żołnierzy Armii Krajowej. Ku jego radości wyznanie to nie zmieniło stosunku tych ludzi do niego. Przy rozstaniu dali mu ubranie i pieniądze i zapewnili, że u nich zawsze znajdzie dach nad głową i życzliwe przyjęcie.

Obie siostry Jaakowa Szurka, Stefcia (Edna) i Marysia (Miriam) były urodziwymi dziewczynkami i ładnie śpiewały. W czasie wojny wędrowały z gromadą Cyganów po wsiach i zarabiała na życie śpiewaniem.

Od czasu do czasu bywały we wsi Jaakowa i widziały się z nim. Gdy wybuchło polskie powstanie, pełniły w oddziałach powstańczych służbę jako łączniczki, chociaż jeszcze były właściwie dziećmi: Stefcia miała 9, a Marysia 13 lat.

Po zdławieniu powstania dziewczynki dostały się do niemieckiej niewoli. Wysłano je do jenieckiego obozu w Niemczech, skąd zostały wyzwolone wraz z zakończeniem wojny. Obie pojechały do Anglii, jako Polki. Stefcia uczyła się w katolickim internacie. Marysia była pielęgniarką w szpitalu. Poznała tam polskiego lotnika starszego od niej o 20 lat. Wyszła za niego za mąż. Nie miał pojęcia, że jego żona jest Żydówką.

Szurek nie wiedział co się stało z jego siostrami. Nie dawało mu to spokoju. Jedną z naszych wychowawczyń, Dorka Sternberg, która pozostała jeszcze w Polsce już po wyjeździe Szurka, zamieściła w 1949 roku w polskiej gazecie ogłoszenie, że siostry Stefcia i Marysia Sokołowskie są poszukiwane przez bliskich. Pewnego

dnia skontaktowała się z nią pewna kobieta i powiedziała, że dwie siostry Sokołowskie były z nią razem w obozie jenieckim w Niemczech. Wtedy Szurek zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, prosząc o pomoc w odnalezieniu śladów obu siostr. Po pewnym czasie otrzymał londyński adres Marysi. Natychmiast pojechał do Anglii i spotkał się z obiema siostrami. Chciał je sprowadzić do Izraela, lecz to mu się nie udawało. Przyśłał mi śpiesznie list, z pytaniem czy mogę mu w tym pomóc. I oto los okazał się dla niego łaskawy: w tymże czasie do kibucu Bojowników Getta przyjechał ówczesny premier Izraela, Mosze Szaret. Na uroczystym przyjęciu, w naszym klubie, siedziałem obok premiera i wykorzystując sytuację, pokrótce opowiedziałem mu o siostrach Jaakowa Szurka. Premier Szaret pośpieszył z pomocą. Szurek otrzymał poparcie z izraelskiej ambasady w Londynie.

Jak się okazało, nie zdołał on swoim siostrom wyjaśnić, co to takiego kibuc. Ażeby zrobić na nich wrażenie, opowiedział im, że jest właścicielem wielkiego gospodarstwa rolnego, rozpościerającego się na tysiącach dunamów ziemi, że są to obory i kurniki.

I jeszcze okazało się, że Miriam (czyli Maria, Marysia) nie wyjawiała swemu mężowi, że ma zamiar wyjechać do Izraela. Dopiero gdy wszystkie przygotowania zostały załatwione, zostawiła mu kartkę – i ruszyła w drogę. Ogłuszony wiadomością mąż zaraz wniósł skargę do Interpolu, że żona uciekła z domu. I podał jedyne adres, jaki posiadał: adres Jaakowa Szurka. Również u mnie był izraelski oficer policji, przedstawiciel Interpolu. Ale obie siostry nie powróciły już do Anglii. Miriam zmarła w Izraelu. Stefcia wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

Porcelanowy dzbanek

Gdy zakończyłem swoje przemówienie na zebraniu założycielskim Związku Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, podszedł do mnie jeden z obecnych na sali, pan 55 lat i przedstawił się jako Tadeusz Barchacki.

– Wdzięczny będę – powiedział – gdyby zechciał Pan poświęcić mi odrobinę czasu. Mam coś interesującego do przekazania.

Byłem właściwie zajęty po uszy, ale gdy powiedział mi, że jego matka jest Sprawiedliwą wśród Narodów Świata i że zwraca się do mnie w jej imieniu, nie mogłem odmówić.

Wieczorem przyszedł do mojego pokoju hotelowego ze sporym pakunkiem. Poczułem skrępowanie. Polscy przyjaciele lubili przynosić mi jakieś drobne prezenty – dla mnie lub dla ich krewnych czy znajomych w Izraelu, jakiś haftowany obrusik, lalkę, drewniany talerz czy coś w tym rodzaju. Z każdego pobytu w Polsce wracałem obładowany tego typu paczuszkami. Gdy poprosiłem mego gościa by usiadł, rozwinął opakowanie. W środku był duży porcelanowy dzbanek, zdobiony pięknym malowidłem.

Tadeusz Barchacki postawił dzbanek na stole i powiedział, że posyła mi go jego matka po wysłuchaniu mojego przemówienia.

– Była bardzo wzruszona Pańskim wystąpieniem – dodał – i uważa, że dzbanek ten powinien znaleźć się w Izraelu, w Muzeum Bojowników Getta.

Jedną z form pomocy dla zamkniętych w getcie było dostarczanie im żywności. Za przemycone na aryjską stronę rzeczy nabywano produkty żywnościowe i przerzucano je do getta. Rodzice moi, Stefan i Helena Burchaccy, także w taki sposób pomagali zaprzyjaźnionym Żydom. Należał do nich Leon Weinsztejn z Radzymina, który po ucieczce z tamtejszego getta do getta warszawskiego, często pojawiał się w naszym domu przy ulicy Targowej na Pradze, przynosząc najrozmaitsze przedmioty, które moi rodzice spieniężali na sąsiednim Bazarze Różyckiego, nabywali za nie żywność i lekarstwa, które Leon zabierał przy następnej bytności u nas. Taką też drogą trafił do naszego domu ten porcelanowy dzbanek do herbaty. Dzbanek ten bardzo spodobał się mojej matce, tak, że nabyła go dla siebie i pozostał u nas do dzisiaj... Muszę dodać, że tylko szczęśliwy przypadek zrządził, że ten kruchy porcelanowy przedmiot pozostał cały w zniszczonym później przez pociski naszym mieszkaniu. Nie posiada on materialnej wartości, ale czas i miejsce, z jakimi jest związany, nadają mu charakter świadka historii, i dlatego uważamy, że powinien znaleźć się w Muzeum Bojowników Getta i z wielką satysfakcją przekazujemy go w Pańskie ręce...

– Leon Weinstein – opowiadał dalej Tadeusz Barchacki – przychodził od czas do czasu ukryć się u mojej matki. Zostawiał też u niej na przechowanie rzeczy, które mógł sprzedać po aryjskiej stronie. Później kontakt z nim się urwał, lecz matka strzegła tego dzbanka jak drogiego przedmiotu.

Postanowiłem, że uczynię wszystko dla odnalezienia Leona Weinstein, jeżeli jeszcze żyje. Po powrocie do Izraela zamieściłem historię o dzbanku i – o dziwo także tym razem, podobnie jak i w przypadku Hany Gdalewicz, zatelefonowała do mnie kobieta, która oświadczyła drżącym głosem:

– Jestem Bronka, szwagierka Weinstein, moja siostra była Jego żoną. Przed wojną rodzina żyła w miasteczku Radzymin niedaleko Warszawy. W 1940 roku jej siostra, Sabina, urodziła w getcie w Radzyminie córeczkę. W czasie likwidacji getta uciekła do Warszawy. W stolicy Leon Weinstein poszedł do getta, podczas gdy jego żona z małą córeczką zostały po aryjskiej stronie u pewnej Polki, właścicielki sklepu, u której Sabina pracowała jako służąca.

W listopadzie 1942 roku ktoś złożył na Polkę donos, że chowa u siebie Żydów. Na szczęście kobieta dowiedziała się o tym i Sabina z dzieckiem zdążyła się wyprowadzić. Nie miała dokąd pójść. Postanowiła przynajmniej ocalić dziewczynkę, która właśnie skończyła dwa lata. Zawiązała jej na szyi tasiemkę z karteczką: „Nazywam się Natalia Czarnecka. Urodziłam się jako nieślubne dziecko. Mama nie może mnie już dłużej trzymać. Miłosierni ludzie zabierzcie mnie!”. Zostawiła dziecko przy bramie jednego z domów i z pewnej odległości obserwowała, co będzie dalej. Dziecko strasznie płakało i wołało: „Mamusi! Mamusi!”, aż wyszedł stróż, wziął małą za rączkę i zabrał ze sobą. Sabina śledziła ich z daleka i zobaczyła, że stróż prowadzi dziewczynkę na posterunek policji. Serce jej pękało. Spodziewała się, że jakaś litościwa rodzina zabierze dziecko do siebie, ale gdy zostało przekazane policji była pewna, że niewiele mu życia zostało. Tymczasem ona sama znalazła na jakiś czas schronienie u Polki, niejakiej Kseni i przez podziemie nawiązała kontakt z mężem. Pewnego dnia w 1943 roku Sabina wyszła z mieszkania Kseni już nie wróciła.

Mąż nie zdążył się o tym dowiedzieć, gdyż w getcie wybuchło powstanie i kontakt się zerwał.

W czasie powstania Leon Weinstein przez kilka tygodni ukrywał się w bunkrze, potem kanałami wyszedł na aryjską stronę, natychmiast poszedł do Kseni, gdzie dowiedział się, że jego żony już nie ma. Po wojnie wszczął poszukiwania córki. Szukał domu, w którym na początku wojny ukrywała się żona z dzieckiem, ale wszystkie domy na tamtej ulicy były wyburzone, z wyjątkiem posterunku policji. Zwrócił się do dyżurnego oficera i opowiedział mu swoją historię.

– Możliwe – odpowiedział oficer – że w dzienniku dyżurów policji znajduje się nazwisko Natalia Czarnecka...

Istotnie, znalazł zapis i dane jakie przekazano do domu pod-rzutków. Leon udał się do tego domu, gdzie powiedziano mu, że wszystkie dzieci stamtąd – wśród nich Natalia Czarnecka – zostały przeniesione do miejscowości Grodzisk pod Warszawą. Pojechał natychmiast do Grodziska. Dom dziecka mieścił się w klasztorze. Zakonnica, sprawująca funkcję kierowniczkę poinformowała go, że pod jej opieką znajduje się dziewczynka o imieniu Natalia, lecz warunkiem przekazania dziecka jest zidentyfikowanie go przez ojca i ustalenie tożsamości.

– Dziewczynka jest bardzo ładna – powiedziała zakonnica – i wielu chętnych wzięłoby ją do adopcji. Do tej pory nie pozwalałam na to, gdyż sercem czułam, że jest to dziecko żydowskie.

Na szczęście udało się Leonowi rozpoznać swoją córeczkę wśród innych dziewczynek, ustawionych do przeglądu. Mała zgodziła się pójść z nim.

– Wiedziałam, że tata, to dobra rzecz. Dlatego poszłam z nim – wyjaśniła. Miała wówczas pięć lat.

Bronka, szwagierka Leona mieszkała w owym czasie w Warszawie i Leon do niej przyprowadził dziewczynkę.

– Przez pewien czas – opowiadała mi Bronka – dziecko było u mnie. Na początku odmawiała modlitwy, których nauczyła się w klasztorze, ale stopniowo jej to przeszło, co więcej, gdy widziała na ulicy zakonnice, ogarniał ją lęk, że oddadzą ją z powrotem do klasztoru.

Pod koniec rozmowy Bronka powiedziała mi, że Leon Weinstein żyje w Stanach Zjednoczonych. Napisałem do niego. Posłałem mu fotografię jego porcelanowego dzbanka do herbaty. Po pewnym czasie przekazałem mu również dzbanek.

Ludka

Podczas każdego mego pobytu w Polsce spotykam się z Ludką Cieślak lub z jej mężem. W 1942, we Lwowie, gdy Ludka miała półtora roku, rodzice przekazali ją polskiej rodzinie w nadziei iż w ten sposób dziewczynka się uratuje. W kilka miesięcy później zostali zamordowani.

Dziecko adoptowali Irena i Marian Krallowie. Matka Mariana była Żydówką, która przeszła na katolicyzm na wiele lat przed wybuchem II wojny światowej. Marian był z zawodu piekarzem i przez pewien czas pracował w żydowskiej piekarni. Z rodzicami Ludki znali się sprzed wojny.

W 1945 roku rodzina Krallów przeniosła się ze Lwowa do Bytomia. Mariann zmarł w 1957 roku. Przed śmiercią zdążył powiedzieć Ludce oraz swojej rodzonej córce, że pragnie im wyznać tajemnicę, którą głęboko ukrywał, ale zmarł nie ujawniwszy sekretu. Córki spytały więc matkę: która udała, że nie wie, o co mogło chodzić. W 1979 roku zmarła również matka, zabierając sekret do grobu.

Na którymś rodzinnym spotkaniu jedna z ciotek powiedziała, że Ludka jest Żydówką. Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie Ludka zaczęła szukać śladów swojej rodziny. Pojechała do Warszawy, gdzie trafiła do Żydowskiego Instytutu Historycznego. Spotkała tam Bronkę Klibańską z Yad Vashem z Izraela. Bronka przyrzekła, że po powrocie do kraju ogłosi jej historię w polskojęzycznej gazecie wychodzącej w Tel Awiwie. Zaznaczyła jednak, że dane posiadane przez Ludkę – jedynie nazwa miasta i nazwisko przybranych rodziców – są stanowczo zbyt nikłe.

Jednak po opublikowaniu ich w Izraelu, zgłosiła się do Bronki kobieta nazwiskiem Wanda Kremer.

– Sprawa jest mi dobrze znana – powiedziała. – Ja także, jako szesnastolatka, znalazłam schronienie u Krallów.

Wanda Kremer skontaktowała się z Ludką w Polsce, radząc jej przyjazd do Izraela w celu kontynuowania poszukiwań.

Rzeczywiście, w Izraelu Ludka odnalazła kuzyna oraz dobrego znajomego swojej matki, który przechowywał jej fotografie i listy. Odwiedziła również kibuc Bojowników Getta, wtedy też opowiedziała mi swoje dzieje. Wyjeżdżając, zaprosiła mnie do swego domu w Polsce.

Odwiedziłem ją przy najbliższej okazji. Mieszkała w Gliwicach. Jej mąż, inżynier, gdy okazało się, że żona jest Żydówką, kupił lichtarze do świec oraz obraz z wizerunkiem Żyda.

– Gdy nasza, 16-letnia wtedy córka, dowiedziała się o dziejach mojego życia – opowiadała Ludka – stanęła przed lustrem i spytała: „To tak wygląda Żydówka?”. Od tamtego czasu bardzo interesuje ją tematyka żydowska. Będę wdzięczna, jeżeli opowiesz jej o Izraelu. Obydwie, matka i córka – teraz studentka medycyny, uczą się języka hebrajskiego. Cała rodzina postanowiła możliwie szybko przyjechać z wizytą do Izraela.

Ziutek, mąż Ludki, opowiedział mi jak poznał swoją żonę. Było to w 1957 roku. Ludka miała 17 lat i była piękną dziewczyną, studentką Politechniki Śląskiej.

– Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia – wyznał – ale ona traktowała mnie chłodno. Trzeba było aż czterech lat, żeby złagodniała. Starałem się przez ten czas zdobyć o niej jak najwięcej informacji i tak dowiedziałem się o pogłoskach, że Ludka nie jest rodzoną córką Krallów. Opowiadano, że Krallowa była bezpłodna, że pojechała do Warszawy i wróciła z półtorarocznym dzieckiem. Jednakże kto wiedział dokładniej nabrał wody w usta na długie lata. Dopiero w 1957 zaczęły się poszeptywania, które dotarły i do moich uszu. Wiadomości o żydowskim pochodzeniu Ludki nie zmieniły niczego w moich uczuciach do niej i bardzo byłem szczęśliwy, kiedy na moje oświadczyzny odpowiedziała „tak”.

Po pewnym czasie Ludka odnalazła ciotkę, zamieszkałą w Danii, oraz kuzyna w Jerozolimie, znanego matematyka, Tomka Szenkowskiego.

– Przy okazji dalszych poszukiwań – opowiadał mąż Ludki – dowiedzieliśmy się, że ojciec żony nazywał się Limanowski i był adwokatem. Pojechaliśmy do Bytomia, do biura notarialnego, by szukać nazwiska w archiwum, a gdy powiedziano nam, że archiwum zostało przewiezione do Wrocławia, pojechaliśmy i tam. Byliśmy też u wszystkich członków rodziny Krall, rozproszonych po całej Polsce. Tylko niewielu z nich chciało nam coś powiedzieć, albowiem przybrani rodzice Ludki zakłęli ich, by nie wydali tajemnicy. Obawiali się, że prawda będzie dla niej zbyt dużym wstrząsem. Tymczasem nic podobnego. Ludka wróciła z Izraela uspokojona, przywiozła ze sobą fotografie matki i teraz upiększają one album rodzinny – zakończył Ziutek swoją opowieść. Przybrana matka Ludki wręczyła jej przed śmiercią medalion z łańcuszkiem. Ludka nosi go do dzisiaj – krzyżyk i medalik z Matką Boską, a do tego także gwiazdę Dawida...

Dziennik

Przy ulicy Pięknej w Warszawie mieszkała kobieta, która według aryjskich dokumentów nazywała się Janina Kazowska, lecz naprawdę była Żydówką o nazwisku Róża Blumenfeld. Gdy ją poznałem była chorym, samotnym, przybitym człowiekiem. Żeby dostać się do jej mieszkania na szóstym piętrze przemaszerowałem przez podwórko, wspiałem się po schodach, a potem jeszcze długo musiałem dzwonić i stukać do drzwi. Uprzedzono mnie, że kobieta źle słyszy, czekałem więc cierpliwie aż mi otworzy.

Janina była dentystką i do czasu przerwania pracy z powodu wieku i choroby, prowadziła życie dość wygodne. Zastałem ją w ciasnym i skromnym pokoju bez kuchni. Było tam dużo fotografii jej syna, Jurka, który urodził się w Warszawie 30 grudnia 1934 roku i zginął razem ze swoim ojcem 2 października 1944 roku, nie dożywszy dnia swoich dziesiątych urodzin.

Gdy zapytałem o wspomnienia z lat wojny, twarz jej się zachmurzyła.

– Proszę mnie nie pytać o wspomnienia z tamtych lat – powiedziała niechętnie. – Nie dają mi one w nocy spać. Proszę mnie nie pytać. Nie zniechęciłem się. Odwiedzałem ją nadal. W czasie jednej z wizyt wręczyła mi dziennik swojego męża. Przekonała ją do tego Wanda Rotenberg, członkini ŻOB, z grupy Hersza Berlińskiego, która wyszła z getta na miesiąc przed wybuchem powstania i pomogła mężowi i synowi Janiny ukryć się po aryjskiej stronie. Przekazując dziennik Domowi Bojowników Getta, Janina-Róża prosiła o uwiecznienie pamięci jej męża i synka.

– Ja – powiedziała – byłem przez większość tego czasu po stronie aryjskiej. Ten dziennik mój mąż pisał, gdy ukrywał się wraz z naszym synkiem w piwnicach warsztatu rzemieślniczego na Starym Mieście w Warszawie. Oto historia, którą opowiedziała mi Wanda Elster-Rotenberg. Miała typowy wygląd Polki, mówiła dobrze po polsku i na aryjskiej stronie nosiła nazwisko Wanda Kacperska. Była łączniczką ŻOB i Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Opiekowała się ukrywającymi się Żydami – starszymi ludźmi i dziećmi – dostarczała im fałszywe papiery i starała się o lokum. Pracowała często z Icchakiem Cukiermanem i Adolfem Bermanem. Wśród ludzi, z którymi się kontaktowała, była Róża Blumenfeld oraz jej mąż Pinkus i syn Jurek.

Pierwsza uratowała się Róża – od tej pory Janina. W Piasecznie pod Warszawą pracowała jako pomocnica dentystki, która nie wiedziała, że jest ona dyplomowanym lekarzem dentystą. Pinkusowi Blumenfeldowi z synem udało się wyjść dopiero po kwietniowym powstaniu. Schronienie znalazła im Wanda. Z Różą Bulmenfeld Wanda skontaktowała się po raz pierwszy przez łączników podziemia. Spotkały się w kawiarence w śródmieściu. Róża podała Wandzie dane potrzebne do udzielenia pomocy jej synowi i mężowi, a potem spotykały się co tydzień, kiedy Róża przyjeżdżała do Warszawy zobaczyć się z bliskimi.

Wanda znalazła im kryjówkę w piwnicy pod warsztatem motocyklowym, blisko mostu i Starego Miasta. Właścicielowi piwnicy płaciła niewielkie sumy na utrzymanie. Był to Polak, człowiek przyzwoity i odważny, związany z polskim podziemiem. Jego

warsztat składał się z dwóch pomieszczeń. W drugim z nich była ciasna i dobrze zamaskowana dziura, w której przez cały dzień ukrywali się Pinkus z synem. Na pokrywie kryjówki stał zawsze akurat naprawiany motocykl. Życie obu ukrytych zaczynało się wieczorem, po zamknięciu warsztatu. Kiedy wychodzili z kryjówki, prostowali kości, oddychali normalnym powietrzem i przygotowywali się do przeżycia następnego dnia. Światła dziennego nie widywali.

Z łączniczką Wandą utrzymywał Pinkus tylko listowne kontakty. Na jego prośbę Wanda wystarała się dla Jurka o książki, zeszyty, gry, ołówki i kredki do rysowania, o słodczyce, owoce i wszystko co mogła zdobyć dla dziecka w tym wieku. Pewnego dnia właściciel warsztatu dopomógł w spotkaniu Wandy z Pinkusem i Jurkiem.

– Było to niezwykle wzruszające spotkanie – wspominała Wanda. – Z wielkiego przejścia niemal nie rozmawialiśmy. Ojciec i syn opowiadali, że starali się odgadnąć jak też wygląda „Pani Krysia” – pod takim imieniem mnie znali. Jurek był dzieckiem o wyraźnie aryjskim wyglądzie: blondyn, niebieskie oczy, duże i piękne. Pomimo wszystko oczy te miały w sobie szczyptę łobuzerstwa i radości.

Wanda otrzymała od właściciela warsztatu pozwolenie na zabieranie Jurka od czasu do czasu na parę godzin z kryjówki. Raz zabrała go na film dla dzieci – sama była po raz pierwszy w kinie po aryjskiej stronie. Ludzie z organizacji podziemnej strzegli się przed bywaniem w tego rodzaju publicznych miejscach również dlatego, że do każdego biletu doliczono podatek na rzecz armii niemieckiej.

W dniu zaplanowanego wyjścia do kina – relacjonowała Wanda – przyszedłam do warsztatu, zabrałam dziecko i ruszyliśmy w drogę. Oboje byliśmy trochę podnieceni. W kinie zobaczyliśmy na ekranie dzieci bawiące się nad Morzem Bałtyckim, kąpiące się, opalające na słońcu. Jurek nie był w stanie opanować podniecenia i wydał okrzyk zachwytu. Nie mogłam go uspokoić. Bałam się, że zwróci czyjąś uwagę. Film się skończył, wyszliśmy z sali i spacerowaliśmy długą godzinę. Był

podniecony i czuło się, że musi mówić, musi opowiadać. Zdał mi sprawę z tego co robi w piwnicy, ze swego porządku dnia, a ściślej mówiąc – nocy. Trudno było wyobrazić sobie sytuację trudniejszą i bardziej zatrważającą od tej, w jakiej znajdowało się to dziecko. Opowiadał mi jak stara się zabawić swojego ojca i ulżyć mu na sercu. Jak bardzo tęskni za matką. I o tym, że chciałby jeździć na motocyklu. I o wspaniałych rzeczach, jakie można robić w Palestynie. W drodze powrotnej kupiłam mu duży zapas plasteliny. Do warsztatu wrócił w dobrym nastroju.

Po kilku dniach Wanda poszła zanieść właścicielowi warsztatu pieniądze. Cekał na nią list od Pinkusa i Jurka. Obaj dziękowali jej za dzień spędzony z Jurkiem, a Jurek napisał: „Prosiłem tatusia, żeby napełnił dużą butelkę wodą, a ja sobie siedzę, przewracam butelkę, poruszam w różne strony i słyszę plusk i robią się fale i mam morze, jak w kinie...”. Pinkus napisał, że Jurek wiele godzin spędza na lepieniu statuetek z plasteliny: „małeńkie postacie, piękne zadziwiająco dokładnie oddane”. Przy pierwszej okazji Jurek przekazał Wandzie kilka takich figurek, a ona ustawiła je w mieszkaniu Polaków, u których mieszkała.

Kontakt między nimi zerwał się gdy w sierpniu 1944 roku wybuchło powstanie. Nie powiodły się wszelkie próby Wandy dotarcia do Pinkusa i Jurka, do jej własnej siostry i do innych podopiecznych. Po powstaniu Wanda wyszła z Warszawy z długą kolumną ludzi wysiedlanych z miasta do obozów pracy w Niemczech. Po drodze udało się jej umknąć z transportu i zaczęła wędrować po wsiach. W końcu dotarła do Piaseczna i tam spotkała Janinę. Razem przeżyły pełne napięcia miesiące bez wiadomości o tym, co się dzieje w Warszawie.

Po zakończeniu działań wojennych obie wyruszyły pieszo do Warszawy. Z lękiem w sercu i z nadzieją, że może jednak zastaną swoich bliskich. Janina odnalazła dom z warsztatem, ale męża ani syna tam nie zastała. Tylko w kącie zauważyła walający się zeszyt, w którym Pinkus prowadził swój dziennik.

– Pokazała mi ten zeszyt – opowiadała Wanda – ale nie pozwoliła przeczytać. Minęło sporo czasu, zanim ona sama była

w stanie czytać owe zapiski. Odmówiła, gdy zaproponowałam jej złożenie dziennika w Żydowskim Instytucie Historycznym. To jest jedyna pamiątka – powiedziała – jaka została mi po moich najdroższych.

Wanda wyjechała z Warszawy do Łodzi, gdzie było największe skupisko Żydów. Janina jeszcze przez pewien czas pozostała w Piasecznie. Potem przeniosła się do małego mieszkania w śródmieściu Warszawy, w którym rozwiesiła fotografie swojego syna, Jurka. Podjęła na nowo pracę jako dentystka. Wanda wyemigrowała do Izraela. Do 1980 utrzymywały ze sobą kontakt listowny, potem łączność się zerwała, do dnia, w którym Wanda – przyjechała na międzynarodowy zjazd Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka. Od tamtego czasu była w Polsce kilkakrotnie. Gdy przyjechała wiosną 1988 roku na uroczystości 45-lecia powstania w getcie warszawskim, Janina była w szpitalu, bardzo słaba, z trudem mówiła. Przy ostatnim pożegnaniu prosiła, by Wanda załatwiła, żeby pochowano ją razem z fotografią Jurka. Krótco potem umarła.

Dziennik Pinkusa Blumenfelda prowadzony był od 8 sierpnia 1944 do 2 października 1944. Pisany bardzo drobnym pismem, zapewne z powodu braku papieru – w zeszyte szkolnym do rachunków. Część pisana jest ołówkiem, część – od 25 września – wiecznym piórem.

We wtorek, 15 sierpnia Pinkus Blumenfeld zanotował w swoim dzienniku:

Wczoraj nie pisałem. Powód? Otóż około godziny 4–5 pp. pocisk artyler. o dużej sile uderzył w nasz dom. Staliśmy wówczas pod drzwiami i wyglądaliśmy. Siłą uderzenia pocisku ja otrzymałem uderzenie drzwiami, przy czym straciłem /7-kę/ trzonowy ząb lewy górny, dykta natomiast poszarpała mi lekko prawe ucho, czoło i nos, przytem padłem na wznak i uderzyłem się w kość ogonową, czego od razu nie poczułem, za to w nocy i dzisiaj dosyć dokucza. Mój kochany Jureczek otrzymał uderzenie dotkliwie w dolną wargę, która spuchła, z wewnętrznym wylewem krwi, poza tym lżejsze uderzenie w czoło i nad lewym okiem. Spuchlizna

wargi i dziś mu bardzo dokucza, mimo, że błona śluzowa pękła i krew zeszała. Wygląd wciąż brunatno-czerwony, wyschnięta z powodu gorączki. Niestety dziecko nie ma cierpliwości i nie chce uwzględnić mojej prośby, by chusteczkę mokrą trzymać przy buzi.

Nie straciliśmy przytomności. Wobec zerwania dykt, oraz jednej części kraty chroniącej wejście do nas, uciekliśmy do tyłu, zostawiając na polu walki: ja, lewy kalosz (noszę kalosze, ze względu na cichy chód, Jurek bambosze), ołówek, Jurek czapkę. Choć tzy w oczach Jurka się ukazały, trzymał się jednak dzielnie. U mnie?. Zaznaczyłem tylko, że z chwilą gdy żyjemy, wszystko w porządku, nawet się roześmiałem, na co Jurek odpowiedział mi uśmiechem.

W piątek, 1 września:

Jurek mówi mi, żem bardzo blady, twierdzą, że to cień taki pada, ale widząc jego błądź, nie mówię mu nic. Lusterka nie używam i nie daję dziecku używać, lepiej, jak nie zobaczy jak wygląda, choć nieźle się czuje...

Poniedziałek, 4 września:

...Wyjrzałem przez otwór na ulicę. Stali dwaj kałmucy przy klepsydrze. Przechodzi jakiś esesman i zaczyna im tłumaczyć.

„Hej, Du! Die alle gestern hier (tu wskazuje na drogę; którędy Polacy szli Mariensztatem) Ja, die alle. Piff... (tu wskazuje ręką znak w górę na niebios) die allen kaput!“. Krew zastygła mi w żyłach. Wszyscy, wszyscy męczeńską śmiercią zginęli. Tysiące, tysiące. Kobiety, dzieci, starzy, młodzi, wszyscy zginęli. Więc jakie znaczenie mają odgrywać jeszcze dwie istoty. Może i trzy istoty: Gdyż nie zapominam o mojej najdroższej, o której nic nie wiem, a która, jeśli żyje to i jej trybu życia i zmartwień nie zazdroszczę...

Sobota, 16 września:

Dziś mamy duży święto. Od kilku tygodni usłyszeliśmy mowę polską „Wolność“, „Niech żyje“ itp. i śpiew Rotę. Rozpłakałem się kiedy powtórzyłem: „tak nam dopomóż Bóg“. Więc wolność. Gdzie przemawiali nie wiem. Jurek tylko kiedy słyszy mowę i śpiew raduje się. Z chwilą gdy mija, nadal jest smutny

Zmęczony, przerwałem na chwilę pracę i piszę. Teraz zjemy cebulę z olejem i chlebem spleśniałym. Słuchamy przytem wciąż powtarzającą się pieśń Rotę, co nam bardziej jeszcze umili śniadanie...

2 października, w poniedziałek:

Jeżeli noc na 1-szego przeszła przy nieco żywszym ogniu artyleryjskim to dzień wczorajszy i noc ubiegły bez godnych wzmianki działań wojennych. Jedynie o godz. 10 wieczór, już nie spałem (kładziemy się o godz. 7-ej) słyszę dudnienie słabe i zastanawiam się co to właściwie jest. Jurek śpi. Ostatnio pogłębiliśmy otwory naszej nory i Jurek może wyciągnąć nogi na całej długości. Wychodzę, okazuje się, że deszczuik drobny pada i tak krople z muru spadają na daszek warsztatu.

Wylazłem i przed wejściem do warsztatu postawiłem dwa garnki, czyli to już po raz drugi z tą różnicą... Nad ranem zebrałem 2 butelki wody deszczowej, co mnie starczy na ugotowanie zupy... Widzę, że sprawa się przedłuża, postanowiliśmy gotować co III dzień zupy. Obecnie mamy u siebie na około 14 dni wody, w piwnicy jest jeszcze około 20 butelek wody, o też liczę, że starczy na dwa tygodnie. Czy to już nastąpi wtedy koniec naszych mąk, czy też dopiero się zaczną te najstraszniejsze?

Dzisiaj Jurek swój otwór jeszcze bardziej pogłębił. Jest to dość ciężka praca z, wykopaniem i wyrzucaniem tej ziemi, wobec czego mój otwór pogłębimy jutro. Jurek mówi, że wierzy w to, że ocalejemy... no i mówi, jak każdy w tym wieku, że jeszcze będziemy musieli wyjść stąd w poszukiwaniu wody i przejdziemy jeszcze jakieś przygody, no i później nastąpi wyzwolenie. Tak jest! Wciąż marzy o przygodach! O niebываłych i niemożliwych wyczynach!

Na tych słowach kończą się zapisy w dzienniku. Dziennik ocalał. Jego autor – nie. I nie ocalał Jurek, Jego syn.

Grupa ratownicza doktora Świtala

O doktorze Stanisławie Świtalu słyszałem wiele od Cywii Lubetkin i Tuwii Bożykowskiego. Byli to bardzo ważni członkowie Żydowskiej Organizacji Bojowej. Oboje poświęcili mu uwagę w swoich książkach. Zarówno Cywia, jak i Tuwia byli wraz z innymi w śmiertelnym zagrożeniu w piwnicy na Żoliborzu. Byli tam również Icchak Cukierman, Marek Edelman, Julek Fiszgrund, Zygmunt Warman i inni. Los zetknął z nimi dr. Świtala.

Wody nie było i żywności także nie było – napisała w swej książce Cywia Lubetkin. – Po wielogodzinnym błakaniu się nad Wisłą,

Marek Edelman odkrył zamaskowaną piwnicę. Znaleźliśmy w niej schronienie przez okres sześciu długich tygodni. Byli wśród nas ludzie o wyraźnie semickich rysach twarzy. Nie wiedzieliśmy właściwie co zrobić. Nazajutrz po kapitulacji polskich wojsk powstańczych, Niemcy zaczęli ewakuację z Warszawy całej polskiej ludności. Miasto zostało opróżnione, bez ludzi.

W końcu doszło do wiadomości naszych towarzyszy, którzy przebywali w okolicach Warszawy, że żyjemy, ale w każdej chwili możemy wpaść w ręce wroga. Udało im się zorganizować ekipę ratowniczą rzekomo Polskiego Czerwonego Krzyża, która weszła na teren Warszawy pod pretekstem wywiezienia ze zburzonych miasta rannych i chorych na tyfus. Ludzie z Czerwonego Krzyża przyszl do nas z noszami, na których – z twarzami obwiązanyi bandażami – położono tych spośród nas, którzy wyglądali na Żydów. Reszta nałożyła opaski Czerwonego Krzyża, i jako rzekomi pracownicy Czerwonego Krzyża pomagali nieść nosze z „chorymi”... Później wiadomo było, że ekipę tę wysłał dr Śwital, Polak, członek polskiej organizacji podziemnej.

Powoli, słowo po słowie, odkrywaliśmy dzieje owej ekipy ratunkowej – napisał Tuwia Bożykowski w swojej książce. – Gdy Inka dowiedziała się o nas skontaktowała się natychmiast z Alą i obie zwróciły się do członka organizacji podziemnej, który skierował je do doktora Świtale, naczelnego lekarza szpitala w Boernerowie. Powiedziały mu, że w Warszawie, w bunkrze pozostało kilku powstańców i jeśli się ich natychmiast nie uratuje, to niechybnie zginą.

(...) Okazało się, że onże dr Śwital, patriota polski, człowiek postępowy i godny zaufania, zrobił wszystko co było możliwe – zorganizował grupę spośród pracowników szpitala, których wyposażył w dokumenty Czerwonego Krzyża... Grupa dotarła, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo... Pospiesznie opuściliśmy kryjówkę. Na dworze czekało na nas kilku chłopców i kilka dziewcząt z noszami. Marek i Zygmunt mieli być chorymi, a ja, Icchak i Julek, jako ludzie z ekipy sanitarnej – mieliśmy dźwigać nosze. (...)

Przed nami w znacznym oddaleniu, szły Cywia i Jasia, z węzełkami na ramionach... jako mieszkanki Warszawy, które przyszły zebrać trochę odzieży ze swoich opuszczonych domów (...).

W szpitalu w Boernerowie oczekiwał nas pełen życzliwości dr Śwital. Pierwszej nocy położył nas do snu w bocznym pokoju, ażeby nas, broń Boże, nie dojrzało złe oko.

Gdy w 1980 roku spotkałem się z dr. Świtałem, dorzucił wiele szczegółów do opisu tej wyprawy. Inicjatorem naszego spotkania był Judka Helman, członek kibucu Gwat, jeden z filarów Domu Bojowników Getta i serdeczny przyjaciel Icchaka i Cywii.

– Należy umieścić tablice – powtarzał stale – w tych miejscach, w których znajdowali się ludzie z Żydowskiej Organizacji Bojowej w czasie polskiego powstania i po powstaniu.

Judka nalegał, żebym zrobił wszystko dla odnalezienia dr. Świtła, jeżeli jeszcze żyje i zanotował, co opowie o tej sprawie. Wskazał mi też do sfotografowania 40 miejsc związanych z działalnością ŻOB-u.

Śladów do sfotografowania znalazłem niewiele, natomiast dr. Świtła po dłuższych poszukiwaniach i dzięki pomocy mojego przyjaciela Andrzeja udało się odszukać. Gdy go odwiedziłem jego mieszkaniu w Warszawie, miał 75 lat. Przez trzy godziny siedziałem zafascynowany tym, co opowiadał. Swą opowieść o wyprawie ratunkowej rozpoczął od klęski polskich powstańców i zdumiewającej wiadomości, że dowództwo Armii Krajowej podpisało Niemcom akt kapitulacji, co wywołało wśród powstańców wielkie rozgoryczenie. Szczególny niepokój zapanował wśród członków ŻOB-u, którzy zdawali sobie sprawę, że gdy wpadną w ręce Niemców, czeka ich śmierć.

– Dzień 15 listopada 1944 roku wyrzył się w moim sercu szczegół po szczególe – powiedział mi dr Śwital. Około godziny 9 rano weszła do jego gabinetu młoda, nieznajoma kobieta. Wręczyła mu kartkę podpisaną przez „Bartosza” – doktora Lesława Węgrzynowskiego. Na kartce widniały w pośpiechu skreślone słowa: „Uczyń wszystko co możliwe w sprawie, jaką przedstawi ci osoba przekazująca kartkę”.

Kobieta – ciągnął dr Śwital – opowiedziała mi, że w Warszawie na Żoliborzu, w parterowym domu przy ul. Promyka 1 znajduje się pięciu mężczyzn i dwie kobiety, pozbawieni wody

i żywności, i w każdej chwili grozi im śmierć, ponieważ piwnica znajduje się na pierwszej linii frontu, w okolicy, w której Niemcy przeczesują każdy zburzony dom. Poczułem, że powierzono mi wielką misję. Byłem wzburzony i podniecony, ale jako stary żołnierz podziemia wiedziałem, że muszę się skupić i uważnie rzecz kalkulować.

Przed wszystkim wziął plan Warszawy i zaczął badać odległość z Boernerowa do ulicy Promyka na Żoliborzu. Spytał kobietę, czy gotowa jest służyć za przewodnika. Zgodziła się bez chwili wahania. Wtedy dr Światał kazał wysłanniczce przyjść za pół godziny i zasiadł do zaplanowania akcji ratowniczej.

Boernerowo od ulicy Promyka dzieliły mniej więcej 4 kilometry, po drodze były liczne posterunki niemieckie: A co będzie jeśli plan „nie wypali” i Niemcy pochwyć ludzi spieszących na ratunek?

– Zdawałem sobie sprawę, że niepowodzenie akcji doprowadzi do rozlewu krwi i zginą ocaleni powstańcy oraz ich ratownicy – mówił dr Światał. – Co gorsza, jeśli Niemcy zgładzą powstańców i ekipę, która ma ich wyprowadzić z ukrycia, to będziemy mieli Niemców w mojej przychodni, zniszczą szpital wraz z jego 20 pacjentami. I możliwe, że zemszczą się na całym Boernerowie.

Jednak pomimo tych strasznych perspektyw dr Światał podjął decyzję i spełnił prośbę nieznaną. Gdy po pół godzinie wysłanniczka wróciła, poszedł z nią do szpitala, gdzie starszą pielęgniarkę Jadwigę Markiewicz poprosił o „czarny zeszyt”, w którym zapisane były nazwiska pracowników szpitala, często fikcyjne. Wyjaśnił mi, że zeszyt nazwany został „czarnym” ze względu na okładkę oraz z powodu zapisków szyfrem znanym tylko jemu, a odnoszących się do pracy poszczególnych osób w podziemiu.

Niedaleko szpitala siostra Jadwiga Markiewicz wraz z dr. Światałem prowadzili tajne gimnazjum. Wszyscy młodzi pracownicy, którzy oficjalnie pracowali tylko w szpitalu przy chorych, uczyli się także na przyspieszonym kursie.

Dr Światał ocenił, że do akcji potrzebuje pięciu osób. Nie będąc pewnym, czy każdy będzie w stanie przejść tę trudną próbę,

wybrał siedmioro z „czarnego zeszytu”. Byli to „najlepsi z najlepszych” pracowników szpitala. On sam postanowił czuwać nad akcją z oddalenia. Po kolei wzywał na rozmowę każdego z wybranej siódemki i każdemu zadawał pytanie, czy gotów jest umrzeć. Zapytani, w pierwszej chwili stali jak skamieniali, ale w następnej sekundzie odpowiadali „tak”. Potem dr Śwital zebrał wszystkich siedmioro w swoim pokoju i wyłożył im plan akcji.

– Potrzebuję pięcioro ludzi – powiedział również – dlatego proszę o wyjście z pokoju tych, którzy sądzą, że nie dadzą rady.

Nikt nie ruszył się z miejsca, sam więc wybrał dwie osoby i zwolnił z zadania.

– Wyszli ze łzami w oczach – opowiadał mi dr Śwital – bolało mnie serce, ale nie zmieniłem decyzji.

Do akcji ratowniczej wyruszyli: Kazimierz Syłkiewicz, jego żona, Maria Syłkiewicz, Barbara Kinkiel, Zbigniew Sciwiarski, Janusz Osęka i kobieta, która przyniosła kartkę od „Bartosza”. Kazimierza Syłkiewicza wyznaczył dr Śwital na dowódcę wyprawy. Kazał im zabrać dwie pary noszy i pokazał drogę na mapie.

– Ludzie wybrani do tej akcji – powiedział dr Śwital – mieli duże doświadczenie w ewakuowaniu rannych, a nakazał im tak postępować, jak robią to zawsze w akcjach wyciągania rannych.

Powinni wystrzegać się spotkań z Niemcami, a jeżeli to się okaże niemożliwe, to mieli zachować się odważnie i nie okazywać wahania i twierdzić, że zostali wysłani na rozkaz niemieckiego oficera, by przetransportować chorych po szpitala, zaś nazbyt ciekawskich Niemców odstraszyć informacją, że chodzi o chorych na tyfus.

Po wyjściu ekipy dr Śwital pozostał w szpitalu, gdzie spędził długie godziny nerwowego, pełnego napięcia wyczekiwania. Oceniał, że jeżeli wszystko się uda – powinni wrócić około godziny trzeciej – czwartej po południu.

– Ale kończył się ten krótki, jesienny dzień, a oni nie wracali – wspominał mój rozmówca. – Opanował mnie lęk, nie mogłem już pracować. I oto nagle wpadła do szpitala łączniczka z okrzykiem radości: „Przyszli! Już są tutaj!”. Ciężki kamień spadł mi z serca.

Teraz wszyscy zasiedli do skromnej kolacji. Przed posiłkiem dr Świta podał ocalałym witaminy oraz odpowiednie lekarstwa. Ostrzegł ich, żeby uważali z jedzeniem po tak długim okresie głodu. Mają żuć dokładnie i jeść powoli. Pouczył ich też jak się mają zachować, gdyby Niemcy wpadli do szpitala na okresową kontrolę. Powiedział, że Niemcy nigdy od chorych w szpitalu nie żądali dokumentów tożsamości.

– Jutro – dodał również – każdy z was będzie mógł swobodnie stąd wyjść, jakkolwiek każdy uczyni to na własną odpowiedzialność. Szpital może każdego wychodzącego zaopatrzyć w odpowiedni dokument.

Trojgu ocalałym, wyczerpanym do cna, dr Świta poradził pozostać w szpitalu aż wróćą do sił. Potem wysłuchał jak przebiegała akcja. Otóż ekipa dotarła do piwnicy o godzinie 12.05. Niemców w pobliżu nie było, gdyż w południe udawali się na obiad. Pierwsza do piwnicy weszła kobieta, którą ukrywający znali. Pokrótce im powiedziała, że przybyła ekipa ratownicza i że mają wyjść z piwnicy. Potem weszli ludzie z ekipy, poza jednym, który został na straży. Ludzie z piwnicy zakopali broń, gdyż zabranie jej było zbyt dużym ryzykiem. Dwóch z nich obandażowano i położono na noszach. W drodze powrotnej ze spotkanymi Niemcami rozmawiały dwie pielęgniarki Maria Syłkiewicz i Barbara Kinkiel, obie ładne, obdarzone zdolnością przekonywania i mówiące dobrze po niemiecku. Posterunki niemieckie pozwalały ekipie przechodzić bez trudności. W dziesięć dni po moim spotkaniu w Warszawie z doktorem w Warszawie, odbyła się w Instytucie Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie uroczystość zasadzenia drzewka jego imienia w Alei Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Dr Świta z powodu choroby nie był na uroczystości obecny. Nadesłał mi list z prośbą, bym go reprezentował podczas tej ceremonii. Uczyniłem to z całym sercem i zasadziłem jego drzewko w ziemi. Dyplom oraz medal otrzymał dr Świta u siebie w domu w Warszawie.

Henryk Grabowski

To, co najbardziej uderzające u Henryka Grabowskiego, to jego skromność. W swojej książce na temat wydarzeń II wojny

światowej umniejszył swój wkład, starał się siebie przedstawić jako tego, który robił rzeczy zrozumiałe same przez się, podkreślał natomiast to, co robili inni.

Pod koniec lata 1941 roku Henryk Grabowski uczestniczył w polsko-żydowskim spotkaniu. Spośród Żydów zapamiętał Icchaka Cukiermana, Josefa Kaplana, Cywię Lubetkin i Mordechaja Anielewicza. Ze strony polskiej w spotkaniu tym udział wzięli Irena Adamowicz, Stanisław Hajduk oraz Henryk Grabowski.

Postanowiono wysłać łączników na tereny zajęte w 1939 przez Związek Radziecki, a potem przez Niemców i zbadać, co się tam dzieje. Łączność utrzymywano głównie z organizacjami pionierskimi, chalucowymi – „Szomer Hacair” i „Hachaluc”.

We wrześniu 1941 Henryk został wysłany jako łącznik do Białegostoku, Grodna oraz Wilna. W każdej z tych miejscowości zetknął się z wielkim upadkiem gospodarczym. Wytworzyła się rozpaczliwa przepaść pomiędzy niedolą i nędzą po jednej stronie a luksusem – po drugiej. Rozwinał się przemysł żywności, mimo iż Żyda spotkanego poza gettem zabijano na miejscu i że to samo czekało Polaka, który pomagał Żydowi.

W organizacjach, z którymi Henryk nawiązał kontakt w miejscowościach docelowych, szeregi były już mocno przerzedzone. Znani działacze musieli zmienić nazwiska i adresy. Ludzie niszczyli dokumenty, które mogłyby sprowadzić na nich niebezpieczeństwo. Do każdego obcego odnoszono się podejrzliwie.

– A były powody podejrzliwości – opowiadał Henryk Grabowski. – Okolice pomiędzy Grodnem a Wilnem zamieszkane były przez chrześcijan pałających nienawiścią do Żydów. Henryk zajmował się organizowaniem ruchu oporu. Ostrzegał ludność, że Niemcy najpierw rękami kolaborantów, Litwinów i Ukraińców, zgładzą Żydów, a potem wymordują Polaków – chrześcijan. Krążyły już wówczas po Warszawie mgliste pogłoski o tym, że w Wilnie i Białymstoku Niemcy dokonują masowych rzezi, ale nikt nie był gotów w to uwierzyć.

Z jego słów wynikało, że był jednym z pierwszych, którzy przywieźli do Warszawy wiadomości o zagładzie ludności żydowskiej

w okolicach Wilna. Opowiedział to, co widział na własne oczy. Co więcej, gdy wraz z żoną Jadwigą spotykali prowadzone przez Niemców kolumny Żydów – z narażeniem własnego życia ostrzegali, że Niemcy nie prowadzą ich do nowych miejsc osiedlenia, jak obiecywali, ale że wiedą ich na śmierć.

– Nie chcieli uwierzyć – wspominał Grabowski. – Byli tacy, co mówili, że to jest propaganda strachu i że Niemcy prowadzą ich do kopania kartofli. Potem widzieliśmy, jak kopią sobie groby, a potem jak do nich wpadają.

Henryk i Jadwiga dotarli do miasteczka Troki, niedaleko Wilna. Z daleka zobaczyli gromady ludzi prowadzonych koło jeziora do zamku, zwanego Zamkiem Tyszkiewiczów.

– Chcieliśmy – mówił Henryk – z bliska zobaczyć, co robią z tymi ludźmi na zamku. Zeszliśmy do łodzi i jako rzekomi wędkarze podpłynęliśmy bliżej. Przy brzegu ukryliśmy się w trzcinach. Patrzyliśmy uważnie i byliśmy naocznymi świadkami rzezi dokonanej na Żydach z miasteczka Troki. Rzeź miała miejsce o kilometr od Zamku Tyszkiewiczów.

W Wilnie zastał Henryk podziemną komórkę, której członkowie byli gotowi działać i walczyć.

– Spotkaliśmy się z nimi w klasztorze sióstr dominikanek – opowiadał. – Matka przełożona, Janina, pomagała jak prawdziwa matka. W spotkaniu uczestniczyli: Chajka Grosman ps. „Halina”, Adam Buraks, Aba Kowner, Mordechaj Tenenbojm i Arie Wilner ps. „Jurek”.

Do końca życia nie zapomnę Jurka – opowiadał dalej Henryk Grabowski. – 1 marca 1943 w Warszawie przyszedł do mnie Janek Galiński, który mieszkał w sąsiedztwie Wilnera i zawiadomił, że aresztowało go Gestapo. Tegoż dnia przyszedł do mnie Winogradow i potwierdził tę wiadomość. Dodał też, że Jurka przesłuchiwali przy pomocy okrutnych tortur, ale trzymał się i wytrwał, nie powiedziawszy ani słowa. Opracowaliśmy plan i udało nam się wydostać go z łap Gestapo. Przybył do naszego domu z ranami na całym ciele. Żona moja pielęgnowała go, aż jako tako przyszedł do siebie i wtedy zażądał, żeby go przetransportować do getta, do

jego towarzyszy broni. Tutaj po aryjskiej stronie nie ma co robić – twierdził. Przez cały okres okupacji w domu Henryka Grabowskiego znajdowali schronienie działacze żydowskiego podziemia chaluucowego. Był łącznikiem z aryjską stroną, pomagał przemycać ludzi i broń, wyciągnął „Jurka” z Gestapo.

Za te zasługi Henryk Grabowski otrzymał tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Byłem obecny na uroczystościach zasadzenia drzewa jego imienia w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie i przez kilka dni gościłem go, wraz z jego żoną Jadwigą, w moim domu w kibucu. Odtąd jesteśmy w kontakcie listownym i spotykamy się za każdym razem gdy jestem w Polsce.

Tadeusz Czyżowski

O rodzinie Czyżowskich i pomocy, jakiej udzielała Żydom usłyszałem m.in. od nieżyjącej już nauczycielki, Zeldy Kaczer-ginski-Burgin. Zelda uciekła z wileńskiego getta i szukała pracy po stronie aryjskiej. W gazecie znalazła ogłoszenie rodziny Czyżowskich, poszukujących pomocy domowej. Poszła pod podany adres. Na drzwiach widniała tabliczka z nazwiskiem: „profesor Tadeusz Czyżowski”. Kobiecie, która jej otworzyła drzwi, Zelda zaczęła w zdenerwowaniu opowiadać, że potrafi wykonywać wszelkiego rodzaju domowe roboty: umie gotować, piec, szyć, prać, sztytłkować, myć podłogi...

– Przerazenie mnie ogarnęło – opowiadała mi Zelda – gdy zorientowałem się, że kobieta rozpoznała we mnie Żydówkę. Lecz ona szybko postarała się mnie uspokoić, zapewniając, że nic złego mi się nie stanie, że ona i jej mąż lubią Żydów.

Zelda pozostała w domu Czyżowskich do końca wojny. Profesor Czyżowski uratował wielu Żydów z Wilna. Zorganizował dla nich sieć kryjówek w okolicznych wsiach. Obydwoje z żoną otrzymali tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

W początkach lat sześćdziesiątych państwo Czyżowscy wraz z córką odwiedzili Izrael, gdzie spotkali się z szacunkiem i przyjaźnią, ukoronowaniem czego było wielkie zgromadzenie w Tel-Awiiwie, zorganizowane przez wilnian. Przedstawiłem się gościom

jako wilnianin i zaprosiłem ich do kibucu im. Bojowników Getta. Czyżowscy spędzili w kibucu trzy dni, a ja starałem się ze wszystkich sił umilić im pobyt.

Feliks Rajszcza

Feliks Rajszcza, ojciec Tadeusza, udzielał w czasie wojny, w Warszawie, pomocy ludziom z ŻOB-u. Do dyspozycji organizacji oddał swoje dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Twardej 39. W pewnym okresie ukrywało się tam 15 osób. Byli wśród nich Icchak Cukierman, Tuwia Bożykowski i Lejzer Lewin, z synkiem Israel'em. Lejzer z synem ukrywali się u Rajszczałów przez dwa lata. Tadeusz pomagał ojcu w ratowaniu Żydów.

Z drewnianych płyt Feliks Rajszcza wybudował przepierzenie za piecem, pomiędzy dwoma pokojami i tak powstała kryjówka. Tę samą metodę zastosował, budując kryjówki w dziesięciu mieszkaniach zaufanych Polaków. Nie poprzestał na tym. Otworzył sklep warzywny, z jego dochodów łożył na utrzymanie ukrywających się ludzi.

Pewnego razu jakiś Polak złożył na niego donos, że udziela pomocy Żydom. Niemcy go aresztowali, torturowali strasznie przy przesłuchaniu, lecz niczego nie zdradził. Ponieważ przestał przychodzić do kryjówek, ukrywający się domyślili się, co się stało. Przenieśli się do innej kryjówki i zaczęli szukać sposobów wydobycia Feliksa z rąk niemieckich. Udało się przekupić polskiego policjanta, który pomógł Rajszczałowi uciec z aresztu.

W 1986 roku Tadeusz, syn Feliksa, był w Izraelu i w imieniu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata na akademii w Dniu Pamięci Zagłady i Walki składał wieniec przy tablicy pamiątkowej. Wtedy to, po 40 latach, zupełnie przypadkowo, spotkał się z Israel'em Lewinem.

W czasie moich wizyt w Polsce odwiedzałem rodzinę Rajszczałów. Tadeusz, który był już wówczas po sześćdziesiątce, mieszkał wraz z żoną w jednopokojowym mieszkaniu. Jest chorowity, na rencie, ale przy tym pełen serdeczności i życzliwości.

Henryk Wołyński

Ichhak Cukierman dużo opowiadał o Henryku Wołyńskim, ps. „Wacław”, który bardzo pomagał ŻOB-owi w Warszawie i otrzymał tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Pułkownik Henryk Wołyński był kierownikiem Referatu Żydowskiego Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Początkowo kontakty z nim utrzymywali Adolf Berman i Arie Wilner, a od kwietnia 1943 współpracował z Icchakiem Cukiermanem.

Daleki od panującego w polskich kołach wojskowych antysemityzmu, okazywał życzliwość ŻOB-owi i czynił wysiłki w kierunku zbliżenia obu narodów we wspólnej walce. Wołyński dostarczał podziemnemu radiu informacji o powstaniu w getcie warszawskim i o walce Żydów. Twierdził: „Problem żydowski stał się naszym problemem, należy utworzyć związek, który zajmie się wyłącznie opieką nad ukrywającymi się Żydami...”.

Był wymagający i słowny. Jeszcze przed wybuchem powstania w getcie Żydzi znaleźli schronienie w jego mieszkaniu. Za poparciem Wołyńskiego ŻOB dostał raz pewną ilość broni od polskiego podziemia, a także fałszywe dokumenty, pieczętki oraz formularze. Z Henrykiem Wołyńskim spotkałem się wielokrotnie, zarówno w jego mieszkaniu w Katowicach, jak i w Warszawie, dokąd specjalnie przyjeżdżał na nasze spotkania. Zmarł pod koniec lat osiemdziesiątych, a pamięć o Nim pozostanie w moim sercu, a łączność z Jego rodziną trwa.

Maria Sawicka

Gdy poznałem w Polsce Marię Sawicką, była kobietą osiemdziesięcioletnią. Odwiedziłem ją kilkakrotnie, ona była dwa razy w Izraelu. Została odznaczona tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. W Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie jest drzewko jej imienia.

Jej mieszkanie było kryjówką dla bojowników oraz miejscem ich narad. Schronienie znaleźli tam Icchak Cukierman i Cywia Lubetkin, Stefan Grajek, Sycha Rotem („Kazik”), Zmira Rawicka,

Raja Gutman („Gienia”) i inni. Maria i jej siostra wykonywały różne zadania dla ŻOB-u. Jej bratanek, Stefan, został przez Niemców schwytany podczas wykonywania misji dla ŻOB-u i zastrzelony.

– W Izraelu mówi się o pani z wielką miłością – powiedziałem Marii.

– Mam szczęście do ludzi – odparła. – Nawet teraz, kiedy jestem już starą kobietą, ludzie są dla mnie dobrzy. Gdybyście wiedzieli, jak ja za wami tęsknię! Kiedy napada mnie taka tęsknota, patrzę na fotografie i płaczę...

– Pamiętam moje odwiedziny w Izraelu – dodała później. – Przyjęliście mnie jak królową.

Gdy była w Izraelu, chodziliśmy na wycieczki. Szybko zręcznie potrafiła wspinać się na wzgórza, a kiedy wyraziłem zdumienie jej sprawnością fizyczną, powiedziała, że w młodych latach była sportsmenką.

Z Marią Sawicką spotykałem się w Warszawie w latach, gdy Icchak Cukierman i Cywia Lubetkin już nie żyli. Maria mówiła o nich z wielkim wzruszeniem. Wspominając tamte lata, opowiadała mi, jak przewoziła dla ŻOB-u dolary i jak została złapana po drodze, lecz udało jej się umknąć. Opowiadała, jak chłopcy przychodzili do jej domu prosto z kanałów, w brudnej i cuchnącej odzieży, a ona i siostra pomagały im się umyć i prały ich ubrania.

Wśród ludzi, którzy wykazali niezwykłą odwagę, którzy z narażeniem własnego życia, z całym oddaniem poświęcili się ratowaniu Żydów, Maria Sawicka i jej siostra zajmują miejsce szczególne.

Helena Balicka

W czasie moich pobytów w Polsce staram się zawsze odwiedzić Helenę Balicką, szlachetnego i światłego człowieka. Helena Balicka pochodzi z rodziny bojowników o socjalizm, posiadającej tradycje walki przeciwko caratowi. Jej ojciec Norbert Balicki, inżynier z zawodu, aktywny komunista został przez hitlerowców osadzony w Auschwitz, gdzie pomagał w czym tylko mógł więźniom

żydowskim, którzy tego nie zapomnieli; wśród nich także kilku członkom naszego kibucu. Helena była studentką architektury, w czasie nasilenia antysemityzmu i w okresie trwania napaści na żydowskich studentów opiekowała się studentką Sarą Biderman, która po latach została członkinią naszego kibucu.

Przyjaźń i gotowość Heleny do pomocy przetrwała ciężkie próby również gdy Sara była w getcie, gdy Helena narażała swe życie, przedostając się za mury getta, dostarczając „aryjskie” dokumenty i załatwiając liczne inne niebezpieczne zadania.

Sara Biderman wstąpiła do Żydowskiej Organizacji Bojowej i uczestniczyła w powstaniu w getcie warszawskim. Po stłumieniu powstania zwróciła się do rodziny Balickich o pomoc i ukrycie, i otrzymała je, pomimo, że dom Balickich był obserwowany przez Gestapo, zwłaszcza po aresztowaniu Norberta Balickiego.

Sara miała powierzone ważne zadania przez pozostałych przy życiu członków Żydowskiej Organizacji Bojowej i wykonywała je, dzięki pomocy Heleny. Gdy niebezpieczeństwo donosów nasilało się, Sara musiała się ukryć w konspiracyjnym mieszkaniu Żydowskiej Organizacji Bojowej. Tam została aresztowana przez niemieckiego żandarma i przy próbie wyrwania się została ciężko ranna.

Ostatkiem sił dotarła do mieszkania Heleny, gdzie Baliccy postarali się, by można ją było szybko operować w szpitalu związanym z polskim podziemiem. A gdy jej stan się polepszył, powróciła do Heleny, w obawie przed donosem i przebywała u niej do czasu znalezienia odpowiedniej kryjówki.

Sprawa ta wraz z innymi z okresu niemieckiej okupacji, powstania sierpniowego w Warszawie jest szerzej opisana w książce Heleny¹.

¹ Helena Balicka odwiedziła Izrael dwukrotnie, była gościem w naszym kibucu, zasadziła drzewo w Alei Sprawiedliwych w Yad Vashem w Jerozolimie. Zob. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1958 (przyp. Autora). Beniaminowi Anolikowi przypomniała się publikacja Heleny Kozłowskiej-Balickiej, *Mur w dwie strony*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1958, wznowionej w Bellonie w roku 2002 (przyp. red.).

Jan Paszkowski

Podczas jednego z pierwszych pobytów w Polsce pojechałem do Jana Paszkowskiego. Rodzina Paszkowskich, która mieszkała obok Wilna, ukrywała w czasie wojny mego wuja, Szejera Anolika, jego żonę Idę oraz sześciu innych Żydów. Po wojnie Paszkowscy wyjechali do Polski.

W czasie mojej wizyty pan Jan snuł wspomnienia. Jest prostym człowiekiem, niepiśmiennym, lecz złotego serca i gorącej wiary. W czasie wojny wyznawał zasadę: „Albo zginiemy wszyscy, albo wszyscy zostaniemy przy życiu”. I zgodnie z tym przekonaniem ukrywał w domu ośmioro Żydów bez jakiegokolwiek zapłaty. Kiedy zaś w dniu pożegnania wujek Szejner chciał mu podarować złotą monetę, którą przechowywał przez wszystkie lata wojny „na czarną godzinę”, Jan odmówił.

– Mnie nic nie brakuje – powiedział. – Nawet krowę mam w oborze. Ale ty, ty nie masz niczego, a musisz zaczynać życie na nowo.

Przez dziewięć miesięcy wujek i ciocia siedzieli ukryci w domu Paszkowskiego. Miesiące te na zawsze wyryły się w sercu wujka. Potem ze Stanów Zjednoczonych posyłał Paszkowskiemu pieniądze i paczki.

Gdy byłem u Paszkowskich, Jan był już stary. Poznałem tam jego córkę, zięcia i wnuki.

– Córka była w czasie wojny dzieckiem – opowiadał Jan. – Musieliśmy bardzo uważać, bo w dziecinnej nieświadomości mogłaby coś wygadać i opowiedzieć rzeczy, o jakich lepiej było wtedy nie mówić.

Ich wysiłki dały owoce: wszyscy Żydzi ukryci w domu Paszkowskich zostali uratowani.

Dr Stanisław Wincenty Dobrowolski

W marcu 1943 roku powstał w Krakowie Międzypartyjny Komitet Pomocy Żydom, a w kwietniu powstała Okręgowa Rada Pomocy Żydom „Żegota”. Przewodniczącym krakowskiej Rady został Stanisław Wincenty Dobrowolski (z ramienia PPS-WRN).

13 marca 1943 roku, na drugi dzień po utworzeniu krakowskiej Rady Pomocy Żydom Niemcy zlikwidowali getto na Pogórze, masakrując ludność. Tych, którzy przeżyli, zamknięto w obozie w Płaszowie. Krakowska „Żegota”, pod przewodnictwem S.W. Dobrowolskiego rozkolportowała odezwę, w której m.in. czytamy:

Masowy ten mord nie znajduje przykładu w dziejach świata, błedną przy nim znane w historii okrucieństwa... Kierownictwo Walki Cywilnej w imieniu całego społeczeństwa protestuje przeciw zbrodni dokonywanej na Żydach... Podobnie jak w sprawie ofiar polskich odpowiedzialność fizyczna za te zbrodnie spadnie na katów i ich współników.

Pod kierunkiem S.W. Dobrowolskiego krakowska Rada organizowała pomoc w wyszukiwaniu i opłacaniu mieszkań dla uciekinierów z getta, starała się o nawiązanie kontaktów z obozami, pomagała, dostarczając żywność, piętnowała szantażystów, prowadziła pracę wyjaśniającą, przeciwko hitlerowskiej antyżydowskiej propagandzie oraz miała duże zasługi w dostarczaniu ukrywającym się Żydom po aryjskiej stronie fałszywych dokumentów, doskonale wykonanych.

W kamuflażowej placówce, uchodzącej za Biuro Techniczne, dr Dobrowolski skoncentrował szeroką podziemną antyhitlerowską działalność. Jego biuro było adresem i miejscem spotkania działaczy podziemia. Nawiązał kontakt z obozem w Płaszowie i poprzez Radę Główną Opiekuńczą udało mu przekazać do Płaszowa pieniądze i chleb. W latach 1943–1945 krakowska Rada miała pod swoją stałą opieką ponad tysiąc ukrywających się czy żyjących półlegalnie na aryjskich dokumentach ludzi żydowskiego pochodzenia. Oprócz pomocy doraźnej, Rada zajmowała się również przerzutami ludzi na trasie Lwów – Kraków – Warszawa oraz przerzutami na Węgry.

Jak podają inni działacze podziemnej Rady Pomocy Żydom w Krakowie, biuro Dobrowolskiego przy ulicy Jagiellońskiej w Krakowie było swoistą „wyspą otuchy”.

Prawnik, dr Stanisław Wincenty Dobrowolski, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata swoją szlachetną postawą, odwagą

i patriotyzmem wniósł cenne wartości do naszej wspólnej polskiej i żydowskiej walki przeciwko wspólnemu wrogowi obu narodów i wrogowi ludzkości. Stanisław Wincenty Dobrowolski i jego żona zaliczają się do grona przyjaciół w Polsce.

Podczas każdego mojego pobytu, spotykamy się razem, wraz ze Sprawiedliwym – Andrzejem Klimkowiczem. Stanisław interesuje się poważnie problematyką polityczną, obchodzi go wszystko, co dzieje się w Polsce, w Izraelu, na świecie. Jest otwarty na wydarzenia i zaangażowany w życie kraju i w to, co się dzieje gdzie indziej na świecie. Te rozległe zainteresowania sprawiają, że każda rozmowa z nim jest zarówno przyjemna, jak i ciekawa.

Małżonka Stanisława Wincentego jest autorką książki o kulinariach kuchni żydowskiej. W opracowaniu zaś potraw z jadłospisów kibucu skorzystała z mojej pomocy, otrzymawszy „informacje z pierwszej ręki” ode mnie – długoletniego członka kibucu.

7. Za kurtyną

Przed odwilżą

3 września 1985 roku przybyłem z izraelską delegacją na Międzynarodowe Targi Książki do Moskwy. Nasza delegacja liczyła osiem osób. Byliśmy pełni dobrej woli i zaciekawieni, ale także trochę niespokojni: jak Rosjanie ustosunkują się do Izraelczyków? Dodatkowym celem naszego przyjazdu były spotkania z radzieckimi Żydami.

W Moskwie mieszkał mój wujek, brat ojca, Lowa Anolik. W początkach lat dwudziestych był studentem w Wilnie i należał do kręgów lewicowych. Z powodów ideowych wyjechał do ZSRR. Po ukończeniu studiów inżynierskich ożenił się z Rosjanką imieniem Wiera. W połowie lat trzydziestych, w okresie „wielkiej czystki”, został aresztowany. Zwolniono go dopiero w latach pięćdziesiątych, tak więc nie miałem okazji go poznać, gdyż w 1940 i 1945, kiedy byłem w Moskwie, on ciągle jeszcze siedział. Widziałem się wówczas tylko z Wierą Anolik, która przyjęła mnie ciepło i z całą serdecznością wraz z kuzynką Torą, starszą ode mnie tylko o rok. Teraz byłem więc zrozumiałe podniecony przed pierwszym osobistym spotkaniem z wujkiem.

Wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku pod Moskwą. Po bardzo dokładnej kontroli pojechaliśmy do hotelu „Kosmos”. Jest to wytworna budowla, ale zamknięta jak twierdza. Obywatele ZSRR, z wyjątkiem pracowników hotelu, nie wpuszcza się. Pośród nich wielu jawnych i tajnych pracowników służby bezpieczeństwa. Otrzymaliśmy karty gości hotelowych, żeby móc swobodnie wchodzić i wychodzić.

Niecierpliwie wyczekiwałem spotkania z wujkiem. Pojechałem tam razem z Riną Fistenberg z naszej delegacji, kierowniczką

zespołu artystycznego z kibucu Gewa, gdyż przed wyjazdem powiedziano nam, że bezpieczniej będzie, jeśli nie będziemy się poruszać po mieście w pojedynkę.

Dom wujka znajdował się na jednym z moskiewskich przedmieść, na skraju lasu. Wiedziałem, że nie zobaczę już Wiery, która zmarła parę lat temu. Wujka widziałem na fotografiach, które były u nas w domu – miał na nich niewiele ponad 20 lat. Od tamtego czasu upłynęło lat ponad 60 i wuj miał ich teraz 89. Obydwu nas ogarnęło niezwykle wzruszenie. Gdyby obok nie było Riny, wybuchnąłbym zapewne płaczem, jak wujek. Już po niewielu minutach poczuliśmy się sobie bliscy, jakbyśmy się znali od dzieciństwa i nigdy nie rozstawali.

Wujek Lowa mówił płynnym i soczystym językiem jidysz, śpiewał nawet żydowskie piosenki i okraszał rozmowę żarcikami i przysłowiami. Żartował również z samego siebie. Nie dosłyszał już, więc przy telefonie zamontowane było światelko, które zapalało się, gdy telefon dzwonił.

– Zobacz jaki jestem na starość nowoczesny – śmiał się do mnie. Wujek zawiadomił o mojej wizycie swoją córkę, która przyszła wkrótce. Pamiętała mnie dobrze z poprzednich odwiedzin.

Kilka razy odwiedziłem wujka Lowę. Niekiedy Tora odprowadzała mnie w drodze powrotnej do hotelu. Tora jest inżynierem, specjalistą od kopalnictwa torfu. Wdowa, matka dwóch synów. Poznałem starszego, bardzo sympatycznego młodzieńca, interesującego się życiem w Izraelu i kibucu. Był wychowankiem Kom-somołu, ale gdy się z nim widziałem, zbliżony był już do kościoła prawosławnego.

Na Międzynarodowe Targi Książki wyznaczono dwa olbrzymie gmachy. Udział w Targach wzięło ponad sto krajów, nam wyznaczono lokum odpowiednio duże, gdzie wystawiliśmy około tysiąca książek. Oprócz tego przywieźliśmy książki w darze dla Biblioteki Narodowej.

Wszystkie książki zostały skontrolowane przez pięciu cenzorów, znających język hebrajski. Każdy tom badali oddzielnie. Około pięćdziesiąt zakwestionowali, nie wolno nam ich było

eksponować. Nie znaleźliśmy zasady rządzącej tym zakazem, albowiem książka zakwestionowana przez jednego cenzora, została – w innym egzemplarzu – bez uwag dopuszczona przez drugiego. Zaś książka na temat obozów w ZSRR, która dostała się do naszych paczek omyłkowo, została bez kłopotów dopuszczona na wystawę, lecz my sami postanowiliśmy jej nie eksponować.

Władze odnosiły się do nas bardzo dobrze. Każde nasze życzenie było uwzględnione. Główny dyrektor targów, celem okazania nam sympatii, osobiście przybył do naszego hotelu i swoim samochodem zabrał kierowniczkę naszej ekipy na uroczystość otwarcia imprezy.

Zwiedzający nasz izraelski pawilon mogli między innymi zobaczyć dokumentalną ekspozycję o latach Zagłady oraz o żydowskim antyhitlerowskim ruchu oporu i o walce Żydów. Ekspozycję tę przywozłem z Domu Bojowników Getta. W pawilonie naszym odtwarzaliśmy z płyt i kaset izraelskie piosenki ludowe i wyświetlaliśmy przeźrocza z krajobrazami Izraela.

Goście napływali masowo. Całymi godzinami stali w kolejce, by dostać się do wnętrza. Stanowili barwny przekrój żydowskiego społeczeństwa, od młodzieży po staruszków. Można tam było spotkać pisarzy jidysz, szukających u nas książki w języku żydowskim. Wielu młodych mówiło płynnie po hebrajsku. Niektórzy przyjechali z daleka – z Wilna czy Gruzji, z Leningradu i Rygi, z Kijowa i Odessy. Chcieli nabyć kalendarze, podręczniki, książki do modlitwy. Wertowali, przerzucali stronicę encyklopedii, przepisywali słowa hebrajskich piosenek.

Pewnego dnia przyszła do pawilonu grupa pięcioletnich dzieci. Stały w kacie i zaczęły śpiewać hebrajskie piosenki. W pierwszej chwili publiczność osłupiała, a po chwili niektórzy dorośli przyłączyli się do śpiewu. W wielu oczach ukazały się łzy.

W naszych również. Swą wizytę dzieci zakończyły odśpiewaniem hymnu *Hatikwa*.

Wielu spośród gości spędzało w pawilonie długie godziny, jakby nie chcąc rozstać się z nami. Trzeba ich było usilnie prosić, by zrobili miejsce dla innych, którzy czekali na dworze. Ale

prośby nie pomagały. W końcu zachęcaliśmy do wyjścia obietnicą, że każdy, kto wyjdzie zaraz, otrzyma specjalną torebkę z napisem „Jerozolima”, a w niej prezent z Jerozolimy. Przywieźliśmy tysiące takich upominków – widokówek, wisiorów do kluczyków z godłem Izraela, piór, gier dla dzieci, płyt, cukierków, itp.

Na specjalnym stoliku umieściliśmy księgę dla zwiedzających. Znalazły się tam zdania chwytające za serce. Goście żydowscy wręczali nam wiele kartek, wśród nich pozdrowienia dla krewnych w Izraelu. Kilka razy pawilon nasz odwiedzili członkowie zespołu teatralnego występującego w Moskwie w języku jidysz. Zaprosili nas na swój spektakl, ale niestety, nie mieliśmy na to czasu. Odwiedzili nas przedstawiciele zespołu wokaln-teatralnego z Wilna, którzy także nas zaprosili, ale i do nich nie zdążyliśmy pójść.

Moskiewskie radio „Głos Pokoju” przeprowadziło ze mną wywiad. Nagrała ze mną rozmowę także reporterka radia radzieckiej republiki Estonii. W ogóle nie wiedziała, że w obozie w miejscowości Klooga, niedaleko estońskiej stolicy, zamordowano tysiące Żydów.

W pierwszych dniach naszego pobytu w Moskwie zebrali nas w hotelu funkcjonariusze sowieckiej służby bezpieczeństwa.

– Wiecie zapewne – powiedział jeden z nich – że w Moskwie jest dużo Arabów, przeważnie studentów. Mogą wam sprawić różne kłopoty. Nie skończyło się na ostrzeżeniu. Przedstawili nam oficera bezpieczeństwa, mówiąc, że został odkomenderowany do naszej ochrony. Jeżeli będziemy mieli jakieś trudności, mamy zwrócić się do niego. Nazajutrz spotkałem tego oficera w hallu hotelowym. Wręczył mi kartkę z numerem pokoju. Był to pokój sąsiadujący z moim. Obok pokoju koleżanki z naszej delegacji, mieszkaly z kolei dwie funkcjonariuszki służby bezpieczeństwa.

Wieczorami, po zakończeniu pracy w pawilonie, byliśmy zapraszani przez Żydów do ich prywatnych mieszkań. Obawialiśmy się, że będziemy śledzeni. Po pierwszych takich odwiedzinach, następnego dnia rano zostaliśmy wezwani z dwójką kolegów do dyrekcji targów. Zastaliśmy czterech mężczyzn, tłumacza

oraz funkcjonariusza służby bezpieczeństwa. Powiedzieli nam, że dotarli do nich skargi, że wieczorami spotykamy się ze źle widzianymi przez władzę elementami i że nasze spotkania stanowią właściwie propagandowe zgromadzenia, co nie jest dobrze widziane.

– Sądzymy, że nie będziecie tego kontynuowali – zakończyli rozmowę.

A spotykaliśmy się z całkiem niewinnymi ludźmi, Żydami moskiewskimi. Wspólnym dla nich mianownikiem była tylko miłość do Izraela. Jedno z takich spotkań miało miejsce w piątkowy wieczór, w ciasnym mieszkaniu, w którym zebrało się około 30 osób. Wielu siedziało na podłodze. Gospodyni zapaliła sobotnie świece i odmówiła nad nimi modlitwę – błogosławieństwo nad kielichem wina. Wyraźnie wyczuwało się wielkie wzruszenie obecnych. Jedna z naszych koleżanek wygłosiła referat o hebrajskiej literaturze. Potem były pytania i odpowiedzi. Ktoś zapytał o nowego szekla, nowy pieniądz wprowadzony właśnie w Izraelu. Ktoś inny był zainteresowany stosunkami między Żydami i Arabami. Jeszcze inny chciał więcej wiedzieć o koedukacyjnym wychowaniu w kibucu. Ktoś zadawał dużo pytań na temat partii religijnych. Wielu pytało o imigrantów z Etiopii i ich aklimatyzację w kraju. I był ktoś, kto chciał znać głębokość, długość i szerokość jeziora Genezaret i jaki wymiar ma Morze Martwe. Wszyscy słuchali nas z zapartym tchem i nie wszczynali dyskusji.

W innym domu czekało nas inne wzruszenie: gospodarz rozsunął stół na całą długość, i na blacie przedłużającym ukazała się mapa Izraela. Na jedno ze spotkań przyszło ze dwadzieścioro dzieci. Powiedziano nam, że są to uczniowie hebrajskiej szkoły w Moskwie – zakładu jedynego w swoim rodzaju. Dzieci spotykają się raz w tygodniu, w niedzielę, za każdym razem w innym mieszkaniu. Uczą się hebrajskiego, historii narodu żydowskiego, Biblii i piosenek. Z dziećmi przyszła ich nauczycielka śpiewu. Dzieci były odświętnie ubrane i śpiewały dla nas hebrajskie utwory. Uczyliśmy je nowych piosenek, a one uczyły nas swoich pieśni. Zanim rozstaliśmy się, dzieci prosiły, żeby znaleziono w kraju szkołę, która by je zaadoptowała.

W spotkaniu tym uczestniczyli także rodzice uczniów. Niektórzy z nich mówili płynnie po hebrajsku. Większość stanowili ludzie z wyższym wykształceniem, ale po złożeniu wniosku o wyjazd do Izraela zostali wyrzuceni z pracy i zmuszeni byli zarabiać jako tragarze, dozorczy itp. Powiedziano nam, że na tle emigracji do Izraela wzrosła liczba rozwodów.

Na większości spotkań proszono nas, żeby mówić po hebrajsku, mimo że niektórzy z obecnych nie znali tego języka. Zawsze znalazł się tłumacz władający dobrze hebrajskim. Tylko na jednym spotkaniu musiałem wygłosić swój referat po rosyjsku. Na spotkania z nami w większości przychodzili ludzie młodzi, dumni z tego, że są Żydami. Kobiety nosiły na szyi łańcuszki z gwiazdą Dawida. Zaskoczyło nas natomiast, jak wielu z naszych młodych rozmówców nic prawie nie wiedziało o okresie Zagłady.

Ostatniego wieczoru przed naszym wyjazdem w jednym z mieszkań odbyła się uroczystość pożegnania izraelskiej delegacji. Przyszło blisko 80 osób, wśród nich wielu aktywistów aliji¹ z Moskwy i innych miast. Panowała atmosfera bliskości i wielkiego wzruszenia. Było to pożegnanie rodzinne, pełne radości i smutku zarazem. Wymiana podarków, pocałunki i ze łzami w oczach rozstaliśmy się.

Na lotnisku ponownie szczegółowa kontrola. Tym razem nie obeszło się bez strat: zabrano mi trzy filmy z aparatu fotograficznego – ze zdjęciami wujka.

Wilno, Klooga – 1989

W maju 1989 roku – czterdzieści pięć lat po opuszczeniu Estonii – powróciłem i znowu przebyłem tamtą drogę, z Tallina do Kloogi. Tym razem jako turysta, w eleganckim autokarze, w towarzystwie dziennikarzy oraz radzieckiego oficera pochodzenia żydowskiego, jednego z uczestników walk o wyzwolenie Estonii spod okupacji hitlerowskiej.

W izraelskiej grupie było nas 17 osób – byłych więźniów gett

¹ Alija – po hebrajsku – wznosić się, wchodzić do góry – określenie dla Żydów z diaspory pragnących powrócić do Palestyny, potem do Izraela.

w Wilnie i Kownie oraz obozów koncentracyjnych na Łotwie i w Estonii. Było wśród nas kilku spośród grupy 30 ocalałych z obozu Klooga w Estonii. Dwa były cele tej wizyty w ZSRR: zobaczyć obozy i getta, w których przebywali uczestnicy naszej wycieczki, a także inne obozy, gdzie zgładzono Żydów. A poza tym w sercach naszych tliło się pragnienie spotkania Żydów i poznania żydowskich organizacji. Ja miałem jeszcze dodatkowe życzenie – nawiązać kontakt z archiwami i muzeami zajmującymi się II wojną, a w szczególności Zagładą.

Gdy przybyliśmy do hotelu w Tallinie, powitano nas miłą niespodzianką: obok innych flag narodowych powiewała tam flaga izraelska. Ale radość nie trwała długo. Okazało się, że w programie naszych wycieczek nie było Kloogi. Poprosiliśmy o wyjaśnienie.

Głównym celem naszej obecnej wycieczki do ZSRR – powiedzieliśmy przydzielonej nam przewodniczce – jest odwiedzenie Kloogi. Byliśmy tam w obozie w czasie wojny i od tamtej pory nie mieliśmy możliwości zobaczenia tego miejsca.

– Klooga? – przewodniczka w zdumieniu uniosła brwi. Nie, nie zna w ogóle miejscowości o takiej nazwie. Postara się sprawę wyjaśnić.

Po jakiejś godzinie wróciła i powiedziała mi, że Klooga jest obecnie zamkniętym terenem wojskowym.

– U was chyba także istnieją zamknięte tereny wojskowe – dodała. Odpowiedzieliśmy, że bez wizyty w Klooga dalsza część naszego pobytu nie ma w ogóle sensu. Pozostajemy w hotelu. Nasze ultimatum poskutkowało. Po dodatkowych konsultacjach przewodniczka wróciła z promiennym uśmiechem.

– Otrzymałam pozwolenie na wjazd do Kloogi!

Wyruszyliśmy. Po drodze, gdy mijaliśmy rolnicze tereny, estońska przewodniczka opowiadała nam o rasie hodowanych w okolicy krów. Ale my byliśmy myślami daleko, przy tamtej ciężarówce, która 19 września 1944 wiozła 40 mężczyzn, Żydów, w ciasnocie, na stojąco, do niewolniczego obozu tutaj, w tej krainie. Przed nami toczyło się podobne auto ciężarowe, załadowane

kobietami. Wieziono nas z więzienia w Tallinie do obozu Klooga. Przed nami i za nami eskorta złożona z dziesięciu esesmanów.

Ponowne spotkanie z Kloogą rozpoczęło się przy pomniku oddalonym od miejsca zagłady. Cisza. Uroczystość oddania hołdu pamięci zgładzonych. Przewodniczka odczytała rosyjski napis wyryty na pomniku: „Tutaj hitlerowcy zamordowali 2 500 Żydów, Estończyków, Litwinów, Rosjan i synów innych narodów”. Ktoś z nas sprostował:

– Żydów, wyłącznie Żydów zgładzono 2 500.

Oficer, Żyd, który nam towarzyszył, zaprowadził nas na leśną polanę. Tam zamordowano więźniów Kloogi. Opowiadają, że od czasu do czasu znajduje się ludzkie kości w pobliskim sztucznym jeziorze.

W Tallinie udałem się na spotkanie z dyrektorem centralnego archiwum Estonii. Wolno mi było przejrzeć akta „Klooga”. Przeglądałem kartotekę więźniów. 2 500 nazwisk napisanych ręcznie po niemiecku, na papierze z worków na cement. W jednym z dokumentów znalazłem dane o miejscu pracy więźniów zatrudnionych przy budowie betonowych fundamentów pod bunkry. I oto czytam tam „Benjamin Anolik, nr 819”.

Z Tallina pojechaliśmy do Rygi. Spędziliśmy tam trzy dni. Wyjątkowe wydarzenie przeżyliśmy na łotewskim cmentarzu w Rydze. W tymże dniu odsłaniano tam pomnik Janisa Lipke, który w czasie wojny uratował 64 Żydów. Na cmentarzu zebrał się wielki tłum Łotyszy i Żydów. Uczestniczka naszej wycieczki, Dobka z Tel-Awiwu, przysiadła na pobliskiej ławeczce. Opowiadała nam, że niedaleko, niemal już w samym mieście, znajdował się obóz, w którym ona była w czasie wojny – obóz Kaiserwald. Z tamtego czasu zapamiętała dziewczynkę lat około 10, która przybyła z Leningradu. To była w obozie jej najlepsza przyjaciółka.

– Ach, gdybym tak mogła spotkać ją znowu! – westchnęła.

Słyszałam, że wy jesteście z Wilna – odezwała się po rosyjsku kobieta, która siedziała na tej samej ławeczce i opowiedziała nam, że w czasie wojny była więźniarką obozu Kaiserwald i że tam był młoda Żydówka, która uratowała jej życie.

– Na imię miała Dobka – powiedziała kobieta – a była z Wilna. Staliśmy wszyscy jak osłupiali.

Kobieta ta, Bebka Fiszlin opowiedziała potem, że ona i matka utknęły za Leningradem, właśnie gdy Niemcy rozpoczęli oblężenie miasta. Złapali je i odstawili do obozu Kaiserwald. Więźniów ustawiono do selekcji przed komendantem obozu. Obok stała tłumaczka, więźniarka Dobka.

Lagerführer rozdzielał na prawo i lewo, na życie i śmierć. Gdy podeszła Bebka z matką, matkę skierował na prawo, a córkę, wychudzoną i chorą na lewo. Wtedy Dobka poprosiła Lagerführera, żeby pozwolił dziewczynce iść razem z matką. Niemiec zgodził się, będąc pewnym, że dziewczynka więcej niż dwie godziny i tak nie wytrzyma.

Wilno. Miasto mojego dzieciństwa. Zmieniło się nie do poznania. Przed wojną liczyło ćwierć miliona mieszkańców. Dzisiaj zamieszkuje je milion ludzi i jest nowoczesnym miastem.

– Na ulicę Chopina – poprosiłem kierowcę taksówki.

Jechaliśmy ulicami, które były mi obce. Nie ja, lecz taksówkarz wiedział gdzie się zatrzymać. Przy tej ulicy przeżyłem dzieciństwo. Tabliczka przytwierdzona do domu przekonywała, że dotarłem do celu. Ulica Chopina nr 3. Dom – ten sam. Ulica – nieznana. Podwórko zaniedbane. Zapukałem do drzwi mieszkania 36, ale nikt nie otworzył.

Wróciłem tam nazajutrz. Tym razem drzwi otworzyła kobieta. Minęło 50 lat od czasów, gdy wraz z rodzicami mieszkalem w tym domu. Kobieta mieszkała tam od roku. Przypadkowa lokatorka. Mieszkanie zostało podzielone na pojedyncze pokoje. Nie, to nie był już mój dom.

– Proszę wrócić tu wieczorem – powiedziała kobieta – gdy gospodarze mieszkania będą w domu.

Już tam nie poszedłem.

To był mój pierwszy powrót do Kloogi i do Wilna. Po 45 latach. Chciałem powrócić. Zamknąłem krąg i jest mi trochę lżej.

Po czterdziestu sześciu latach

Z Kloogi wyszedłem jako człowiek osierocony, ale wolny i ta wolność wlała we mnie pierwsze krople nadziei. Nie uwolniłem się jednak nigdy od tych wspomnień. We wszystkim, co później robiłem, pamięć o Klooga odgrywała rolę kluczową.

My, niewielka garstka ocalałych, wprowadziliśmy zwyczaj spotykania się od czasu do czasu. Datę 19 sierpnia, dzień zagłady w Klooga w 1944 roku, obraliśmy jako dzień owych spotkań.

Większość ocalałych z Kloogi, obok tragicznych wspomnień zachowała w pamięci spotkanie z radzieckimi żołnierzami – chwilę wyzwolenia. Również w moim albumie znajduje się kilka fotografii dokumentujących to wydarzenie. W miarę upływu czasu, coraz bardziej pragnąłem spotkać się z żołnierzami, którzy wtedy do nas przyszl. Wiedzieliśmy o kilku z nich. Nawiązano nawet luźne kontakty. Wreszcie los zrządził spotkanie z jednym z nich tutaj, w Izraelu. Był to profesor Jaakow Naumowicz Gauchman, starszy już człowiek, mieszkaniec Rygi, który przyjechał jako żydowski turysta. Tak bardzo pragnęliśmy wysłuchać go wszyscy razem, w grupie, że przyspieszyliśmy nasze doroczne spotkanie i zjechaliśmy się tym razem w czerwcu. W czerwcu 1990 roku.

Człowiek ten, którego językiem dzieciństwa był jidysz, ale od tamtego czasu niemal go nie używał, uparł się teraz posługiwać mową Żydów:

Stanęliśmy na przedmieściu miasta Nima. Po kilku dniach, 21 lub 22 września my, oddział zwiadowczy pułku dotarliśmy ciężarówkami do obozu. Na bramie zobaczyliśmy napis Klooga Waffen SS Lager. W czasie zbliżania się do obozu wszystkich nas zaskoczyła słodka woń palonego ludzkiego mięsa. Zapach ten był nam dobrze znany z czasów leningradzkich. W piecach fabryki bielizny, obok której stacjonowaliśmy, palono dzień i noc ciała zmarłych z głodu mieszkańców Leningradu. Kości i popiół wrzucano do bagien, w tym miejscu rosną drzewa nazywane kwiatami zwycięstwa.

W lesie, blisko obozu Klooga zobaczyliśmy 6–7 wielkich stosów, które jeszcze się palily. I tysiące nadpalonych ludzkich ciał. Ciała leżące głową do środka, miały spaloną górną część tułowia, z tych, które leżały nogami

do środka – pozostały tylko głowy. To był widok straszliwy. Nawet na „absolwentów” oblężenia Leningradu, którzy widzieliśmy śmierć we wszystkich postaciach, nawet nas przeraził ten nieludzki obraz. Staliśmy w lesie przy tych stosach niezdolni do wypowiedzenia słowa. Prawie każdy żołnierz płakał.

W obozie stały puste baraki – bez ludzi. Rozrzucony sprzęt i narzędzia pracy. Widocznie do niedawna ci, którzy zostali spaleni na stosach, jeszcze pracowali.

Około godziny pierwszej w południe podszedł do mnie młody żołnierz, Kola Brilew, mówiąc, że w jednym z oddalonych baraków – wydaje mu się, że to magazyn ziemniaków – znajdują się żywi ludzie. Istotnie, było tam 10–12 osób – żywych, jeśli można ich było tak nazwać. Należałoby raczej powiedzieć – półżywych. Ich wygląd budził grozę. Wyczerpani, poczerniali, wymęczeni, dygoczący ze strachu i głodu. Były wśród nich dwie kobiety. Jedna z nich ciężko ranna, chyba wyczołgała się ze strzelnicy przy stosach (chodzi o miejsce, na którym rozstrzeliwano więźniów zanim ich spalono na stosach). Druga, młoda, zupełnie łysa, była ciężko chora, lecz zachowała jasność myśli. Była to Luba Fridman-Tomasze. Pamiętam również dwóch braci: jeden wysoki, drugi niższy. Opowiedzieli nam, że w dniu mordowania ludzi ukryli się w obozie i w ten sposób pozostali przy życiu.

Nazajutrz rano powinniśmy byli ruszyć dalej, w kierunku na Turba – Piarno. Przez całą noc rozmawialiśmy z ocalałymi Żydami, którzy ciągle jeszcze niezupełnie rozumieli, że pozostali przy życiu.

Gdy wróciliśmy do dowództwa batalionu w mieście Turba, złożyliśmy dowódcy raport o wszystkim, co widzieliśmy i słyszeliśmy. Wydaje mi się, że po dwóch – trzech dniach do Klooga przybyła państwowa komisja. Przyłączyli się dziennikarze, wśród nich ludzie o znanych nazwiskach, jak Ilja Erenburg i Aleksy Tołstoj. Ich artykuły były chyba pierwszymi opisami wyzwolenia obozów śmierci.

Przez wiele lat szukaliśmy w Wilnie i Kownie ludzi ocalałych z Klooga. Zupełnie przypadkowo odnaleźliśmy Lubę. Zaprzyjaźniliśmy się z jej rodziną i od nich właśnie w roku 1984 dowiedzieliśmy się, że w Izraelu żyje kilku ocalałych z Klooga.

Obecnie, kiedy już jestem stary i włosy mi posiwiały, mam okazję spotkać się z wami i opowiedzieć, jak was wtedy ujrzał żydowski żołnierz.

Mam okazję odwiedzić Dom Bojowników Getta, stanąć przed miejscem pamięci obozu Klooga i w bólu schylić głowę, czcząc pamięć zgładzonych.

Październik 1993

Oto znów wracam do Wilna, do miasta mego dzieciństwa. Tym razem nie jestem sam. Dwie Sonie są ze mną: moja córka, pochodząca z Izraela i córka mego brata, która mieszka w USA. Obie przyprowadziła tu potrzeba dotknięcia ziemi, na której urodzili się ich ojcowie i dziadkowie. Razem odwiedzamy drogie dla mnie miejsca: dom, w którym się urodziłem, moją i brata szkołę, naszą ostatnią przystań w wileńskim getcie. W milczeniu stoimy na dziedzińcu szpitala, gdzie po raz ostatni widziałem moją matkę i skąd wywieziono mnie do Estonii.

Wszystko co przeżyliśmy prowadzi nas dalej drogami przeszłości, krętymi ścieżkami wspomnień.

Z okna samochodu widać szare jesienne obłoki, pod kołami szeleszczą kolorowe opadłe liście... Jedziemy do Kowna (Kau-nas). Oczekuje nas tu wyjątkowe spotkanie: po upływie pół wieku wybawca pozna córkę uratowanej przez niego kobiety. Moja siostrzenica zobaczy Juzasa Pasica, który w dalekim 1943 roku przygarnął żydowską osiemnastoletnią dziewczynę, Ester Beekin, która uciekała przed śmiercią. Później Ester wyszła za mąż za mego brata Nisana i urodziła im się córka Sonia. I oto teraz Sonia stoi naprzeciw Juzasa.

Ten już mocno starszy mężczyzna pamięta dobrze lata grozy. Chętnie opowiada o swej matce Paulinie Staskiewiczute, o swoim bracie i siostrach, którzy uratowali Ester – opowiadaniom nie ma końca ...

I znów w drogę. Po obu stronach szosy – gęste lasy. Pewnie tam teraz, jak w moim dzieciństwie, pełno grzybów i jagód. Lasy i pola zmieniają się kolejno. Pola już skoszone, zboża zebrane. Życie idzie swoją koleją.

A dla stu dwudziestu kilometrów (właśnie tyle przejechaliśmy) – to sto dwadzieścia wspomnień, sto dwadzieścia lat życia, zapisanych człowiekowi w Torze...

W Radziwiliszkach spadł prawdziwy jesienny deszcz. Wygląda na to, że spotkał nas na długo. Niech leje – mówią, że to dobry znak rozpocząć coś nowego podczas deszczu.

Szukamy domu, w którym przed wojną mieszkała Ester, matka Soni. Brodzimy ulicami małego miasteczka, uginamy się pod brzemieniem opowiadań i wspomnień. Tak bardzo chcielibyśmy odnaleźć chociażby najmniejsze ślady przeszłości. Wypytujemy przechodniów, ale nikt nie zna ulicy, której szukamy. Wreszcie szansa: spotykamy kobietę już niemłodą i ona wskazuje nam miejsce, gdzie niegdyś stał dom Ester. Teraz jest tam park – gałęzie nagich drzew szumią w deszczu, szarpane wiatrem.

Sonia tak marzyła o domu matki, o tym, by wejść po skrzypiących schodach, wchłonąć atmosferę tamtych lat... Marzenie się nie ziściło.

Udajemy się na odległy żydowski cmentarz, gdzie, jak nam wiadomo pochowani są dziadkowie i babcie Soni. Kilka zrujnowanych grobów, spustoszenie i zniszczenie... Nie spotykają nas cienie przodków. I tylko nasza pamięć, wbrew rzeczywistości, chroni to, czego nie znaleźliśmy.

Jak gdyby jeszcze raz i jeszcze raz słuchamy opowiadania Ester:

Urodziłam się w miasteczku Radziwiliszki. Uczyłam się w gimnazjum w Szaulaje. Językiem wykładowym był hebrajski. Kiedy wybuchła wojna moja rodzina postanowiła uciec do ZSRR. Z początku przyjechaliśmy do Poniewieża, do brata mego ojca, który miał jechać dalej razem z nami. Zaledwie przyjechaliśmy, Niemcy wkroczyli do miasteczka. Dotychczas nie rozumiem, jak pozostaliśmy przy życiu po pogromie, który Niemcy tam uczynili. Byliśmy zmuszeni do powrotu do domu. I oto co tam zobaczyliśmy: Żydów wymordowano, a ich żony i dzieci wysłano do obozów. Mój ojciec był głową tej niewielkiej żydowskiej gminy.

Następne trzy lata minęły w getcie Szaulaje. Później wysłano mnie do obozu Linnajs. Więźniowie tego obozu pracowali w fabryce zbrojeniowej.

W obozie było bardzo ciężko. Mężczyzn oddzielili od kobiet. W ten sposób rozłączono mnie z bratem Lusikiem.

Niemcy zamierzali przenieść nas do innego obozu. Wielu z nas rozumiało, że to oznacza zagładę. Postanowiłam uciec. Goniono mnie, strzelano w plecy, ale zdołałam przejść nawet przez druty kolczaste, otaczające obóz, szłam jak we śnie. W pobliskiej wsi stukaliśmy do drzwi domów, przecież chłopci znali mnie, moje rodzime Radziwiliszki leżały niedaleko. Ale nikt mnie nie wpuścił. Przeszłam prawie dwadzieścia kilometrów, od domu do domu, od wsi do wsi i wreszcie znalazłam się na progu domu znajomej moich rodziców. Pozwoliła mi wejść i zaproponowała, żebym została. Zmęczenie, wyczerpanie, wszystko co przeżyłam doprowadziły mnie do omdlenia... Kiedy przyszłam do siebie zobaczyłam mego brata. Okazało się, że on również zbiegł. Ciekawe, przeszedł tę samą drogę co ja, dosłownie szedł śladem za mną.

Ani ja, ani brat nie mogliśmy zostać w tym domu. Zdecydowałam, iż pójdę poszukać innego schronienia, a brat na razie zostanie u tej kobiety. Była tak dobra, iż pozwoliła nam obojgu zostać i tylko przygadywała: „Nie uniknie się tego, co ma się stać”. Całym swoim zachowaniem wykazywała, że gotowa jest dzielić z nami nasz los.

Gospodyni urządziła nam schowek w szopie, ale oczywiście niebezpieczeństwo było wielkie, tym bardziej, że jej były mąż współpracował z SS.

Nasza wybawczyni miała czworo dzieci. Przynosiły nam jedzenie, pilnowały nas, gdy musieliśmy wyjść za potrzebą. To była skomplikowana akcja: brat wkładał sukienkę, udając jedną z córek gospodyni.

Pewnego razu przynieśli straszliwą wieść. Niemcy węszą wszędzie, wyłapując Żydów. Musieliśmy niezwłocznie uciekać i chowaliśmy się w polu. A w nocy przychodzili do nas syn i jedna z córek gospodyni, żeby nam nie było tak strasznie. Dla nas ryzykowali własnym życiem.

Zbliżał się front. Widzieliśmy łunę pożarów – paliły się domy w miasteczku. Ludzie, szukając ratunku, uciekali do wsi. Miejsca nie starczyło nawet dla swoich, ale nas nie przepędzali...

Już po wojnie siostra naszej „drugiej mamy” – tak nazywaliśmy naszą zbawicielkę – opowiadała nam, że podczas bombardowania

modliła się: „Święta Mario, uratuj tych nieszczęśników, te nieszczęsne dzieci, przecież ty też jesteś Żydówką...”.

Sonia tak bardzo chciała zobaczyć anioła-stróża swej matki. Niestety, nie żyła już.

W 1993 roku specjalna komisja przyznała tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Paulinie Staskiewiczute i jej dzieciom Juzasowi Pansisowi, Zosi (Zuzannie) Paskarine i Anicirze Staskiewiczute.

Październik 1994

Znów jestem w Wilnie. Moja żona, Pnina jest ze mną. Urodziła się w Haifie, ale jej korzenie są tu, na tej ziemi. Jej matka mieszkała w Wilnie do początku lat trzydziestych, a ojciec był rodem z Nowowilejki. Pnina chociażby raz powinna zobaczyć te miejsca, odczuć niewidzialną, głęboko ukrytą więź z nimi.

Są ludzie, którzy nie chcą powracać tam, gdzie było tyle nieszczęść. Są też tacy, którzy składając hołd przeszłości, odbywają pielgrzymkę do źródeł tylko jeden raz. We mnie natomiast tkwi niewykorzeniona potrzeba kontaktowania się co roku z własną historią. Każde nowe spotkanie powoduje nowe zdobycze i nowe... utraty.

To tak jakbym chodził w koło: dom, szkoła, dziedziniec szpitalny w getcie, Ponary.

Chodzimy z Pniną po Wilnie, szukamy ulicy Wiłkomirskiej. W domu pod numerem 100 mieszkała niegdyś na tej ulicy jej matka i babka. Ulicę znaleźliśmy bez trudu, a domu jak gdyby nie było. Ale atmosfera Wiłkomirskiej i przyległych ulic pozostała: te same niskie domki, stare fasady. Tak jak gdyby pięćdziesiąt lat po wojnie nie pozostawiły śladu.

Jedziemy razem do Nowowilejki.

Szkoda, że Pnina nie zna adresu, gdzie mieszkał jej ojciec. Jakże często lekceważymy naszą przeszłość. Nie zadajemy rodzicom i dziadkom pytań, zadowalamy się ich skąpyimi opowieściami.

A później bardzo tego żałujemy. Ale jest już za późno. Nowowilejka jest przytulnym, malowniczym, zielonym miasteczkiem. Dużo nowych domów. Trudno rozpoznać w nim przedwojenne żydowskie miasteczko.

Następny etap naszej podróży – Estonia, Klooga. Nie mogliśmy nie pojechać do miejsc, które mają dla mnie takie ważne znaczenie, tym bardziej, że zbliża się smutna data: pięćdziesiąta rocznica wymordowania przez nazistów więźniów tego obozu koncentracyjnego, pięćdziesiąta rocznica wyzwolenia tych niewielu, którzy ocalili.

W związku z tą datą, z inicjatywy byłych więźniów Kloogi (również i z mojej inicjatywy) postawiono pomnik, a na nim wyryto napis: „19 września 1944 roku zostało tu zgładzonych 2500 Żydów”.

Otwarcie było tu bardzo uroczyste. Brali w nim udział Prezydent i Przewodniczący Parlamentu Estonii, Przewodniczący Parlamentu Izraela.

Pół wieku później my, garstka pozostałych przy życiu byłych więźniów Kloogi, odbyliśmy drogę, która dla wielu naszych przyjaciół i krewnych była ostatnią.

Oto i wrota obozu. Dalej – wstęp wzbroniony. W ciągu wielu lat stacjonowały tu wojska radzieckie. Teraz wojsko to opuszczało Estonię. Przez ogrodzenie ujrzeliśmy budynki, place między nimi i w pamięci żywo wypłynęła przeszłość: tu na placu w dniu zagłady siedzieli więźniowie trzymając ręce na tyle głowy, podzieleni na grupy stuosobowe... Mnie i bratu dopisało szczęście – uratowaliśmy się.

Podjeżdżamy do Lagedi. Miejscowi mieszkańcy pamiętają jeszcze gdzie znajdował się obóz, bezbłędnie wskazują nam to miejsce. W obozie Lagedi zginął mój ojciec. Tu w sąsiednim lesie, na skraju znalazł swą ostatnią przystań. Ale na tym tragicznym olbrzymim cmentarzysku nie ma ani nagrobków, ani drogowskazów... Lagedi – tak dźwięcznie brzmiące i takie straszne słowo. Słowo, które zmusza moje serce do szalonego bicia i zamierania

Wajwara – największy nazistowski obóz na terenie Estonii. Tu przywożono Żydów ze wszystkich krańców, żeby następnie

rozdzielić ich wśród dwudziestu czterech obozów estońskich. A ja byłem jednym z nich. Przywieziono mnie tu po likwidacji wileńskiego getta w 1943 roku. Zgolono mi głowę, kazano włożyć pasiak, pozbawiono imienia, nadano numer...

Niedawno w Wajwarze z inicjatywy prostego estońskiego chłopca, Arwo Rii wzniesiono kamienny pomnik upamiętnienia Żydów, którzy zginęli w obozach. Miejskowa chłopka opowiedziała nam następujące wydarzenie:

Młoda dziewczyna ze wsi pracowała w tamtym czasie w mleczarni niedaleko obozu. Pewnego razu głodna, wyczerpana Żydówka poprosiła ją o szklanę mleka i estońska robotnica nie odmówiła jej. Niemiec, ukradkiem obserwujący to, wyrwał z rąk dziewczyny szklanę, która rzucił w nią, wymierzając jej siarczysty policzek.

Scenę tę Estonka zapamiętała na całe życie...

Przez pamięć o przeszłości podawała każdemu z nas kubek mleka. Nasza droga do domu prowadziła przez Wilno. Współpracownicy Żydowskiego Muzeum przygotowali dla mnie niezwykle ważne dokumenty datowane 1942: listy 15 tys. mieszkańców getta sporządzone z przysłowiową niemiecką pedanterią, precyzją, dokładnością: wskazane są pełny adres, rejon, ulica, numer domu. W ten sposób lżej było wprowadzić w życie zasadę zbiorowej odpowiedzialności: jeśli jeden człowiek naruszył takie czy inne przepisy, odpowiadali za to wszyscy mieszkańcy domu, a niejednokrotnie mieszkańcy całej ulicy czy rejonu. W tych okrutnych listach z pewnością nie opuszczono ani jednego imienia, ani jednego nazwiska – nikogo nie zapomniano...

Znalazłem imiona moich bliskich i krewnych, znajomych i sąsiadów.

Wydaje mi się, że tu w Wilnie, w mieście mego dzieciństwa, moich wspomnień i łez nie jestem po raz ostatni...

8. Do Czytelnika

Minęło wiele lat od dwóch wydań tej książki w języku hebrajskim. Oba nakłady są już wyczerpane. Wszystkie opisane przeze mnie wydarzenia miały miejsce w Polsce, w Wilnie przed II wojną światową, podczas niemieckiej i radzieckiej okupacji. W Polsce umiejscowione są również opisy spotkań, rozmów i dyskusji oraz zdarzeń z lat powojennych. Dlatego bardzo pragnąłem, by książka ta dotarła również do czytelnika polskiego. Setki moich przyjaciół i znajomych w Polsce zachęciło mnie do wydania polskiego przekładu. Cieszy mnie, że oto książka dotarła do Twoich rąk, Czytelniku w Polsce.

Beniamin Anolik

Nota edytorska

Beniamin Anolik. Pojawił się w Krakowie pod koniec 1995 roku. Zaprzyjaźniony z Adamem Zielińskim, (1929–2010), wiedeńskim pisarzem pochodzącym z Hołobutowa pod Drohobyczem, trafił do Oficyny Cracovia, gdzie niżej podpisany był prezesem i współwłaścicielem. Postanowiliśmy wydać jego wspomnienia. Przynosił i wysyłał swoje teksty do znanego krakowskiego krytyka Jana Pieszczachowicza (ur. w 1940 w Koprzywnicy), prezesa Związku Literatów Polskich i redaktora naczelnego „Studenta”, potem redagującego miesięcznik „Pismo”.

Były te wspomnienia spisywane ręcznie na różnych skrawkach papieru, na odwrocie tekstów reklamowych czy zapisanych jakimiś nieznanymi dla nas tekstami hebrajskimi. Część wspomnień przepisano w Izraelu na maszynie, wymagały sporej redakcji, nie posiadały bowiem polskich znaków. W manuskryptach znalazły się też teksty hebrajskie, tłumaczyła je dla nas Anna Ćwiakowska. Pozycja wymagała, jak wspomniano, wielu uzupełnień redakcyjnych, tymi zajęli się Agnieszka Maciejewska i Jan Pieszczachowicz. Redakcję techniczną wykonali Tadeusz Skoczek (łamanie tekstu, ikonografia) oraz Artur Szewc, obsługa skromnej czeskiej offsetowej maszyny drukarskiej Romayor. Ponieważ temat nie przypadł do gustu udziałowcom Oficyny Cracovia, posunięto się do fortelu, prosząc o wstęp rekomendujący prof. dr. hab. Józefa Andrzeja Gierowskiego (1922–2006), wybitnego historyka o międzynarodowej renomie, rektora UJ, założyciela Międzywydziałowego Zakładu Historii i Kultury Żydów w Polsce, podniesionego później do rangi Katedry Judaistyki. Jako członek Polskiej Akademii Umiejętności i Rady ds. Stosunków Polsko-Żydowskich miał

możliwość moralnego zdecydowania o wartości wspomnień. Napisał obszerny wstęp, czym polecił tym samym decydom i czytelnikom wydawnictwo.

Nakład nie był niestety wielki, część zabrał autor do kibucu w Izraelu, większość rozprowadziliśmy podczas prezentacji w krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, część stała się prezentem dla uczestników spotkania w Stacji PAN w Wiedniu. Nie było wtedy możliwości upowszechnienia wydawnictwa w wersji cyfrowej. W 2012 roku opublikowaliśmy fragmenty wspomnień w „Kwartalniku Kresowym” (nr 4/12). Przyszedł czas na prezentację całego tekstu.

Beniamin Anolik nie jest znany szerszemu gronu badaczy Holocaustu, chociaż napisał kilka książek, zorganizował wiele imprez upamiętniających gehennę rodaków, odbył szereg spotkań patriotycznych i edukacyjnych. Urodził się 3 maja 1926 w Wilnie. Był synem Soni i Mosze Anolika, młodszym bratem Nisana. Otrzymał staranne wykształcenie w hebrajskim gimnazjum. Kiedy 17 września 1939 roku Armia Czerwona zajęła polskie Kresy, Anolikowie uciekli na Białoruś. Niebawem rodzina powróciła do Wilna, jednak kiedy Niemcy najechali Związek Radziecki (czerwiec 1941) i utworzyli w tym mieście getto, wszyscy Żydzi zostali tam deportowani. Beniamin znosił trudy wileńskiego getta przez dwa lata, pracując w firmie energetycznej. Matka była opiekunką w sierocińcu, Nisan miał zajęcie w szpitalu. Rodzina opiekowała się jeszcze ociemniałym dziadkiem. W 1943 roku Beniamin i Nisan zostali przetransportowani do obozu w Estonii. Tam spotkali ojca, który wkrótce potem został rozstrzelany. Matka też nie przeżyła niemieckiej okupacji.

Przeżycia z tamtego trudnego czasu odżywają na kartach wspomnieniowej książki. Beniamin Anolik, nazywany kronikarzem wileńskiego getta, mówił w rozmowie z niżej podpisanym: „Trudno opisać to, co tam się działo. Niemcy tysiącami wywozili nas na Ponary, gdzie dokonywali masowych rozstrzeliwań. Życie ludzkie nie miało w getcie najmniejszego znaczenia”.

Krzysztof Czyżewski – założyciel ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach, pisał po śmierci Beniamina Anolika:

Odszedł nasz drogi przyjaciel (2 lutego 2018) „korczakowiec”, współtwórca Muzeum Bojowników Getta Warszawskiego oraz Muzeum Pamięci Dzieci Yad La Yeled (Ku przyszłości), Członek Komisji ds. Sprawiedliwych wśród Narodów Świata (działającej przy Instytucie Pamięci Narodowej „Jad Waszem”), współzałożyciel „Stowarzyszenia dla uwiecznienia pamięci i popularyzacji dziedzictwa Janusza Korczaka” w Izraelu. Nasz darczyńca, dzięki Niemu zgromadziliśmy zbiór poświęcony Januszowi Korczakowi.

Wypełniając sugestie przyjaciół, przedstawiamy treść wspomnień Beniamina Anolika w specjalnym numerze „Kwartalnika Kresowego”.

Tadeusz Skoczek

RADA WYDAWNICZA

dr **Janusz Gmitruk** (Ludowe Towarzystwo Naukowo-Kulturalne); mgr **Sławomir Kordaczuk** (Siedlecki Klub Kolekcjonera); dr **Leszek Marek Krześniak** (Polska Fundacja Kościuszkowska); mgr **Aldona Łyszkowska** (Towarzystwo Przyjaciół Opinogóry); mgr **Przemysław Majcherkiewicz** (Mogileńskie Towarzystwo Kultury); dr **Tadeusz Samborski** (Stowarzyszenie Kulturalne „Krajobrazy”); dr **Jan Sęk** (Fundacja Willa Polonia); mgr **Tadeusz Sławecki** (Czemiernickie Towarzystwo Regionalne); mgr **Antoni Szperlich** (Towarzystwo Wydawców Książek); dr **Katarzyna Wagner** (Stowarzyszenie Muzealników Polskich); ks. dr **Jerzy Zając** (Fundacja Dialogu Kultur i Religii).

PROJEKT OKŁADKI

Natalia Roszkowska

Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości

(identyfikator wydawnictwa naukowego – 47 200)

Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

ul. Skazańców 25, 01-532 Warszawa

mail: kresowy@muzn.pl

DTP

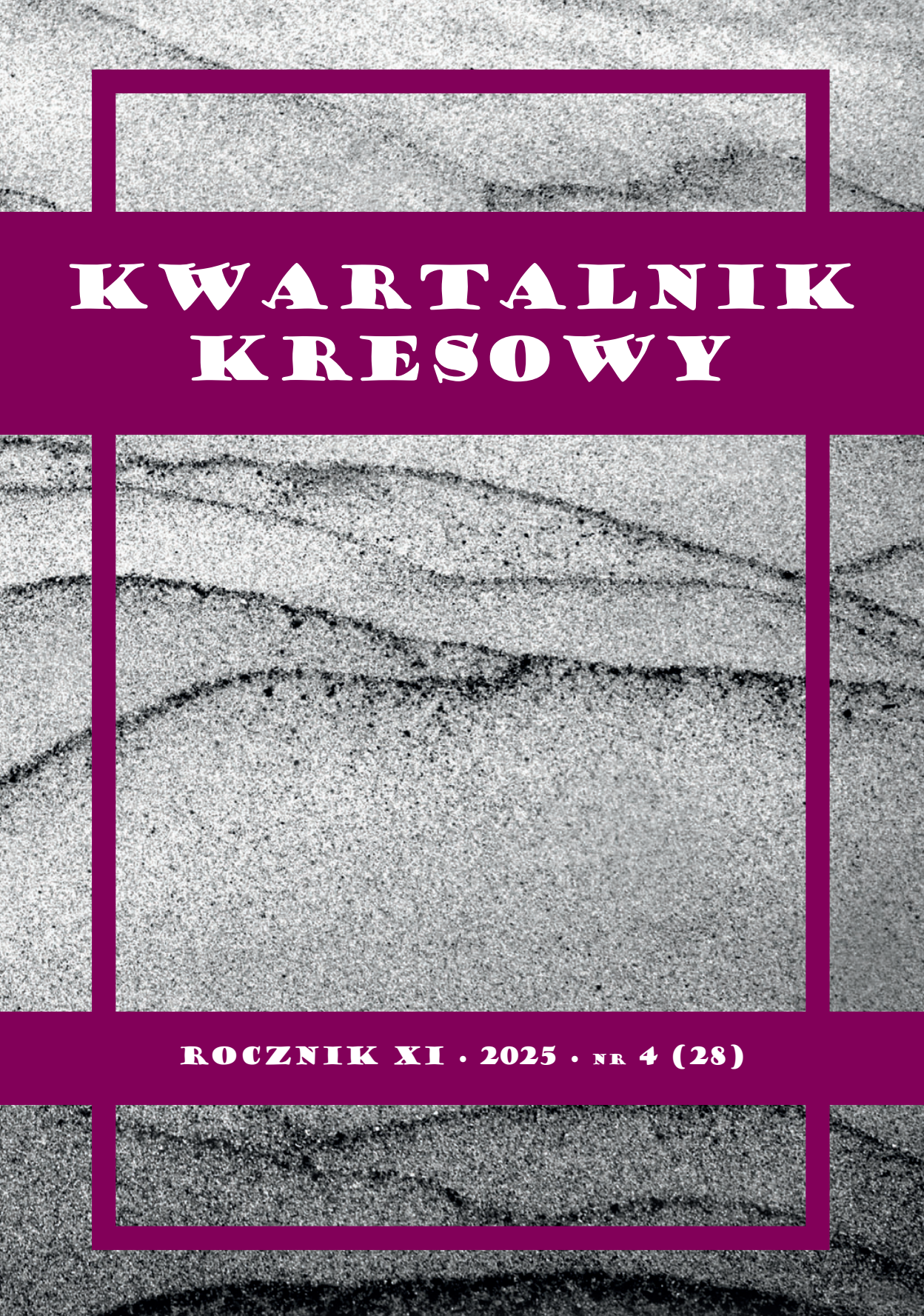
Wojciech Jelonek

DRUK

WPK Piotr Walewski

Realizacja na zlecenie wydawcy

Nakład 400 egz.



KWARTALNIK KRESOWY

ROCZNIK XI . 2025 . NR 4 (28)

35 lat  **MUZEUM**
NIEPODLEGŁOŚCI

Mazowsze.
serce Polski

Muzeum Niepodległości w Warszawie
jest jednostką organizacyjną
Samorządu Województwa Mazowieckiego



100 LAT  **POLSKIEGO RADIA**

MIĘSIĘCZNIK
ZIELONY SZTANDAR
o polityce i społeczeństwie

MAGAZYN HISTORYCZNY
MÓWIA WIEKI

TYGODNIK
idziemy

Świat **brydza**

TVP
HISTORIA **STOLICA**



 **diuna**
Language Services

INDEX  COPERNICUS
I N T E R N A T I O N A L
